

Tomasz Marcin DUDZIŃSKI



Opowieści ze Świata Czarowników



*"Mówi się, że gdyby stado małp
wypożyczyć w sto maszyn do
pisania i dać im nieograniczony
czas, powstałyby wszystkie
arcydzieła literatury.*

*Co myślę o `Czarownikach`?
Cztery małpy, dziesięć minut!"*

Marcin Potocki

Tomasz Marcin Dudziński
„Opowieści ze Świata Czarowników”

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński

All rights reserved

Redaktor:
Piotr Chruśliński

Korekta:
Małgorzata Bartosik

Copyright © by Serwis Literacki
www.knowacz.pl

Wydanie I
ISBN 978-83-925506-6-2

Świdnik

2007

Projekt okładki:
Tomasz Marcin Dudziński

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński

All rights reserved



ISBN 978-83-925506-6-2

OPOWIEŚCI ZE ŚWIATA CZAROWNIKÓW

Prolog: Miniarmageddon

*Wyjaśnienie, skąd się wzięły CZAROWNIKI w moim życiu
i dlaczego duchy postanowiły zdemolować mi mieszkanie.*

Gdzieś pośród bezkresnych przestrzeni wszechświata zaległa się boska pchła, odpad wielkiej myśli stwórcy, który wszystko zaplanował, lecz nie przewidział, że ten śmieć rozpleni się jak robactwo po swojej malutkiej, nic nieznaczącej planecie i zapagnie wkrótce poznać swego stwórcy tylko po to, aby mu dorównać, być może nawet go przerosnąć.

Człowiek – homo. Homo homini lupus – ecce homo.

Człowiek to takie dziwne stworzenie, które przekonane o swojej wielkości i nieomyślności żyje absolutnie nieświadome, że tuż obok rozgrywa się jednak odwieczna walka dobra ze złem. Niektórzy ludzie twierdzą, że kieruje nimi Bóg, jakaś enigmatyczna istota z kosmosu, która ma nas wiecznie w głębokim pow... to znaczy w opiece. Inni twierdzą, że wśród praojców mamy tuzin małp, małpiatek i półgłówków, co znajduje liczne potwierdzenia, na podstawie obserwacji własnych, w życiu codziennym. A jak jest naprawdę? Kim tak naprawdę jest najdoskonalsza maszyna pana Boga, człowiek? Co nim kieruje i dlaczego zaświaty aż tak bardzo się uwzięły na niego, aby przeważać szalę na stronę dobra lub zła? Oto tajemnica wiary, nad którą zastanawia się czasami każdy z nas. Szczególnie, kiedy coś go gryzie od środka.

Siedziałem w moim własnym, prywatnym pokoju na ozdobnym krześle, jak zwykle wpatrzony w okno i jak zwykle przeżuwałem moje niesamowicie przyziemne dylematy moralne. Za oknem sączył się powoli z nieba deszczyk, lecz nie miałem najmniejszej ochoty sprawdzać, czy był tak letni i przyjemny, jak zwykli go opiewać poeci. Moje dylematy niekoniecznie były w stylu "kurcze, czy ona miała szesnaście lat?", lecz coś w tą mańkę, czyli zżerała mnie totalna chandra o podłożu egzystencjalnym. Trudno powiedzieć, czy za moknącymi szybami usiłowałem się doszukać istoty jestestwa, ale to chyba zresztą zrozumiałe, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że jestem przerażająco nielogicznym facetem w tak okropnie logicznym świecie. Zresztą, logika (z matematycznego punktu widzenia) raczej zaliczana jest do nauk ścisłych, ja natomiast czułem się taki.... nieścisły, wręcz rozlazły, jeżeli tylko wiecie, co mam na myśli. Lenistwo i kiepski humor wyciekały z mojej ziemskiej powłoki i rozlewały się po moim pokoju jak smoła z przedziurawionej beczki. Patrząc na to z perspektywy czasu, smoła nie była wcale najgorszą rzeczą, jaka mnie tego popołudnia spotkała. Tym bardziej, że była to smoła egzystencjalna, że tak powiem, esencja moich przemyśleń wymieszana ze szczyptą beznadziejnego humoru. Trochę jednak wyprzedzam wypadki. Dość, że nastrój miałem parszywy, a w środku mojego jestestwa toczyła się jakaś dziwna walka samego

ze sobą. Wzięłem głębszy wdech usiłując rozkoszować się powietrzem i zamknąłem oczy. Niestety, zamiast się uspokoić wkurzałem się jeszcze bardziej, nie ważne, o co! Grunt, że z jednej strony narastała we mnie bezsilna złość, z drugiej natomiast bezgraniczna i niczym nieuzasadniona miłość do całego świata połączona z jakimś dziwnie nieznanym spokojem. Przy okazji cały czas miałem przed oczami mój problem, podstawę moich różnych przemyśleń na każdy temat niezwiązany z gwoździem programu. Nieważne, jak ładny i jak krągły był mój problem - był i nie dawał mi spokoju, a przy okazji wywoływał lawinę niepotrzebnych emocji i zupełnie sprzecznych uczuć. Więc siedziałem wpatrzony w okno i kiedy tak sobie przelewałem płynną złość w czystej postaci do mojej lepszej, lecz pustej połowy wewnętrznego JA jak do pustego naczynia, z tej dobrej, pozornie pustej, wyciekało coś równie ohydneho i wpadało wprost do złej połowy mojego JA, niszcząc po drodze wszystko, co napotkało.

- Powinieneś się uspokoić i zastanowić się nad tym - powiedział nagle tuż obok jakiś czarująco znany, aksamitny głosik. Spojrzałem w bok zdumiony, bo przysiągłbym, że w mieszkaniu byłem sam, a śpiący w przedpokoju pies nie przemówiłby do mnie tak czystą polszczyzną za żadne skarby świata. Możecie mi wierzyć, prawie zbaraniałem. A wiele mi nie było trzeba! Całe szczęście, że zbaraniałem tylko do połowy, bo przynajmniej mogłem ocenić sytuację na trzeźwo, ale sami przyznacie, że każdy z was zgłupiałby widząc... dziwną, przejrzystą i jasną postać z dobrodusznym uśmieszkiem i SWOJĄ twarzą. Nad głową tego czegoś, co roboczo ochrzciłem sobie ANIOŁEM, jaśniała bładoniebieska poświata, dlatego miałem od razu takie niestosowne skojarzenie. I wtedy zrozumiałem: to moje lepsze JA przyszło mnie uratować i przywrócić spokój wewnętrzny.

- Więc co mam robić? – zapytałem.

- Och, po prostu nie denerwuj się – odparł mój niebieski JA z błogim uśmiechem.

- Tobie to łatwo mówić, ale ty sobie wrócisz z powrotem do niebios, a ja tu zostanę nadal z tym wszystkim na głowie.

- Ależ wprost przeciwnie! Twoje zmartwienia są także moimi zmartwieniami i w moim interesie leży, aby je załagodzić...

- Chrzanisz, tobie to już nawet interes nie leży! - odezwała się gdzieś z przeciwległego boku jeszcze jedna postać, tym razem o barwie brunatno-szarej, z co najmniej trzydniowym zarostem i... MOJĄ twarzą. Pominę takie szczegóły, jak małe różki, kopyta i ogon, natomiast lekko czerwonej, jakby płonącej aury wokół postaci pominąć nijak nie mogę. Przy okazji pragnę zaznaczyć, że wtedy właśnie zbaraniałem do reszty i poza skromnym "beeee!" nie byłem w stanie wypowiedzieć ani słowa. Po ludzku, oczywiście. Poza tym potulnie czekałem jak owca na rzeź.

- Sieg Heil, kretynie! - to powitanie skierowane było chyba do mnie...

Odruchowo podniosłem do góry dłoń i po chwili poczułem się jak ostatni baran.

- Cholera, zawsze musisz się wtrącić?! - zirytował się "niebieski".

- Ktoś musi przecież obronić tego biedaka!

Widząc ich poważne miny i jeszcze poważniejsze zamiary zrobiło mi się tego wspomnianego biedaka żal. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że ta ratowana sierotka, to ja we własnej osobie, bez dodatkowych kolorów w poświacie.

- Przed kim? Przed tobą?

- Przed samym sobą, ciemnoto granatowa.

- Tylko bez poufałości! – niebianin pogroził palcem.

- Spieprzaj!

- Słuchajcie – przerwałem tą przeuroczą konwersację. - Skoro już tu jesteśmy, to może znaleźlibyśmy jakieś wspólne rozwiązanie problemu?

- Z nim? - zachnął się "czerwony". - Nigdy! Prędkiej mi kaktus na jajach wyrośnie! Auuuuuuuuu...!

Faktycznie, wyglądało to, jakby na jajach zaczął mu rosnąć kaktus, ale to już mnie wcale nie zdziwiło. Na wszelki wypadek niepostrzeżenie ześlizgnąłem się z krzesła i wlałem pod stół, gdyż znałem swój charakter, jak własny, wiecznie pusty portfel i wiedziałem, że raczej nie trzeba mi wiele do wszczęcia awantury. Szczególnie z samym sobą, szczególnie przy takim nastroju.

- O skubańcu niebieski! - wrzasnął "czerwony" i w tym momencie aureola anielska zamieniła się w bryłę gorącego budyniu.

- Jooooohuuuuuuuuuuuuuuuuuuuu! - zawył Anioł zlany gorącą mazią. W powietrzu zapachniało przypalonym mlekiem.

- He, słowo daję! Pavarotti!

- O ty! Już ja ci dam takiego bobu, aż ci się odechce wysokiego C!

Podniosłem obrus, który zasłaniał mi górną część widoku. Obydwaj oponenti przeskoczyli w przeciwległe rogi pokoju wykorzystując moje posagowe meble jako naturalne schronienie. Po chwili wiedziałem, przed czym. Oto przez pokój przemknęło kilka błyskawic, czemu odpowiedziało kilka wybuchów czerwonych kul ognia nadlatujących z przeciwnej strony. Wielki, rzeźbiony kufel na piwo, będący ozdobą mojej góralskiej półeczki, rozprysł się na kilkadziesiąt drobnych kawałeczków. Po chwili szlag trafił mój skrypt z mechaniki, ale tego akurat nie żałowałem.

- Cholera jasna! – wrzasnąłem. – Tylko nie w moja kolekcję kryształów!

Niestety, było już za późno – wielka bryła krystalicznego szpatu rozpadła się od nadmiaru temperatury na dziesiątki malutkich kryształków. Pomyślałem, że jeżeli te durnie zniszczą mi parkiet...! Tymczasem duch niebieski wziął w dłonie moją tubę z rysunkami dotyczącymi projektu z konstrukcji betonowych i zaczął nią odbijać czerwone ogniki. Wychyliłem się spod stołu, aby zapobiec unicestwieniu owocu pracy moich kilkunastu zarwanych nocy, lecz kiedy poczułem gorący podmuch przed nosem, a po chwili swąd przypalonej grzywki, wpelzłem radośnie z powrotem pod jakże przyjazny mi mebel.

- Ej! - wrzasnąłem zrozpaczony spod stołu. - Czy tu się przestrzega konfekcji Genewskiej?! Pozwólcie opuścić pole bitwy cywilom!

- Ależ synu! To dla twojego dobra! – odkrzyknął duch z piekła rodem, czemu towarzyszyła eksplozja niebieskiej błyskawicy obok jego głowy.

Czerwony ognek znów poszybował nad blatem stołu. Dym w pokoju gęstniał.

- Mam to gdzieś! - wrzasnąłem ponownie. - I mam ochotę to przeżyć w jednym kawałku i nie upieczony!

Niebieska błyskawica przemknęła tuż obok fotela, za który udało mi się w końcu wpełznąć.

- Ha! Tu cię mam, błękitny kretynie!

- Ej, co robisz! To ja, ludność cywilna! Auuu! - szybko cofnąłem się na klęczkach za sześćdziesięciowatową, archaiczną kolumnę wielkości małej łódówki, masując intensywnie obolały tyłek. Tymczasem pokaz ogników trwał dalej, rujnując dorobek mojego skromnego, studenckiego żywota. Pewnie trwałoby to dalej, gdybym nie wywiesił na tyczce z przewróconego kaktusa białej chusteczki higienicznej. Gdybym nią tak radośnie nie powiewał. Gdybym się nie powołał na konfekcję Genewską. I było mi raczej obojętne, czy była to konfekcja damska, czy męska.

- Ej, matoly, ja mam dość! – zawołałem zza kolumny.

- Ach, Judaszu, chcesz negocjować?!

- Proszę się nie odwoływać do tradycji judeochrześcijańskiej! To jawne ułóżanie najwyższemu! - aksamitny głos "niebieskiego" przestawał być aksamitny. Pomyślałem, że ktoś mu go musiał nieźle potraktować podłym wybielaczem na chlorze po godzinie wydzierania się na stadionie sportowym podczas trzecioligowego meczu.

- A co ty, do cholery, masz wspólnego z żydostwem i chrześcijaństwem?

- Wiare w nieskończoną moc i mądrość Stwórcy spływającą na nas pod postacią łask Bożych przy wtórze anielskiego alleluja...

- Ple, ple, ple, rabbi! – zacharczał „diabeł”. – Gadasz jak potłuczony w sejmie!

- A kysz, meszugene!

- Ej, to co, mogę wyjść? – nie wytrzymałem i postanowiłem im przerwać to milusie rendez-vous.

- Dobra, ale tak żebyśmy cię obaj widzieli!

- Jasne, pewnie się rozdwoję!

- Po prostu wyłaż przodem do drzwi z rękami ku górze.

Pomyślałem, że gość jak na anioła był zbyt radykalny.

- Dzięki - rzuciłem z ulgą. - To bardzo Jom Kipur i całkiem szabas z waszej strony!

Powoli, kroczył za kroczkiem, wychynałem zza obitego mebla i z rękami uniesionymi delikatnie ku górze tak, aby obaj je widzieli, wkroczyłem odważnie na linię strzału obydwu duchów.

- Dobra, co proponujesz? – zagaił duch zła.

- Zawieszenie broni i negocjacje! I to bezwarunkowe!

Popatrzyłem niepewnie na jednego, potem na drugiego z przeciwników i od razu zauważyłem drobną zmianę w kostiumach obu panów. Obaj mieli teraz na sobie

coś jakby mundury, opaski na czołach przewiązane gdzieś na potylicy oraz ciemne okulary. Tylko, że na ramieniu "czerwonego" widniał wytatuowany pentagram, na ramieniu "niebieskiego" - krzyż. Oczywiście ich plamiaki – bezrękawniki różniły się kolorami, ale to szczegół nie wart więcej, niż dwóch linijek tekstu. Kiedy tak sobie na nich patrzyłem porównując czarno-czerwone plamki kurtki złego z błękitno-szarymi plamkami kurtki dobrego ducha, dokładnie w tym momencie, coś mi zaczęło świtać. Przed oczami stanęła mi płaska bateryjka o napięciu 4,5 volt, dokładnie taka, jaką miałem kupić wczoraj do latarki. Nie kupiłem! Zanim którykolwiek zdążył powiedzieć "ciach po grdyce", oparłem dłonie o blat, przeskoczyłem przez stół i trzasnąłem „diabła” w szczękę obcasem, robiąc niezbyt zgrabny półobrót i "żelazną miotłę" powaliłem „anioła” i wyrzuciłem ozdobnym lichtarzem prosto w michę. Pomijam fakt, że mosiężny lichtarz w kształcie krzyża pięknie się odbił na czole oszołomionego niebianina. Pochwyciłem pod paszki ogłuszonego "czerwońca" i zacząłem wlec w kierunku wciąż nieprzytomnego błękitnego rycerzyka. Kiedy już prawie do niego dochodziłem, przerzuciłem sobie ciągnionego delikwenta przez ramię i z niemałym trudem uniosłem bezwładne ciało do góry. Niebianin ocknął się i popatrzył na mnie z przerażeniem, jakby nagle zdając sobie sprawę z beznadziejności swojej sytuacji, by na pożegnanie rzucić zza swoich ciemnych okularów o rozbitych szklach:

- Aj lbi bek!

- Asta lumbago, bejbi! - wymamrotał półprzytomny „diabeł”. I wtedy go puściłem. Nastąpił oślepiający błysk, suchy trzask i obaj zniknęli w niewielkiej chmurze dymu, a ja odrzucony siłą eksplozji do tyłu wałęsałem łbem o oparcie kanapy. Na całe szczęście, obicie zamortyzowało bolesną rzeczywistość upadku.

- He, udało się! – wymamrotałem sam do siebie.

Tak też właśnie myślałem, co to się stanie, jak dodać ze sobą ładunek ujemny (wybitnie!) i ładunek dodatni... Choć do tej dodatniości to nie jestem do końca przekonany, ale jak widać o wyniku armageddonu zadecydowała elementarna fizyka wykładana w podstawówkach! Warto się uczyć!

Na drugi dzień mój przyziemny problem dostał bukiet kwiatów. Ja dostałem w pysk, bez kwiatów. I proszę: cała ta walka dobra ze złem nie ma sensu, bo zawsze życie zafunduje nam coś absolutnie nieprzewidywalnego. Oj, kocham to! Kocham to życie!

* * *

Minęło złane deszczami lato, opadła z szarości złota polska jesień i nastała sroga w swej łagodności zima. Ta prawdziwa, mroźna i śnieżna wypadła akurat w czwartek, bo pory roku zwariowały zupełnie, a efekt cieplarniany, El Nino i hemoroidy dyżurnych synoptyków zjednoczyły siły i uwzięły się na nas niewtajemniczonych, dając nam w kość na każdym kroku. Po moim problemie z nastoletnim ciałkiem pozostało miłe i ciepłe w dotyku i w zapachu

wspomnienie; zresztą trudno mówić o problemie tej natury, kiedy w życiu człowieka zachodzą aż tak drastyczne zmiany i to w tak krótkim czasie. Och, nie aż takie zmiany! Nie martwcie się, jeszcze przebywam wśród żywych. Nie taką drastyczność miałem na myśli, choć niektórzy smakosze życia twierdzą, że stabilizacja uczuciowa przy boku jednej i tej samej kobiety to jak śmierć, pogrzeb i kremacja w jednym. Więc – ulegając sugestiom kolegów i złośliwościom znajomych - poczułem się delikatnie pogrzebany żywcem, bo moje życie się zdecydowanie ustabilizowało: regularne posiłki z byle czego, byleby tuczyło i cieszyło oko, stała, mizerna pensja i piękna, dojrzała kobieta przy boku... co nieodpowiednio było rzekomym symptomem mojego przedwczesnego zejścia z padołu przyjemności tego świata. Tylko wypalona dziura w fotelu przypominała mi o niesamowitych wydarzeniach sprzed pół roku, kiedy to odwiedziły mnie dwa dość osobliwe duchy i zdemolowały mój studencki świat. Całe szczęście, moi biedni rodzice wiedzieli, że ich starsze dziecko musi czasem zaszaleć, więc nikogo nie zdziwił połamany, metrowy kaktus, a mama udawała, że nie widzi wypalonej w posagowym fotelu dziury. Wypalonej przez błękitną błyskawicę ciśniętą przez „anioła”. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy z faktu, że oto otworzył mi się worek z niesamowitymi wydarzeniami, które raz na zawsze odmieniły moje pojmowanie życia, Boga i otaczającego mnie świata. Niemniej, moje ukochane duchy nie chciały o mnie zapomnieć.

O dziwo, nikt nic nie zauważył, nikt nawet nie pytał, jak to się stało. Pamiętam tylko, że coś właśnie pichciłem w kuchni zgodnie z moim własnym przepisem z książki kucharskiej pt.: "Tysiąc potraw w ciągu kwadransa - tanio, pożywnie i niezdrowo". Właśnie realizowałem rozdział „Jak zafundować sobie dwa tysiące kalorii i kilo cholesterolu za cztery pięćdziesiąt”, bo tak mi się jakoś żreć zachciało - pewnie was bulwersuje taka wulgarna forma czasownika "jeść"? Mnie też, ale tak mocne słowa najlepiej oddają charakter mojego ówczesnego łakomstwa, a głód jest najgorszym doradcą. Szczególnie kulinarnym. Być może zrealizowałbym ambitny plan nie wychodzenia poza budżet obiadu i pewnie nawet nie przypaliłbym wody na herbatę, gdybym kątem oka nie dostrzegł dziwnej postaci otoczonej niebieską poświatą. „Znowu!” – pomyślałem ze zgrozą. Szybko odwróciłem się, lekko przestraszony, zamierzając się trzymanym w ręku surowym jajem. Kurzym, uściślając. Przede mną stał mój lepszy, niebiański JA odziany w jedwabne kimono z długim mieczem u pasa. Akurat byłem po lekturze „Apokalipsy...”, więc to ostatnie mnie nie bardzo zdziwiło.

- Tylko bez żadnych fajerwerków! Dość mam po ostatnim waszym wybryku! - zagroziłem aniołowi jajkiem, ale nie wierzę, aby ta groźba odniosła należyty skutek.

- Ależ drogi przyjacielu, dobra nowinę przynoszę! - niebiański głos płynął gdzieś pod sufitem. Na wszelki wypadek rozejrzałem się wkoło, czy aby jest sam.

- Co, zaszyjesz mi dziurę w fotelu? Tego akurat to ci nie daruję!

- Ależ synu, to nie dotyczy sfery materialnej... – „anioł” zrobił błogą minkę. Skąd on wytrzasnął tą mimikę, przecież ma moją twarz, mój głos, ale dałbym głowę, że ja takich słodko-głupawych min nie robię.

- No to się pałuj, bucu jeden. I ani się waż wyciągać z pochwy tego pogrzebacza! - wskazałem widelcem na miecz wiedząc, że w konfrontacji mój oręż mógł się okazać niewystarczający.

- Chciałbym tylko dobra nowinę obwieścić...

- Igła i nici są w drugiej szufladzie – zauważyłem nader uprzejmie.

- Ależ nie... - zaczął niebianin, ale brutalnie wpadłem mu w słowo.

- "Nie pokój wam przyszedłem czynić, lecz miecz"? Nic z tego serdeńko, nie u mnie w mieszkaniu! Wybij to sobie z tej zakutej w aureolę, niebieskiej pały!

- Hej matoly, dużo straciłem? - odezwał się jakiś chrapliwy, znajomy głos od strony okna, tuż za mną. Odwróciłem się z widelcem gotowym do ataku. Jak zwykle, mój oręż okazał się niestosowny do sytuacji. Pod oknem stał mój gorszy JA, cały w czerwonej poświacie, a na dodatek w mundurze kapitana armii cesarstwa Nipponu. Ale nie to mnie niepokoiło: o wiele bardziej mnie martwił jego breloczek - taki sobie samurajski miecz z netsuke w kształcie nagiej, rogatek kobietki z ogonkiem.

- Bakajaro! - zaklął szpetnie po japońsku wysłannik sił dobra.

- Koncikusio! - zawtórował mu po japońsku i równie szpetnie diabeł.

- O'szit! - wyrwało mi się i mógłbym przysiąc, że brzmiało to prawie po japońsku. Przy okazji dałem nura pod stół. Jakiś taki odruch mi się w ciągu pół roku wykształtował... Sam nie wiem, czemu.

- Znowu wypychasz swój czerwony ryj w nie swoje kartofle?!

- Jestem nieodłączną częścią ciebie, szanowny kolego. Nie zapominaj o tym! - skrzywił się czart.

- ... tylko wiecznie spóźniony – dodałem spod stołu kombinując, jak tu uniknąć zdemolowania kolejnego pomieszczenia w mieszkaniu.

- Stań do walki! - niebieski duch dobył miecza. - Załatwmy to po męsku: tu i teraz!

- Hej, a nie chcielibyście pójść sobie na podwórko? - wyrwało mi się, na wspomnienie dziury w fotelu. – Tam jest piaseczek i dużo miejsca, srają kotki i śpiewają ptaszki...

I wtedy coś mi zaświtało we łbie. Drzwi! Złapałem ciężką, żeliwną brytfannę i choć była pusta i zimna, rażno ją porwałem i zbliżyłem się w stronę balkonu.

- No dobra, możecie się pozabijać - udałem zmartwionego. - Niech mi tylko który otworzy drzwi na balkon, bo muszę żarcie wystawić...

Tak jak przypuszczałem. Głupców nie sieją, a co dwie minuty rodzi się frajer. Nawet taki nadprzyrodzony. Nawet w mojej kuchni. W momencie, gdy czerwony duch z diabelskim uśmieszkiem i nadzwyczaj usłużnie otwierał mi drzwi, rzuciłem mu na nogę całokształt żeliwnego ciężaru brytfanny. W jedną dziesiątą sekundy później, gdy diabeł zapowietrzył się odrobinę i posiniał lekko

na - jakby nie było - mojej twarzy, złapałem wysłannika niebios i korzystając z faktu, że stracił równowagę i zaplątał się we własne kimono, wypchnąłem na balkon. W następnym ułamku sekundy w ślad za nim poleciał agent piekieł, a ja tymczasem szybko zamknąłem drzwi balkonu na rygiel rażno podśpiewując "hu-hu-ha, nasza zima zła!". I tak dalej. Pewnie było w tym i odrobinę racji (w tym śpiewaniu, rozumie się!), bo termometr za oknem wskazywał akurat minus piętnaście stopni. Pewnie dlatego pomyślałem, że nasze wzajemne relacje odrobinę pochłodziły, he, he!

- Czy wiecie, co to jest... - zagadałem do zaskoczonych i już odrobinę zmarzniętych istot nadprzyrodzonych, dygoczących w lekkich, jedwabnych kimonach nijak nie pasujących do typowo polskiej, mroźnej zimy. - Czerwone i niebieskie, jest za szybką i puka?

- Twój anioł stróż za oknem na mrozie - odparł wybitnie beznamiętny, ale zawsze mój głos tuż za moimi plecami. Odwróciłem się i po raz pierwszy od ponad pół roku zbaraniałem.

- Czy chciałeś coś dodać? – zapytał duch uśmiechając się półgębkiem.

- Beeeeeeeee! - wydusiłem z siebie na widok postaci w szarym habicie. Postaci z moją twarzą. Zważywszy na okoliczności, moja wypowiedź okazała się i tak wybitnie inteligentna.

- Be? A cóż to za maniery? - zapytał gość wyraźnie ubawiony sytuacją.

- Cholera, ilu was jeszcze jest? – nie wytrzymałem.

- Cóż za pytanie! Czy życie cię jeszcze niczego nie nauczyło?

Nie nauczyło. Trudno, żeby nauczyło, gdy się ma na karku dwadzieścia kilka lat i perspektywę kilkudziesięciu lat do emerytury, której się na oczy nie zobaczy.

- Ej, tylko bez takich mi tu! – szybko pochwyciłem spoczywający na kuchennym stole widelec. - Jak będziesz fikał, to wylądujesz na balkonie razem z tamtymi świrami. A po godzinie, jak już trochę zesztynniejecie, przyjdę was odciąć od podłoża. Wtedy pogadamy o pogodzie i innych miłusich rzeczach.

- Nie mam z nimi nic wspólnego! - obraził się szary duch.

- Trele – morele! Mam ci odegrać fanfarę na nosie?

- Słowo honoru, o ile wierzysz w honor!

- Tylko na kasecie – przypomniała mi się jakaś polska kapela o takiej właśnie nazwie. - To kim ty niby jesteś?

- Może na początek ci wyjaśnię, kim oni są – tajemniczy duch w habicie wskazał na drzwi balkonowe i wyraźnie się zamyślił. - Hmmm.... wy, śmiertelnicy nazywacie to zjawisko aniołem stróżem...

- He, kręcisz coś, kolego - sięgnąłem do szafki z garami. – Ich jest dwóch, a na dodatek chyba za sobą nie przepadają.

- Ależ skąd! – duch machnął ręką. - I odłóż tą patelnię; w przeciwieństwie do nich ja mam szybszy refleks. Wracając zaś do twojego anioła stróża, to, co widzisz, to dwie różne postacie tego samego hmmm... zjawiska... czy jak to tam sobie nazwiesz.

- Tak, jasne! I to zjawisko wpadło w furję i zdemolowało mi lokum, a teraz

chcieli z siebie zrobić szaszłyki w mojej własnej kuchni. Fajnie, ale tego kitu, to ja nie łykam!

- Zdarza się nawet najlepszym - odparł spokojnie szary.

- Tak, a co dopiero im... Ale powróćmy do tematu - coś ty za jeden i czego mi tu?

- Jestem duchem czasu - wypaliło widmo wyraźnie dumne z poczynionego wyznania.

- Jasne - przytaknąłem równie spokojnie. - A ja jestem David Coperfield, Uriah Heep i świerszcz za kominem. Co ty mi tu za opowieści wigilijne zasuwasz? Tym razem duch czasu przybrał poważną minę.

- Musisz się pogodzić z istnieniem różnych duchów, które w odniesieniu do ciebie pokażą ci twoje własne oblicze w krzywym zwierciadle, oczywiście. Tym razem (dla odmiany) ja spoważniałem, bo jeżeli mówił prawdę, to jeszcze niejeden nieziemski popapraniec mógł mi się w chałupie objawić i narozrabiać.

- Posłuchaj kretynie, ja jeszcze żyję. Należę do świata żywych, więc dlaczego i z jakiej racji mam się przejmować duchami? - Spoważnieliśmy obaj, a atmosfera stała się miła i przytulna, jak w rodzinnym grobowcu. Przysiagłbym, że powiało chłodem.

- Z jakiejś nam nie znanej przyczyny od pewnego czasu jest ci dane widzieć oba światy...

- Nam? – zapytałem niespokojny o to, co mi się jeszcze nagle może objawić.

- No duchom, ze świata duchowego, ma się rozumieć.

- Wiesz co? - przerwałem mu w pół słowa. - Jeżeli naprawdę uważasz, że te dwa cymbały na balkonie to nic innego, jak stuprocentowe duchy, to powiedz mi, skąd w moim fotelu wzięła się namacalna i, jak najbardziej rzeczywista, dziura?

- No i właśnie - uśmiechnął się dobrodusznie szary. - Dochodzimy do sedna sprawy: po prostu niektóre elementy świata duchów zaczęły przy tobie przenikać do świata rzeczywistego. Nazwałem to dla własnych potrzeb anomalią parazmysłową.

- Anomalią parazmysłową! – zachnąłem się. – Niby to czemu zapracowałem sobie na tak wątpliwy zaszczyt?

- Anomalia parazmysłowa występuje niezmiernie rzadko – wyjaśnił duch – mamy z nią do czynienia, gdy ktoś pogodzi się już ze śmiercią, a w ostatniej chwili udaje mu się jej ująć. Następuje wtedy otwarcie wrót innego świata, lecz nie ma kodu zamknięcia, dzięki czemu drzwi pozostają uchylone. Przez ta szparę w drzwiach mogą przenikać duchy, dzięki czemu je widzisz.

- Matka jak zobaczy tych dwóch durniów na balkonie, to zawału dostanie – mruknąłem.

- Uwierz mi, nie zobaczy – duch przybrał protekcyjny wyraz twarzy. – Dziurę w fotelu też widzisz tylko ty.

- No i pięknie. Teraz już przynajmniej wiem, skąd spadli ci dwaj miłośnicy mrożonych balkonów. Z innego świata. Dobrze, panie zegarynka – stuknąłem habit paluchem. Duch wewnątrz był całkiem namacalny. - Co ty tu robisz i

czemu masz moją gębę?

- Po pierwsze - jestem duchem TWOJEGO czasu, dlatego więc mam twoją twarz, głos, maniery... To oczywiście w celu lepszej integracji. Po drugie, to właściwie będę zmuszony cię cofnąć w czasie do punktu wyjścia, na chwilę przed tym, jak uaktywnił się w tobie dar widzenia. Oczywiście nie będziesz pamiętał nic.

I od tego momentu coś mnie zaczęło niepokoić, bo wynikało z tego, że przeżyję prawie rok życia raz jeszcze. Fajnie, tylko jak mi się życie inaczej ułoży? Jeżeli podejmę niewłaściwe decyzje? Jeśli na przykład – nie zrobię dyplomu, nie podejmę pracy w tym zakładzie, nie spotkam właściwej kobiety i będę siedział w domu na bezrobociu...

- Czy przyszłość jest określona? – zapytałem ni z gruszki, ni z pietruszki.

- No, co ty! – uśmiech ducha mówił mi już wszystko. – Każdy jest kowalem własnego losu.

Wcale mnie to nie ucieszyło, choć można się było w tym pokrętnym rozumowaniu doszukać i dobrej strony.

- A każdy kowal to artysta – podsumowałem. – Czyli jestem artystą pośród innych artystów? Nie ma szarych ludzi na tym świecie?

- Rzekłeś panie – duch skłonił się iście po japońsku. – Wygadałeś się już? Mogę zaczynać?

- Phi, a jak to zamierzasz zrobić?

- Mam tu gdzieś księgę zaklęć, poczekaj chwilę. Momencik ...- zaczął nerwowo szukać po kieszeniach. - Cofnę ten twój czas i wyprostuję anomalie do poziomu mieszczącego się w granicach błędu, wtedy przejście między światami nie otworzy się nigdy w takich okolicznościach... Gdzie jest ta cholerna książka? Gdy duch wytrząsał z kieszeni papierosy "Nadprzyrodzone", pułapkę na myszy, kawałki kredy szkolnej, prezerwatywy, długopisy i resztę przeróżnego, absolutnie niepotrzebnego szmelcu, ja odwróciłem się i otworzyłem małą, oprawną w czerwoną skórę książeczkę na pierwszej lepszej stronie. Zapytacie, czy mi aby nie wstyd? Pewien międzywojenny doliniarz powtarzał zawsze, że „dobrej buchanki nigdy nie wstyd, a dobry krawiec powinien być uważany za artystę”. Słowem: nie było mi wstyd. Zapytacie, kiedy? Tajemnica! Zapytacie jak? Zręczne ręce, trzeba było uważać.

Tymczasem gdy zjawia szukając nerwowo po kieszeniach pakowała jednocześnie do gęby "Nadprzyrodzonego" bez filtra, odwróciłem się do niej przodem i z miną Johna Wayne'a (jest boski, uwielbiam filmy z Łajnem!) odczytałem pierwsze lepsze zaklęcie modląc się w duchu, aby zadziało. Nie uśmiechało mi się raz jeszcze zdobywać dyplom, pracę i kobietę.

I jak myślicie? Stało się: wszystkie trzy duchy - dwa przecież suszyłem na balkonie - zaczęły maleć mocno gestykulując przy tym łapkami w stanowczym proteście przeciwko zaistniałej sytuacji, po czym zmieniły się w różnokolorowe iskierki, które po zatoczeniu kilku kółeczek wokół kuchennej lampy, zlały się w jedno. Nastąpił głuchy błysk tak jasny, jak miniaturowe słońeczko. W

niewielkiej chmurce dymu na stół kuchenny lekko opadła opasła księga oprawna w skórę z tajemniczym i nic mi nie mówiącym tytułem „Opowieści ze świata Czarowników”. Dzięki tej właśnie księdze dziś mogę wam prawić opowieści o wesołych Czarownikach, którzy żyją gdzieś w przyszłości i w dziwny sposób są ze mną związani jak Bolek z Lolkiem, jak Timur ze swoją drużyną, jak Numa z Pompiliuszem. Wszystkie te wesołe historyjki są w środku, w tej wyczarowanej z trzech niezbyt mądrych duchów księdze... Możecie mi wierzyć, ale czasami się zastanawiam, dlaczego czarowników jest aż trzech, przy czym każdy z nich jest jakby częścią mnie tak, jakby każdy miał moją twarz, maniery i skrzywione poczucie humoru, ale moje wątpliwości mijają, gdy czasami kątem oka uda mi się dojrzeć dwa podejrzane cienie na balkonie w sytuacji co najmniej śmiesznej - jak jeden usiłuje udusić drugiego. I nie jest wcale ważne, czy duszonym jest czerwony, czy niebieski cień.

* * * * *

Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:

HOMO HOMINI LUPUS (łac.) – człowiek wilkiem człowiekowi; ECCE HOMO (łac.) – oto człowiek; KONFEKCJA GENEWSKA – oczywiście chodzi o Konwencję Genewską, co i tak wynika z dalszego tekstu; PAVAROTTI LUCIANO – jeden z trzech najsłynniejszych tenorów; SZPAT – krystaliczna odmiana węgla wapnia używana jako polaryzator do szkła; MESZUGENE - (jidysz) oznacza tyle, co „pomylony”; JOM KIPUR – jedno z najważniejszych świąt żydowskich; ŻELAZNA MIOTŁA – bardzo nisko wykonywany z obrotu cios karate nogą; AJ LBI BEK – fonetyczny zapis ulubionych słów Schwarzeneggera w filmie „Terminator”; ASTA LUMBAGO BEJBI – podobnie, lecz słowa już są trochę przekręcone; HEMOROIDY – żylaki odbytu; NETSUKE – ozdóbka w formie małej rzeźby, charakterystyczna dla kultury Japonii; NIPPON – nie mylić z ippon – japońska nazwa Japonii; BAKAJARO, KONCIKUSIO – ordynarne japońskie przekleństwa; O`SZIT – moja wersja okrzyku „o shit!”; DAWID COPERFIELD, URIAH HEPP, ŚWIERSZCZ ZA KOMINEM – bohaterowie prozy Karola Dickensa, autora „Opowieści wigilijnej”; BUCHANKA – rzeczy ukradzione; KRAWIEC – tu – kieszonkowiec, złodziej; BOLEK I LOLEK – para sympatycznych urwisów, bohaterowie polskiej kreskówki; TIMUR – Temer Lenk vel Tamerlan – wódz z mongolskiego plemienia Barkasów, w 1360 roku rozpoczął podbój świata; NUMA POMPILIUSZ – rzymianin, którego imię często znajdujemy w żartach, np. „w którym roku Numa wyszła za Pompiliusza?”.

OPOWIEŚCI ZE ŚWIATA CZAROWNIKÓW

Rozdział I: Tysiąc Jeden Życzeń

Poznajemy czarowników, Pierwiosnka i jego gang oraz dowiadujemy się, dlaczego nie warto wędkować i grać w golfa w bibliotece.

Po dwóch latach od wyburzenia ohydneho quasi-pałacu wybudowanego wieki temu w samym centrum New Warsaw City, tysiące mróweczek pracowicie wnoszących budulec na kolejne piętra supernowoczesnej, ażurowej konstrukcji słupowo-ryglowej, dostały zaszczytu obejrzenia w holowizji uroczystości oddania do użytku swojego największego dzieła. Nie był to może szczyt możliwości architektonicznej – budowlanych nowych czasów, ale rok 194 Nowej Ery charakteryzował się osiągnięciem apogeum w dynamicznym niedorozwoju przemysłu, budownictwa i gospodarki ogółem, choć nie można było mówić o kryzysie. Wszystkiemu był winien minister Dryblas ze swoim wiecznym przydupasem Pijawką, pełniącym oficjalnie funkcję sekretarza partii aktualnie rządzącej, natomiast prywatnie był podnóżkiem opływającego w dostatki ministra. Po dwóch latach rządów obu panom grunt zaczął się palić pod nogami, więc ostatni skok na kasę, jaki udało im się wykonać przed wkroczeniem zarządu komisarycznego do ministerstwa, była sprzedaż zabytkowego Pałacu, który stał w mieście prawie od zawsze. Strzelistą i monumentalną, aczkolwiek podniszczoną konstrukcję rozebrano i wywieziono za ocean, gdzie prywatny pasjonat – kolekcjoner miał już całe poletko różnych pałaców techniki i zamków uniwersyteckich. Grunt po pałacu objęła we władanie niewielka firma „Mardi”, która w tajemniczy sposób zdobyła jeszcze bardziej tajemniczych sponsorów i w ciągu kilkunastu miesięcy wystawiła liczący czterdzieści dwa piętra supernowoczesny budynek. Wszystko by było po myśli ministra Dryblasa, bo nagle się okazało, że jako udziałowiec małej firmy „Mardi” dysponuje on potężną powierzchnią do wynajęcia i to w centrum New Warsaw City, ale nastąpił krach. Zapaść gospodarcza spowodowała, że drobne firmy zniknęły z rynku, wielkie firmy stały się małutkimi firemkami, a te, aby przeżyć musiały się jednoczyć w sprawdzony w systemie utopijnym szereg spółdzielni. Nowy budynek zyskał miano „Spółdzielni Usługowej”, w której stopniowo lokowały się spółki z kapitałem zagranicznym. Ale w czasie, gdy pracowite mróweczki wznosiły jeszcze swój pomnik ku czci i chwale ministra Dryblasa, dwóch nikomu nie znanych studentów uczelni ezoterycznej wpadło na genialny pomysł, który zaważył na ich całym późniejszym życiu.

- Znowu pączki od Clicklego? – chudzielec spojrzał na niesamowicie grubego kolegę z trudem mieszczącego się na swojej pryczy pokoju numer 666 na dwunastym piętrze akademika.

- A co? – mruknął grubas. – Wiem, że wolałbyś otręby i inne modne świństwa, ale sam powiedz: czy życie czarnoksiężnika miałoby smak bez odrobiny cholesterolu i słodczy?

- Twoje na pewno nie! – chudzielec uśmiechnął się kwaśno i powrócił do lektury obszarpanej, antycznej książki.

Tłuszcioch obrócił się na bok dalej kontemplując wyimaginowane, niebieskie migdały. Tuż nad jego pryczą wisiała na czerwonym, plecionym pasku Atalma, jedyny atrybut prawdziwego czarnoksiężnika, jaki mógł oficjalnie nosić na zajęcia. Adept wyciągnął magiczny sztylet o czarnej rękojeści ze srebrnej pochwy, obejrzał ostrze pod światło, po czym chwycił za obosieczne, lekko przerdzewiałe ostrze i zaczął wydłubywać sobie brud spod paznokci.

- Co znowu studiujesz? – zapytał totalnie znudzony nadmiernym brakiem gadatliwości swojego współlokatora.

- Ciekawa historia jest... - zaczął wciąż wpatrzony w literki kompan. – Autor „Zielonego Grimmuaru”, jak miemam to o niego chodzi, najpierw zniknął spośród druidów, potem pojawił się tysiąc lat później w trzecim roku Wielkiej Wojny, gdzie niełicho narozrabiał i gdzie rzekomo zginął podczas największej bitwy pod Vierdun. Niejacy Niemcy puścili na okopy sprzymierzonych jakieś gazy...

- Też to potrafię – mruknął Grubcio.

- Znikać, czy ginąć? – chudzielec oderwał z niedowierzaniem wzrok od tekstu i popatrzył na przyjaciela.

- Nie, puszczać gazy jak ten twój Pierdun!

- O nie, mój drogi! – książka zamknęła się z hukiem. – Ty jesteś lepszy niż Niemcy, bo ty puszczasz gazy i jesteś pierdun!

Niezwykłe spasiony adept siadł na brzegu swojej pryczy o rechotał jak żaba w rui.

- Masz chusteczkę, bo chyba się poryczałeś ze śmiechu – chudzielec rzucił przez pokój pudełko jednorazówek. – A swoją drogą, ciekaw jestem, co tak naprawdę stało się z mistrzem Geminschoenem.

- Hi, hi, hi! – grubas właśnie zakończył rechot ocierając krokodyle łzy. – Myślę, że skoro przeżył prześladowania druidów, to nie zabił go byle niemiecki pierdun.

Chudzielec podkulił nogi i spojrzał za okno. Właśnie zachodziło słońce przebijając się jeszcze tu i ówdzie przez gęste korony drzew pojedynczymi promieniami. Na biurku obok w antycznym, marmurowym pojemniku na gęsie pióra leżało kilka przedmiotów, jak czarnoksięska różdżka, srebrny sygnet z kompletu teurgicznego oraz kilka ręcznie rzeźbionych pentakli. Wzrok młodego adepta spoczął na srebrnym sygnecie.

- Możemy go poszuka – odezwał się, nadal tępo wpatrując się w srebrny, masywny pierścień.

- Myślisz o wskazaniu? – tłuszcioch spoważniał w ciągu minuty.

- O czymś jeszcze gorszym! – chudzielec uśmiechnął się pod nosem potrząsając swoją bujną czupryną. – Zapytamy demona o innego maga.

Gruby adept poderwał się ze swojej studenckiej pryczy.

- Nie możemy! Nie mamy uprawnień! – machał rękami jak wściekły koliber.

- A ty co? – chudzielec wstał i podszedł do okna. – Odlatujesz? Otworzyć ci okno? Za trzy dni egzamin dyplomowy, wtedy nabędziemy uprawnienia!

- Dopiero za trzy dni! – powtórzył z satysfakcją grubas dalej machając rękami.

Młody czarownik, ten zdecydowanie chudszy, popukał się w czoło, chwilę potem wyciągnął z płóciennnej torby nadgryzioną kanapkę drugiej świeżości.

- Naści ptaszku okruszków! Skończ już machać łapami, bo mi plakat Cynthii Chrysler uszkodzisz! A wracając do tematu: a kto ci policzy te godziny?

Przygotowania zajmą nam co najmniej dwa dni.

Ptaszek przestał machać łapkami.

- Poza tym nie masz najważniejszego – skonstatował Grubcio wpatrzony hipnotyzującym wzrokiem w kanapkę kolegi. – Czy masz może co do tego okruszka jakieś konkretne zamiary?

- Możesz zjeść – adept machnął ręką. – To czego nie mam?

- Najważniejszego... mniam!

- Rozumu?

- Nie ośle jeden! – tłuscioch się zakrztusił. - Przedmiotu poszukiwanego maga!

- Wiesz co? Nie powinno się tyle gadać z pełną gębą! – chudzielec wałnął przyjaciela z całej siły w plecy. – Ta nieodwzajemniona miłość do jadła cię kiedyś zgubi! Czy wiesz, że w muzeum uczelni jest zielony pierścień mistrza Geminshoena!

Otyły czarownik wybałuszył oczy, zupełnie, jakby w kanapce pojawiły się trzy żółte hipopotamy.

- Ależ to relikwia! Od razu wykryją, kto go buchnął! – wybełkotał władca hipopotamów.

- Nie, gdy robi to ktoś, kto nie miał jeszcze styczności z magią profesjonalnie. Tymczasem mistrz hipopotamów zjadł ostatni kęs kanapki i rozglądał się za czymś do popicia. Padło na słoik z wodą.

- Masz kogoś konkretnego na myśli? – czarownik złapał naczynie i wzniósł niemy toast. – Za mojego promotora, oby nie był upierdliwy na egzaminie! Zanim chudy mag zdążył powiedzieć „ciach po grdyce”, po wodzie nie było ani śladu.

- Odstana, tygodniowa woda spod kwiatków! – zgadnijcie, kto załamał ręce. Grubciowi się ohydnie odbiło.

- No to już wiem! – stwierdził z pewną miną. – Wiem, czemu mi zgrzyta między zębami. To te twoje glony.

- Nie glony, tylko piasek – sprostował wciąż obrażony adept.

- Taaaaak. To wiele wyjaśnia. Widziałeś wróbelki? Sprytne maleństwa! Czasem dzióbią piaseczek. Wróbelkom nie szkodzi, prawda?

- Drogi przyjacielu, ty nie jesteś wróbelkiem! – czarownik wstał i machnął ręką.

- Chodź Grubciu, przedstawię ci mojego siostrzeńca i jego młodzieżowy gang. Obaj adepci wyszli z pokoju zatraskując za sobą drzwi. Kiedy idąc korytarzem tłuszcioch grzebał po kieszeniach, jego kompan wyciągnął z niewielkiego, zamszowego woreczka wiszącego na plecionym pasku niewielkie pudełeczko, które po otwarciu okazało się czymś, co od razu skojarzyło się tłuszciochowi z zawartością kobiecej torebki.

- Po co ci puderniczka? – zapytał z ciekawością wymalowaną na twarzy. – Poprawiasz make-up przed spotkaniem?

- To supercienki komunikator, najnowsze dziecko techniki czaromultimedialnej, ciemnoto.

- A niech to Murmur ściśnie! – grubas aż podskoczył. – Faktycznie! Ukradłeś?

- Wygrałem wczoraj w karty!

- ...i oczywiście ci durnie nie wiedzieli, że jako pół-telepata masz nad nimi przewagę?

- Oczywiście – skwitował chudzielec i jednym susem pokonał ostatnie pięć stopni klatki schodowej. – Zobaczymy, czy jest w hacjendzie.

Czarownik wpatrywał się w lusterko zamontowane w górnej klapie komunikatora. Przetarł delikatnie powierzchnie lustra mamrocząc dość proste zaklęcie kierunkowe. Po chwili powierzchnia lustra zmętniała, zupełnie jakby ktoś zamieszał wodę z mąką, by po chwili ukazać spoconą, szczupłą twarz nastolatka.

- Cześć – mruknął chudzielec zaskoczonemu młodzieńcowi. – Coś taki spocony?

- Jestem w Palestynie... - wyznał z oporami młodzieniec.

- Gdzie? Co ty tam, na świętego Flaurosa, robisz?! Miałeś siedzieć na dupie w chałupie! I co ja powiem teraz twojej matce?

- Eeeee... jestem w chałupie – wyznał chłopak i dodał po chwili. – Chodź, przedstaw się.

W lusterku pojawiła się uśmiechnięta blondyneczka z kucykiem na bok. Po chwili objęło ją opiekuńcze ramię chłopaka.

- Cześć, jestem Palestyna – uśmiechnęła się obnażając cyrkonie w górnej jedynce..

Obaj czarownicy zaczęli wzbudzać na ulicy sensację, bo o ile grubszy rechotał coraz głośniejsze, chudszy pojawiły się na twarzy wszystkie sine kolory zwiędłej tęczy.

- Pierwiosnek, na litość demonów! – wrzasnął wściekły chudzielec. – Wyrzucić natychmiast z rąk to paskudztwo!

- Dobra, dobra! I tak zaraz musi spływać, bo ma lekcję etyki...Co jest grane?

- Musimy pogadać z twoimi kolesiami – mag wyraźnie ochłonał.

- Ciekaw jestem, czym wam się narazili? – spytał chłopak i na chwilę zniknął z pola widzenia. W tle było słychać delikatne „cmok”. – Już poszła.

- Rozpustna Palestyna udała się na lekcje etyki, hi, hi, hi! – Grubcio nadal rechotał pod nosem. – Pewnie do Ziemi Świętej, hi, hi, hi!
- Znowu ten żarłok? – zapytał młodzieniec nazwany Pierwiosnkiem.
- Nie jestem obraźliwy – wtrącił rechoczący mag.
- Zaraz będziemy – uciął chudzielec i skręcił w przecznicę.

* * * * *

Kula ze świstem przeleciała obok hełmu Shoena. Wiedział, że od niechybnej śmierci dzieliły go tylko dwa cale, ale wiedział też, że jeszcze nie nadszedł jego czas. Powoli i systematycznie wycofał się w głąb okopu, gdzie nie mogła mu zagrozić żadna zbłąkana kula. Ze smutkiem popatrzył na leżące w kałuży zamrożonego błota ciało młodego feldfebla z 22 pułku ułanów Katzlerskich – tak przynajmniej mówiła naszywka na jego kurtce. Pochylony przeskoczył nad zwłokami i pomknął w kierunku bunkra. Pewnym było, że Niemcy nie zaatakują już tego dnia, choć wszystko mogło się przecież zdarzyć. Popatrzył na horyzont. Pośród setki lejów po pociskach artyleryjskich poprzecinanych zasiekami majaczyła sino-szara chmura. Przyśpieszył kroku, bo podejrzewał już, co to może być. Gaz! Widział już taką chmurę ponad pół roku temu, kiedy to pod Ypres niemiecki gaz wydusił ponad pół pułku Bajończyków. Jego pułku! Tego pięknego, majowego dnia wróg posunął się do przodu umacniając swoje pozycje, choć dzień wcześniej, kiedy oddział w porywie serc zaśpiewał „Mazurka Dąbrowskiego” z okopów nieprzyjaciela miast gradu kul odpowiedziały okrzyki radości. To poznaniacy wcieleni do niemieckiego wojska. Jak się później dowiedział od jeńca, poznaniaków w tej samej godzinie przerzucono na tyły frontu w obawie przed masową dezercją... ale to było dawno temu, milion wybuchów temu, bo teraz czas odmierzało się eksplozjami i atakami gazowymi. Tu, w okopach twierdzy, groził mu znowu atak gazowy, a swoją maskę oddał wczoraj rannemu przyjacielowi. Miał tylko nadzieję, że Jean-Marc dotarł bezpiecznie do prowizorycznego szpitala polowego po tym, jak go... wskrzesił. Użył całej swojej wiedzy tajemnej, najpotężniejszego czaru mistrzów Zielonego Kręgu, aby dać szansę temu młodemu Walończykowi, który aż tak przypominał jego młodszego brata. Eksplozja granatu mózdzierzowego wyrwała go z zadumy. Schylając się jeszcze niżej w naturalnym odruchu, pognął w poprzeczny wykop prowadzący do bunkra łącznikowego. Tuż za nim wychylił się delikatnie z okopu i od razu przypomniał sobie radę młodego przyjaciela. Z górnej kieszeni płaszcza wyciągnął pudełko z papierosami i delikatnie uchylił wieczko. Tam, zawinięty w szmatkę koloru szarego spoczywał kawałek lusterka. Powoli, ostrożnie wychylił lusterko ponad okop. Okolica ruin twierdzy Verdun wydawała się całkowicie wyludniona, a jedyną oznaką ruchu na zmrożonym polu bitwy, była chmura, która zmieniła kierunek swojej marszruty tak, jakby wiedziała, gdzie ukrywa się Schoen. Siny obłok przeszedł nad drzewem, które po wyjściu z mrocznego obłoku nie

przypominało już drzewa, lecz wypalony kikut. Schoen już wiedział: to nie atak gazowy! To Demon Mroku szukał go na polu bitwy, aby dokonać zemsty za zniewagę sprzed wieków, za ujawnienie tajemnic Zielonego Kręgu! Nie namyślając się długo rzucił bezużyteczny kawałek lustra w zamrożone błoto i pognął wykopem przed siebie schylając się jak najniżej. Wpadł do bunkra łącznikowego i wysypał pospiesznie zawartość plecaka. Odrzucił bezwartościowy nóż, konserwę i pakunek z chlebem. Pospiesznie wydobył srebrny kielich, dwie miedziane miseczki, tajemniczą buteleczkę, zawiniątko i czarny sztylet. Ustawił na deskach stołu miseczki, do jednej nalał trochę wody z manierki, do drugiej wsypał białego proszku z zawiniątka. Do kielicha wlał zawartość buteleczki, którą rozthukł o niemiecki hełm zalegający w błocie, następnie uchwycił oburącz sztylet. Wymamrotał kilka wierszowanych formuł, lecz nie brzmiały one w żadnym znanym języku świata i unurzał sztylet w kielichu z dziwną czerwoną cieczą. Po chwili chwycił zmarzniętą ręką owiniętą w szmaty kielich i chwilę popatrzył na zawartość. Wzniósł niemy toast za szybkie zakończenie bezsensu, który spowił świat dwa lata temu i wypił zawartość do ostatniej kropli. Demon Mroku, który majestatycznie dotarł do celu swojej podróży zawył żałośnie, gdyż ścigany człowiek po raz drugi wymknął mu się ze szponów. Tej nocy, w ataku ślepego szału, rozszarpał wielu śpiących żołnierzy po obu stronach frontu. 21 lutego 1916 roku rozpoczęła się bezsensowna jatka, w której poległo ponad pół miliona walczących ze sobą żołnierzy.

* * * * *

- Twoja matka haruje jak wół, a ty się za pannami uganiasz? – chudzielec nie przestawał ryczeć na młodego chłopaka. – Nie wstyd ci?!

- Przestań już! – zaprotestował czarownik obszernej postury. – Chłopak ma już dość. Później sobie po nim pojeździsz

Adept w końcu się zamknął.

- Dzięki Grubciu – mruknął speszony obiekt ope-eru.

Tłuszcioch przysiadł na krawędzi łóżka. Po chwili wyciągnął spod haftowanej poduszki różowe figi.

- Wysłać je do Palestyny? Hi, hi, hi! – dodał powiewając nimi jak chorągiewką.

- Chodź no tu do mnie! – chudzielec rzucił się na grubasa. – naciągnę ci je na łeb!

Po chwili delikatne majteczki zrobiły głębokie w brzmieniu „trrrach!”, zupełnie na miarę pantalonów na stukilową babę. Obaj adepci siedzieli na łóżku dzierżąc strzępy różowej bielizny.

- Dobra, dość wygłupów – rzucił wyraźnie spokojniejszy chuderlak. – Przemykam na to oczy, młokosie, znaj moją wielkoduszność!

- ...a gdybyś znał jego wyczyny, gdy był w twoim wieku? Ho, ho, ho! – dodał Grubcio i po chwili pożałował, bo różowa szmata pacnęła go w czoło. – Dziękuję, o niczym innym nie marzyłem tego dnia!

- Czuje, że jest w tym jakiś kruczek! – wymamrotał ciągle speszony Pierwiosnek.

- Patrz, szybko się dzieciak uczy! – mruknął mag. – Zabieraj to swoje trofeum z mojej czupryny!

Po chwili obie różowe połówki wylądowały w koszu na śmieci. Chudzielec ciągnął watek.

- Chcesz wersję skróconą?

- Poproszę.

- Oto zdjęcie zielonego pierścienia z pewnej uroczej gabloty na naszej uczelni. Chciałbym go dostać, gablota jest strzeżona silnymi czarami, a każdy, kto się do niej zbliży, może mieć kłopoty. Możesz zabrać kumpli, płacę pięć krugerandów. Czy coś pominąłem?

- Dwadzieścia – przerwał młodzieniec.

- Dziesięć.

- Dobra – adept zgodził się niechętnie. – Tylko bez wsypy, bo ja nie lubię się nikomu tłumaczyć, a twojej matce szczególnie!

- Spokojna głowa! – zapewnił Pierwiosnek. – Masz ładny gadżet, mogę skorzystać?

- A potrafisz?

- To proste zaklęcie, dziecko nawet je zapamięta!

- Ja nie pamiętam... - jęknął cichutki głosik z łóżka.

- Grubciu! – wyrwało się jednocześnie chłopakowi i jego wujowi.

Młodzieniec pewnie pochwycił aparat, popatrzył z zadowoleniem na nowiuteńki multi-komunikator i otworzył wieczko. Wymamrotał coś po starosumeryjsku, obraz zmętniał, by po chwili ukazać przyszczatego młodziana o mysiej twarzy.

- Joł! – wypaliła Szczurza Twarz.

- Cześć – mruknął Pierwiosnek. – Siedzisz nad rzeką?

- Joł! – potwierdził myszowaty gostek.

- Biorą?

- Joł!

- A chcesz iść na lepsze rybki?

- Joł?

- Dwa krugerandy.

- Trzy!

- Joł! Tfu, co ja plotę! – Pierwiosnek machnął ręką. – Zgoda. Trenuj zarzutkę, potem pogadamy.

- Joł, nara! – obraz zniknął.

- To był Lukas – wyjaśnił Pierwiosnek. – Ubzdurał sobie, że jest władcą szczurów...

- Chyba wodnych – dorzucił Grubcio zafascynowany oglądanym przed chwilą indywiduum.

Chłopak powtórzył czar nad komunikatorem. W mętniejącym zwierciadle zmaterializowała się postać dziwnego młodzieńca z zabójczym lokiem.

- Gram – warknął na powitanie ubrany na czarno młodzian.

- Domyśliłem się. Chcesz zagrać na forse?

- A o co biega?

- Jedno trafne uderzenie za dwa krugerandy – rzucił Pierwiosnek.

- Trzy i gramy – przebił czarny loczek.

- Gramy. Szczegóły wieczorem. Cześć.

Klapka z komunikatora trzasnęła o swoją drugą połówkę. Chłopak niechętnie oddał wujowi najnowszą zdobycz techniki czaromultimedialnej.

- A ten to był kto? – zapytał chudzielec chowając jednocześnie swoje nowe cacuszko do kieszeni spodni. – Perkusista?

- Zapalony golfista. Kumpel ze szkoły.

- Taaaaa... - ciężka łapa Grubcia wylądowała na szczupłym ramieniu. – Wiemy już coś o tym, taki kumpel to skarb! Nic, tylko zakopać!

Chudzielec wstał i wyszedł z pokoju.

- Dobra, mały – rzucił na pożegnanie. – Jak coś wymyślisz, dycha twoja. Jak coś schrzanisz, niechybnie oberwiesz. Żarcie w lodówce, tylko odgrzej. My wracamy się skoszarować, takie przepisy dla adeptów ostatniego roku. Grubciu, dość byczenia. Idziemy.

- Dobra. No to cześć wam.

Drzwi zamknęły się z głośnym skrzypieniem zawiasów. Pierwiosnek pomyślał, że to będą najłatwiej zarobione pieniądze w ciągu ostatniego roku.

Nazajutrz chłopak zjawił się w akademiku i po krótkim i zdawkowym „cześć” dobrał się do holowizora. Z torby wyciągnął małą kamerę holowizyjną, usadził zdziwionego Grubcia na krześle i wręczył obu adeptom małe porcje popcornu z akademickiego bufetu. Po chwili podłączona kamera zgłosiła się radosnym komunikatem „READY”. Pierwiosnek wyciągnął z torby ułamaną teleskopową antenę z antycznego radioodbiornika i stanął z boku urządzenia, tak, aby nie zatraciła się głębia obrazu. Po chwili było jasne, że rozciągnięta antena miała zastąpić wskaźnik.

- Witam panów na pierwszym i jedynym pokazie sztuki prawdziwie czarnoksiężskiej – zaczął chłopak kłaniając się nisko nielicznemu audytorium. – Oto buchanka, co się zowie; bez wpadki i zbędnych ceregieli.

Na ekranie ukazało się sanktuarium akademickiej biblioteki, gdzie po środku dużej sali z ułożonymi promieniście regałami z traktatami ezoterycznymi, stała rzeźbiście oświetlona gablota. Wewnątrz skrzył się tajemniczym blaskiem zielony pierścień największego czarownika Zielonego Kręgu. Po chwili szyby gabloty opadły, by załączyć system automatycznego odkurzania.

- Widzimy, jak w godzinie Merkurego – czyli dla mnie dwudziestej drugiej czterdzieści, automat obniża szyby gabloty, aby wydmuchać z niej nagromadzony za dnia kurz.. A oto nasz mistrz łapania sandaczy, vel Lukas, czasem władca szczurów i innego robactwa przynętowego..

Rzeczywiście, na jednym z regałów zamajaczył cień niewysokiego młodzieńca z czymś długim w ręku. W powietrzu coś świsnęło, potem było głębokie „trrrrrrrrrrr” i dopiero po chwili do oglądających film adeptów dotarło, że długim przedmiotem była wędka, zaś tajemniczy odgłos wydawał kołowrotek szybkoobrotowy.

- Chcesz mi powiedzieć, że to było takie proste? – chudzielec nie wierzył własnym oczom i miał rację. – A czujniki nacisku?

- Wiedzieliśmy o nich. Oto drugi zawodnik.

Na ekranie pojawił się inny cień. W oddali majaczyły zarysy regałów i widać było, że po jednym z nich ktoś się wspina do góry. Po chwili postać na regale wciągnęła do góry jakiś długi, smukły przedmiot. Drugi cień, stojący w korytarzu vis-a-vis ustawił biały talerzyk na mechatej wykładzinie, na nim położył dziwnie znajomy przedmiot i pochwycił z wąskiego kołczanu na plecach najlepszej jakości golfowy kij. Chłopak z kijem zajął pozycję i skinął temu na regale. Wędkarz zamachnął się kijem, słysząc daleki świst, potem znajomy terkot oraz głucho uderzenie kija golfowego o tajemniczy, okrągły przedmiot. Po chwili gablota zasunęła się, a obraz na zbliżeniu ukazał schowany za szkłem zielony pierścień.

- Twój wędkarz spudłował – orzekł Grubcio.

- Pudło – odpalił Pierwiosnek.

- Golfiarz trafił go w łepetynę? – zapytał chudzielec.

- Też pudło!

- Chwila moment! – Grubcio nie dawał za wygraną. – Pierścień został w gablocie.

- No to łap! – wrzasnął chłopak.

W powietrzu błysnął zielenią przelatujący przedmiot. Tłusty adept ze zdziwieniem patrzył na wykradzioną spod opieki potężnych czarów relikwię.

- Jak u licha? – chudzielec był niemniej zaskoczony. – Nie było alarmu, nikt o tym nie mówił... Wiedzielibyśmy, takie rzeczy na uczelni nie pozostałyby tajemnicą!

- Przedwczoraj kupiłeś mi miętowe landryny. Stopiłem trzy nad gazem i odlałem w formie z wosku podobny kształt. Łatwizna! Potem Lukas złapał oryginał na wędkę, a Mangel celnym strzałem przy użyciu wedge`a umieścił duplikat na właściwym miejscu. To co? Wyplata?

- Zarobiliście na swojej dychę – czarownik sięgnął do sakiewki i odliczył stosowną ilość gotówki. – Powiedz tylko, dlaczego zarabiasz najwięcej, skoro twoi kolesie odwalili całą robotę?

- Bo ja byłem mózgiem całej operacji – chłopak dumnie wypiął pierś. – A wiedza kosztuje.

To powiedziawszy, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

- Trzeba na wieczór przygotować krąg w świetlicy – mruknął Grubcio.
- Jak to wytłumaczysz innym adeptom?
- Próba generalna przed dyplomem – mruknął tłuscioch i wyciągnął z kieszeni paczkę suszonych fig. – Chyba nie chcesz się zbłaźnić przed promotorem?

Tłuscioch popatrzył na swoje arcydzieło sztuki kaligraficznej. Na parkiecie świetlicy znajdował się wykreślony poświęconą kredą magiczny krąg wpisany w trójkąt równoboczny, na którego bokach widniały wypisane greką odpowiednio: ANEXNETON oraz PRIMEMATON, na dole zaś po hebrajsku imię najwyższego. Wokół płonęły już czarne świece, obok na ołtarzu spoczywały dwie miedziane miseczki, jedna z białym proszkiem, druga z przezroczystą cieczą. Po chwili do Sali wparował chudzielec taszcząc dwa czarownicze płaszcze, tuzin pentakli zabezpieczających oraz papierowe korony mistrzów magii.

- Zakładaj – mruknął do kolegi podając mu odpowiedni zestaw.
- Ej, mój płaszcz jest rozpruty! – zaooponował Grubcio oglądając rozdartą szatę. Przyjaciel popatrzył na niego z półuśmiechem.
- W magazynie największym rozmiarem jest XXL. Nikt nie przewidywał w akademii studenta w rozmiarze pięć iks!
- Jestem tylko dobrze zbudowany!
- Eeeee tam! – chudzielec poklepał go po ramieniu. – Chyba się nie obraziłeś?
- Żartujesz? – grubas uśmiechnął się szeroko. – Nie sposób mnie w taki sposób obrazić! No, chyba że zjesz moje czwarte śniadanie...
- Dobra – uciał adept. – Już czas. Włóż do kręgu i recytuj!
- Spokojnie, mamy czas – uspokoił przyjaciela Grubcio i śpiewnym głosem rozpoczął teurgiczną inwokację:

"Amor, Amator, Amides, Ideodoniach,
Amor, Plaior, Amitor!
Mocą tych oto aniołów ubieram się w te potężne szaty.
Z ich pomocą doprowadzę do pożądanego skutku wszystko,
co najgoręcej pragnę osiągnąć, przez ciebie najświętszy
Adonaj, którego królestwo i władza są wieczne. Amen."

Po chwili drugi czarownik dodał niemiłosiernie fałszując:

"Duchy, przybywajcie!
Zaklinam was i rozkazuję wam duchy, ilekolwiek was jest
abyście co rychlej przybyły na wezwanie.
Chcemy odnaleźć zgubę, kto nam pomoże?"

Wokół trójkąta poczęła się formować mgła. Po chwili zgęstniała, natomiast

chłód przestrzeni duchowej stał się aż nadto zauważalny. Chudzielec zawodził nadal:

"W imię Boga, który jest Bogiem bogów i Panem wszystkich panów! Bacność i przybywajcie tu wszystkie duchy! Mocą i zasługą waszych królów obowiązane są wszystkie duchy piekieł objawić się w mojej obecności przed tym oto kręgiem Salomona gdy je przywołam! Przybywajcie więc na mój rozkaz, ażeby spełnić me życzenie, o ile to w waszej mocy! Przybywajcie ze wschodu, z południa, z zachodu i z północy! Rozkazuję wam wszystkim i zaklinam was mocą przenajświętszego imienia wszechmogącego żywego Boga, którym jest Elohim, Jah, El, Eloach, Tetragramaton!"

Obok trójkąta wyłonił się z mgły zupełnie przeciętny człowiek w todze.

- O niech to! – Grubcio klasnął w ręce. – Forkas we własnej osobie!

- Ja żem ci to! – rzekło widmo.

- Ty żeś mi? – mruknął chudzielec skołowany obecnością tak niezwykłego gościa. A powód był słuszny; Forkas należał do wyższego rzędu demonów, jednakże w przeciwieństwie do innych, chętnie pomagał słabszym. Nie mówiąc już o tym, że był to pierwszy samodzielny seans dla obu adeptów.

- Ha! Nowicjusze! – wycharczał demon.

- Wybacz o szlachetny panie – mag skłonił się kładąc lewą rękę na piersi, co oznaczało najwyższy szacunek okazany duchowi. – Jeszcześmy niewprawni w sztuce, ale z pomocą twojej znakomitej osoby być może dane nam będzie osiągnąć znaczny stopień wtajemniczenia.

Duch odwzajemnił ukłon, co oznaczało przychyłność z jego strony.

- Czego chcecie się dowiedzieć?

- Panie, wybacz nadmiar śmiałości – wtrącił Grubcio pokazując demonowi zielony pierścień wykradziony z sanktuarium wiedzy. – Wiemy, że potrafisz wskazać zgubę. Zaginął człowiek, który nosił ten pierścień. Chcemy go odnaleźć, poznać jego dalsze losy.

- Ha! – widmo wyciągnęło rękę. – Podaj mi go!

Czarownik odruchowo wyciągnął dłoń dzierżącą pierścień. Demon skrzywił twarz.

- Nie tak, człowieku! – zaskrzeczał duch. – Połóż poza kręgiem, lecz w zasięgu magicznego trójkąta! Gdyby twoim pierwszym zawezwanym duchem był Feniks, już nie miałbyś ręki aż po łokieć!

- Dzięki za naukę, panie! – tłusciuch pomasował odruchowo dłoń. Faktycznie, Feniks mógłby ją spopielić w ułamku sekundy. Po chwili pierścień powędrował poza magiczny krąg.

Demon pochwycił opalizujący przedmiot i spojrzał na niego pod światło.

- Poznaję! – wycharczał. – Sam mu go dałem!

- Czy możemy poznać jego losy?

- Ten, o którego pytacie jest od lat w niebycie. Pomiędzy naszymi światami jest przestrzeń niczyja, pustka kosmosu, próżnia wszechświata. Ten, kto ucieknie w te rejony, jest bezpieczny, lecz sam z tej pustki nie powróci. Może tylko trwać, czasem aż po wieczność.

- Dzięki ci, o panie! – czarownik skłonił się ponownie. – Jak możemy ci zapłacić za tak istotną dla nas przysługę?

- Nie łaknę krwi, ani bogactw. Okazany szacunek jest dla mnie wystarczającą zapłatą.

To rzekłszy, widmo skłoniło się i rozmyło we mgle. Rozmowa była zakończona.

- Czekaj, gdzie leziesz! – upomniął kolegę Grubcio. – Trzeba zamknąć portal!

"... a gdybyście były nieposłuszne, skażę was na tysiąc lat męczarni będących karą dla każdego z was, który by w całości nie uznał mocy Wszechwiecznego i jego przykazań. Amen."

Obaj adepci wyszli z kręgu i popatrzyli na siebie. Papierowa korona grubszego z nich powoli rozpuszczała się przesiąknięta potem, a atrament z tajemniczych znaków zdobiących koronę spływał tu i ówdzie cienkimi strużkami znacząc plamami kołnierz rytualnej szaty. Dopiero teraz jasnym się stało, że chudzielec założył swoją szatę na lewą stronę.

- Rety, mało brakowało! – przyznał.

- Niewiele... - zawtórował drugi z czarowników ocierając pot z czoła.

- Ściągamy go?

- Ściągamy!

Nazajutrz drzwi od pokoju adeptów sztuki magicznej rozwarły się z hukiem. Do środka wtoczyła się dziwna procesja, którą otwierał zakapturzony jegomość z siwą brodą, potem wszedł portier, na końcu wtoczył się Pierwiosnek popychany przez niewielkiego człowieczka ze śmiesznym, mysim wąsikiem.

- Oddawać mi go natychmiast! – wrzasnął spod kaptura brodac.

Obaj adepci zerwali się na równe nogi.

- Mistrz Rektor! Jego Magnificencjo, czemu zawdzięczamy tą niespodziewaną wizytę?

- Ukradliście Zielony Pierścień mistrza Geminshoena! To profanacja! Oddajcie natychmiast relikwię! – grzmiał rektor. – Śledczy Wontorek, aresztować także ich! Przeszukać!

- Wiem, co mam robić, od tego są przepisy, a te znam – odparł człowieczek ze śmiesznym wąsikiem wyciągając odznakę. - Śledczy Eskulap Wontorek, policja municypalna New Warsaw City.

- Ktoś sypnął? – spytał bladego jak kreda siostrzeńca chudzielec.

- Masa miętowa rozpuściła się od gorąca żarówki oświetlającej gablotę...

- Dzięki temu namierzyliśmy chłopaka. Potem to już była czysta formalność – warknął jego magnificencja rektor i wyciągnął dłoń. – Pierścień musi wrócić do gabloty!

- Może i racja – doszło gdzieś z boku. Dopiero teraz wszyscy przybyli zauważyli, że adepci nie byli w pokoju sami. Na łóżku z boku leżał wysoki mężczyzna o szlachetnych rysach twarzy, ubrany w przepisowy mundurek adepta, zdarty jakby z młodszego brata.

- Nie będzie mi już więcej potrzebny – to rzekłszy ściągnął pierścień z palca i podał zbaraniałemu rektorowi. Ten zacisnął odruchowo dłoń.

- Mistrz Geminshoen!... – jego magnificencja odrzucił kaptur ukazując gigantyczny wytrzeszcz oczu. – Yhhhhp....!

- Chłopki, dajcie jego magnificencji wody, bo jeszcze nam się tu udusi – zaordynował mistrz..

Rektor wychylił bez namysłu całą zawartość podanej szklanicy. Jego twarz momentalnie poczerwieniała, oczy jeszcze bardziej wyszły z orbit. Widać było, że biedaczek się zapowietrzył.

- Grubciu, co to było? – mruknął zaniepokojony chudzielec.

- Musiało zostać samogonu z sobotniej imprezki...

- Spokojnie chłopaki – podsumował mistrz – Już nabiera kolorków.

Tymczasem rektorowi wrócił głos.

- Jestem zaszcza... szczy... zaszczycony! – skłonił się nisko.

- Ależ szanowny kolego! – Geminshoen chwycił go za ramie podnosząc z bogobojnego ukłonu. – To zaszczyt dla mnie! Jestem pod wrażeniem! Wspaniali nauczyciele, wspaniała szkoła, wspaniali adepci! Jeżeli reszta uczniów jest tak zdolna i tak odważna, jak tych dwóch, to mogę tylko się cieszyć, że zostałem ściągnięty w tak wspaniałe czasy! A teraz chciałbym się trochę porozkoszować tą waszą rozrywką... jak to się nazywa? Holowizja? Ostatnią nowinką, jaką widziałem w dotychczasowym życiu był aeroplan! Tyle mam jeszcze do nadrobienia!

- Ależ oczywiście! – mruknął rektor zadowolony z obrotu sprawy. – A wy zgłosicie się jutro do mnie.

- Na dywanik?

- Po dyplomy – jego magnificencja był nadal lekko zaskoczony nadzwyczajną odwagą, lub też głupotą uczniów. – Gratuluję, zdaliście z wyróżnieniem, choć nic tego nie wróżyło.

- Hmm, hmm! – przypomniał się policjant. – Rozumiem, że nie wnosi pan oskarżenia? Co z tym gagatkiem?

- Wypuścić! – kaptur znów przykrył siwą głowę. – Może liczyć na nagrodę akademii. Powiedzmy... Osiem krugerandów.

- Dwanaście! – odruchowo podbił chłopak.

- Dycha i ani krugeranda więcej! – rektor poklepał po ramieniu chłopca i przeszedł obok śledczego Wontorka. – Zgłoś się jutro do dziekanatu Wydziału Kabały.

Policjant bezradnie rozłożył ręce.

- Niestety, zgłoszenie zostało dokonane. Coś muszę z tym zrobić.

- Upomnienie? – zaproponował Grubcio.

- Nie bardzo.

- Naganę?

- A co to ja? Dyrektor szkoły? – oburzył się śledczy. – Wpiszę mu w akta kuratelę policyjną. Jak popełni jeszcze jedno wykroczenie, to będzie kurator sądowy. Poza tym nie znoszę czarów!

- Kurator sądowy! No mały, masz to pewne jak w banku! – chudzielec roześmiał się serdecznie, bo wiedział, że siostrzeniec już wkrótce wpakuje się znowu w jakieś tarapaty.

- Dziękuję, panie Wontorek – skrzywił się Pierwiosnek, ale to już na śledczym nie zrobiło wrażenia. Pożegnał się krótko, zwięźle, wręcz służbowo i wyszedł.

- Ciekawe czasy, lecz skoro żyję dalej, to za coś żyć trzeba – mistrz przysiadł na łóżku.

- Zostań nauczycielem – zaproponował chudzielec.

- I co? Mam się zakapturzyć i zapuścić brodę? To zbyt banalne, poza tym wymaga cierpliwości! – Geminshoen puścił szelmowskie oko. – W pierwszym tygodniu pozamieniałbym połowę moich uczniów w żaby!

- Cóż, może coś wymyślimy...

- Hej, a może – skoro macie już dyplomy w kieszeni, będziemy świadczyć usługi dla ludności? Sami mówiliście, że od mojej ostatniej wizyty czary spowszedniały, lecz władają nimi nieliczni...? Przyjmiecie do swojego zboru starego czarusa?

Adepci stali jak wryci. Taka propozycja! Z takich ust!

- Bądź nam szefem! – wrzasnął Grubcio.

- Dziękuję za zaszczyt – mistrz skinął głową w podzięcie. – Tym oto sposobem wasza firma ma szefa-figuranta z markowym imieniem. Fajnie być pierwszym! Muszę się jeszcze dużo nauczyć o tej nowej rzeczywistości...

- Pierwiosnek ci pomoże.

- Dycha – odruchowo palnął chłopak.

- Czekaj! – mistrz się roześmiał serdecznie. – Jeszcze nie mam pieniędzy! Jeszcze nic nie zarobiłem! Chętnie jednak skorzystam z twojej pomocy. W zamian nauczę cię kilku sztuczek, może ci się to przydać w przyszłości.

- Układ stoi! – z głośnym plaśnięciem chłopak przybił piątkę.

- Mam pytanie: skąd wiedzieliście?

Grubcio odwrócił się, by wygrzebać z półki przybrudzone tomiszczce.

- Z antycznej książki – odparł.

- „Drugie życie”, autor... Jean-Marc....! Dożył starości!

Tym razem radość mistrza była dla wszystkich zebranych niezrozumiała, ale mimo wszystko cieszyli się z takiego obrotu całej sprawy. Zawsze przecież mogło być gorzej.

Minister Dryblas kroczył zamasyżycie po nowiuteńkich wykładzinach kolejnych pięter supernowoczesnego wieżowca Spółdzielni Usługowej. Tuż za nim drobił szybkimi krokami jego sekretarz, podnózek i – jak określali niektórzy – przydupas, pan Pijawka, dzierżąc nieśmiertelny kajet.

- Jak to jest? – dopytywał się minister – Ten ciemny naród nie chce wynająć ani jednego pokoju na trzynastym piętrze?

- Przesady, ekscelencjo! – zaskrzeczał podnózek. – Trzynastka jest pechowa, ponad wszelką wątpliwość historia tego dowiodła wielokrotnie!

Dryblas przystanął przed złoconym portofenetem i spojrzał zza szarej szyby na miasto.

- To miasto potrzebuje takich miejsc, jak to! Nie ma tu mowy o żadnych przesadach!

- Tak ekscelencjo!

- ... ten kraj potrzebuje takich miejsc – ciągnął polityk. – My wszyscy potrzebujemy... Prawda, durniu?

- Prawda, durniu... - powtórzył jak echo sekretarz. – To znaczy, ekscelencjo!

- Za pięć minut otwarcie... Prasa, holowizja, notable! Przetnę wstęgę i co powiem? Że całe piętro będzie puste, bo naród ciemny? Oddałbym to piętro za symbolicznego krugeranda rocznie temu, kto by tylko chciał!

- Rzekłeś o panie! – rozległo się tuż obok.

Minister i jego podnózek stanęli jak wryci, bo oto obok zmaterializowało się trzech czarowników w czarnych płaszczach. Najstarszy z nich przemówił:

- Skoro tak, to nasza spółdzielnia czarowników obejmuje jeden z lokali trzynastego pietra w dzierżawę, zgodnie z pańskim słowem – za jednego krugeranda rocznie. A ponieważ założycielami jest mój zastępca oraz ten oto obszerny pracownik, tegoroczni dyplomanci, przysługuje im zniżka dla nowo otwartej firmy.

- Rzekłeś o panie! – rutyna ministra wzięła górę nad zdziwieniem tak niecodziennym wejściem. – Poproszę o stosowne dokumenty...

- Drugi, zechciej dać panu ministrowi kopie naszych dokumentów...

- Oto nasze dyplomy ukończenia Akademii Ezoterycznej z wyróżnieniem, akt rejestracyjny spółdzielni, odpisy zgłoszenia do skarbowki, ubezpieczenie. A dla dziecka kupon rabatowy na nasze usługi...

- Ten kurdupel to mój sekretarz – minister nie krył, że żart Drugiego go rozbawił. W ogóle nie ukrywał zadowolenia z tak nagłego pojawienia się najemców, bo był to dodatkowy atut przemawiający za atrakcyjnością nowego miejsca.

- Przedstawiam panu także naszego specjalistę od czarów. Oto Trzeci.

- Grubcio jestem. Jak tam pani ministrowa?

- Dziękuję, z pewnością dobrze – uśmiech ministra był coraz szerszy. - Dzięki Bogu, jestem kawalerem!

- Panie ministrze – kurdupel szarpnął Dryblasa za rękaw. – Już czas schodzić.

- Gratuluję! – polityk uściskał dłonie wszystkich czarowników i w asyście nieodłącznego satelity skierował się na schody. Po chwili stał już z nożycami przed wielką, czerwoną wstęgą, przęcając się w blasku fleszy.

- Szanowni państwo! – zaczął minister przecinając srebrnymi nożycami szeroką, czerwoną wstęgę. – Nowy budynek Spółdzielni Usługowej uważam za otwarty. Już dziś jestem pewien, że to arcydzieło techniki inżynierskiej na stałe wpisze się w krajobraz naszego pięknego miasta, zaś sama instytucja stanie się jedną z ważniejszych w całym regionie. Miło mi też zakomunikować, że do otrzymanej przez państwa listy najemców dołączyła sławna Spółdzielnia Czarownicza „1001 Życzeń”, która od dziś rezyduje na trzynastym piętrze tego wspaniałego biurowca... A teraz zapraszam wszystkich do Sali bankietowej na drobniutki poczęstunek i lampkę szampana.

* * * * *

* * * * *

Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:

HOŁOWIZJA – system telewizji trójwymiarowej; ATALMA – sztylet z czarną rękojeścią i magnetycznym ostrzem, nieodłączny atrybut osoby parającej się magią; GRIMMUAR – od słowa „grimorium” – księga zaklęć czarnoksiężnika; WIELKA WOJNA – I Wojna Światowa; BITWA POD VIERDUN vel PIERDUN – bitwa pod Verdun, prawdziwa, bezsensowna masakra, która nie przyniosła rozstrzygnięcia; CYNTHIA CHRYSLER – supermodelka, czarowniczy odpowiednik Cindy Crawford; MARMUR, FLAUROS – demony; YPRES – miejsce słynnej bitwy, podczas której Niemcy po raz pierwszy użyli gazów bojowych; BAJONCZYCY – pułk Legii Cudzoziemskiej składający się głównie z Polaków; KRUGERAND – fikcyjna jednostka walutowa, obecnie złota moneta RPA, nazwa pochodzi od słowa „rand”, waluty RPA oraz nazwiska prezydenta Krugera; WEDGE- jeden z kijów do golfa; FORKAS, FENIKS – dwa bardzo poważne demony; WONTOREK ESKULAP, ŚLEDZCY- postać lekko karykaturalna, będąca zlepkiem Herkulesa Poirot, Sherlocka Holmesa i porucznika Columbo; przed wojną pan Wontorek, gruby przemysławiec, był bardzo popularną postacią żartów rysunkowych.

OPOWIEŚCI ZE ŚWIATA CZAROWNIKÓW

Rozdział II: Reklamacja

O tym, jak bycie namolnym klientem zbliża nas do płazów, czyli Pierwszy wpada na zjazd, Drugi wpada w szal, a Grubcio wpada w panikę.

Po dwóch miesiącach od otwarcia nowoczesnego wieżowca Spółdzielni Usługowej, zrzeszona w niej niewielka Spółdzielnia Czarownicza „1001 Życzeń” już mnożyła zyski. Zapotrzebowanie na drobne usługi w zakresie czynienia cudów wzrastało w tempie zatrważającym, a to tylko z dwóch przyczyn: leniwi mieszkańcy New Warsaw City zawsze liczyli na cud, choćby i za słoną opłatą; po drugie - prawie dwa wieki przesądów zaowocowały potężnym zapotrzebowaniem na czarowników, a tych naprawdę dobrych nie było w całym regionie zbyt wielu. Oczywiście swoje robiły także sława przewodniczącego zboru, jakim niewątpliwie była Spółdzielnia Czarownicza oraz solidność wykonywanych usług. Dzięki temu już w pierwszym miesiącu działalności czarownicy mogli sobie pozwolić na dodatkowe sprzęty w swoim skromnym biurze, mieszczącym się na trzynastym piętrze supernowoczesnego wieżowca. Były to: antyczna maszyna do pisania „Torpedo”, którą Drugi kupił na lokalnej giełdzie staroci oraz wielka jak hipopotam kasa pancerna, którą Trzeci znalazł na złomowisku. Oba sprzęty po podrasowaniu, naoliwieniu i odmalowaniu istotnych i widocznych części korpusu, nadawały się jeszcze do użytku. Mistrz zawsze z rozrzewnieniem patrzył na maszynę do pisania, bo przypominała mu czasy, gdy najzwyczajniej w świecie pisywał do lokalnych gazet o spotkaniach towarzyskich, o nowinkach technicznych, o problemach zwykłych, śmiertelnych mieszkańców... a potem nadeszła wojna. Gdy tak siedział i rozmyślał o dawnych czasach, do pokoju wszedł Drugi trzymając nowy numer ogólnoregionalnej gazety.

- Czołem szefuńciu – palnął od progu – Spójrz, zainteresuje cię?
- Masz na myśli psychosomatyczny amplifier plastycznego sensowania paralelnego? – mistrz spojrzał na artykuł z niedowierzaniem. – Myślę, że tak. Po prostu rewelacja! No, w każdym bądź razie interesujące! A co to w ogóle jest?
- Nie tu! – usługny palec powędrował do odpowiedniej szpalty. – Zjazd!
- Second, jesteś genialny! – Pierwszy aż zapiał z zachwyty.
- Czyżbym słyszał kogucika? – do biura wtoczył się Grubcio trzymając całą paczkę wyśmienitych pączków od Clicklego. Zniewalający zapach rozlał się po całej agencji, a kto wie; może i po całym piętrze. Niestety, nikt nie mógł tego potwierdzić, bo mało kto miał odwagę zapuścić się na to piętro. Uściślając – trzynaste piętro.
- Cześć, miło, że przyniosłeś podwieczorek.
- To moje drugie śniadanie! – Trzeci przemienił się na chwilę w mroczną bryłę chodzącego oburzenia. – Dobra, kto puścił taki śliczny falsecik?

Mistrz podniósł nieśmiało rękę do góry.

- Ja... - odpowiedział cichutko.

- Aha, „Zjazd nekromantów”! – chodzące oburzenie zerknęło przez ramię pryncypała w gazetę i czytało dalej. – Organizator: Zakon Światła, w programie wykłady, gość specjalny doktor Szymon Iks... Na świętego Flaurosa!

Największy nekromanta naszych czasów!

- Róbcie, co chcecie – rozmarzył się Pierwszy. – Po prostu muszę tam być!

Trzeci siadł okrakiem na rozkładanym krześle. Delikatna kompozycja deszczulek i śrubek jęknęła przerażona obciążeniem.

- Chwileczkę... nie napisali najważniejszego.

Wybitnie gruby mag zakasał rękawy, delikatnie pogładził spoczywającą na biurku szklaną kulę, wymamrotał kilka starosumeryjskich formułek, po czym kula rozjarzyła się przyjemnym, błękitnawym blaskiem. Grubcio pocierał kulę coraz delikatniej, w kuli, jak w kalejdoskopie zmieniały się obrazy. W końcu pojawił się kruczoczarnowłosy gość o ziemistej cerze.

„Serdecznie zapraszamy wszystkich zainteresowanych na doroczny zjazd nekromantów, który...”

- Przewinę, bo patrząc na licznik, to gość ma tyradę na dwanaście minut – Trzeci pogłaskał kulę i obraz zdecydowanie przyspieszył. Czarnowłosy jegomość kłapał dziobem z szybkością karabinu maszynowego, bo po chwili zwolnić.

„... koszt uczestnictwa wynosi dwanaście krugerandów. Drinki osobno płacone, rozliczane na koniec imprezy.”

- No i fajnie – mlasnął mistrz. – Nie piję, to cały koszt to jedyne dwanaście krugerandów.

- Hmmm... - Drugi się lekko zasepił. – To całkiem sporo. Chyba się, szefuńciu drogi, nie przestawiłeś jeszcze na nasz system walutowy... Tak, czy siak: musisz zrobić rachunek kasy, by wiedzieć, czy nas stać.

- Stać – odparł Pierwszy wyraźnie zadowolony. – Faktura za odszczurzenie Sądu Najwyższego właśnie została zapłacona.

- Nie przypominaj mi nawet! – Grubcio spąsował na twarzy.

- Hej, jak tam panie piszczalkowy? – Second już rechotał na wspomnienie Grubcia wyprowadzającego całe stadko sympatycznych gryzoni z miasta.

- Skąd miałem wiedzieć, że ta legenda to bzdura?

- No nie! – mag załamał ręce. – Legenda wcale nie jest bzdurą, tylko ta twoja fujara nie była zaczarowana!

- Poza tym, trzeba mieć słuch i być odrobinę muzykalnym! – dodał drugi z czarowników. – A ty nie byłeś ani w melodii, ani w tonacji!

- Ale byłem skuteczny!

- Taaaak – przeciągle przytaknął mistrz. - Oprócz szczurów wyniosły się z budynku Sądu także pluskwy, pająki i kocie pchły. Po prostu swoją radosną twórczością zafundowałeś tym biednym stworzeniom masowy exodus. Nie wiedziałem, że pająki mają aż tak wyczulony słuch...

- Mniejsza z tym! – uciał Drugi. – Ważne, że kasa wpłynęła.

- Coś mi się wydaje, że brak szczurów w sądzie potraktowali jako cud, he, he!

- A jakże! – cmoknął zadowolony Grubcio. – Gdyby tak jeszcze utylizować prawników...! Niejeden mafioso okazałby dozgonną wdzięczność!

- Dozgonną? – powtórzył Pierwszy. – A do czyjego zgonu? I pytanie: czy rychłego? Z tymi typami nie ma żartów!

Drugi stanął z zadartym do góry nosem.

- I widzicie: wszystko rozbija się o kasę!

Trzeci zrobił trochę zdziwioną minę, po czym wyciągnął z paczki pączka, polizał i dodał filozoficznie:

- Jasne! Ale pieniądze, to nie wszystko! Po pączusiu?

- Poproszę... - Second nieśmiało wyciągnął rękę.

- Dobra dzieciaki – definitywnie uciał mistrz. – Ja jadę na zjazd, wy prowadźcie biznes. Czy mógłbyś wysłać moje zgłoszenie?

- Się robi – Trzeci wstał i podszedł do szklanej kuli. – Tylko obliżę paluchy. Chyba nie trzeba pisać, co Grubcio zrobił, zanim przysiadł do szklanej kuli? Zgadza się; a potem wytarł palce, tak dla pewności, w swój służbowy, czarowniczy płaszcz. Po chwili jednak szklana kula rozbłysnęła furią barw, poszarzała, zmętniała i zgasła.

- Zrobione – mruknął otyły czarownik podkładając sobie łokcie pod brodę.

- Rezerwacja w hotelu?

- Żartujesz? – oburzenie Trzeciego było nader uzasadnione. – Masz mnie za niewydarzonego akolitę?

- Pardon, jeśli uraziłem Waszą Obszerność – Pierwszy powstał i uklonił się nisko.

- Daruję łaskawie, choć trudno mnie obrazić – mruknął Jego Obszerność i gestem odegnał tuzin wyimaginowanych poddanych. – Przeoczyłeś jednak pewien drobiazg. Zjazd zaczyna się za dziesięć minut, a ty nie spakowałeś nawet walizki.

- Racja. A teraz patrzcie i uczcie się, jak się czaruje!

Pierwszy podszedł do archaicznego aparatu telefonicznego i wybrał numer.

- Halo? Hotel „Chiromancjum”? Proszę nie odkładać słuchawki, trwa transmisja... – mistrz uśmiechnął się do towarzyszy, po czym nagle zmienił się w niewielką, żółtą błyskawicę, która wpadła do telefonicznej słuchawki, ta zaś po chwili pacnęła z głuchym łoskotem o podłogę, tuż obok biurka.

„Halo, halo!” – rozległo się ze słuchawki.

Grubcio podniósł obity przedmiot i przyłożył do ucha.

- Tak, szefie. Uhm! Masz rację, ale na drugi raz trzeba będzie obłożyć słuchawkę gąbką... No jasne... baw się dobrze!

- I co? – ciekawość Drugiego była ogromna.
- Pierwszy pozdrawia. Wyśle nam pocztówkę.. Czujesz? Pocztówkę!
- Wtem na korytarzu rozległo się ciche „ping”, a to oznaczało, że na trzynastym piętrze zatrzymała się winda. Było to tak rzadkie zjawisko, że na obydwu czarownikach wywarło nie mniejsze wrażenie, niż niesamowita podróż Pierwszego po drutach telefonicznych na obsłudze hotelu. Po chwili tajemnicze „ping” z korytarza znalazło potwierdzenie w nieśmiałym pukaniu do drzwi „Spółdzielni”.
- Proszę – odruchowo palnął Grucio.
- Do siedziby zboru wtargnął gość w kapeluszu, ciemnych okularach i z długą brodą. Bez słowa zamknął drzwi uprzednio sprawdzając korytarz, czy aby na pewno nikt się na nim nie czai. Podeszedł do biurka, podsunął sobie krzesło i usiadł zakładając nogę na nogę.
- Zdejmie pan najpierw kapelusz, okulary czy brodę? - zapytał Drugi.
- Gość zmieszał się odrobinę.
- Przebranie nie pomogło? – warknął odklejając sztuczny zarost.
- Niekoniecznie – odparł mag. – Na plecach ma pan metkę „Holowizja państwowa, dział kostiumów i rekwizytów”.
- Cholera jasna! – zaklął szpetnie gość. – I pomyśleć, że paradowałem w tym po całym mieście!
- Są większe grzechy, niż ten.
- Ma pan coś konkretnego na myśli? – syknął tajemniczy przybysz.
- Nic konkretnego... - uśmiech Drugiego był podejrzany, lecz jego wzrok błądził gdzieś daleko. Trzeci szybko podążył za spojrzeniem, by odnaleźć u kresu tej niezwyklej wędrówki spoczywający na parapecie szmatławiec „Tania Sensacja” z krzyczącymi na czerwono wielkimi literami na okładce, układającymi się w napis „Holowizyjny gwałciciel”.
- Rozumiem, że pan w sprawie cudu?
- Jakby pan zgadł! – spod ciemnych okularów ukazała się twarz bardzo znanego prezentera holowizyjnego.
- Proszę przedstawić problem – Drugi podwinął swój służbowy, czarowniczy płaszcz i usiadł na krześle naprzeciwko.
- Hmmmm... jakby tu zacząć...
- Od początku – zaproponował Trzeci. – Czego nam pan nie powie, dowiemy się z gazety.
- Bożyszczę tłumów spojrzało na gazetę, skrzywiło się i zaczęło opowieść.
- Uganiała się za mną panienka – mlasnął. – Normalna rzecz, nazywamy takie „materacykami”, bo taką zaszczytną funkcję spełniają. No i poleżałem na tym materacyku, a teraz on mnie oskarża o gwałt. Jeżeli udowodni, że zrobiłem jej to konkretne „kuku”, to koniec z holowizją!
- I z pieniżkami... - dodał Drugi.
- Pieniądze to nie wszystko! – dorzucił Trzeci.

- Pieniądze nie grają roli! – przelicytował czarowników holowizyjny gwiazdor. Miał czym; największe zlecenie czarowników opiewało dotąd na jedną setną dziennej gaży gwiazdora.

- Oczekuje pan jakiegoś cudu?

- Świetny pomysł! – mruknął prezenter. – Gdyby tak się okazało, że jest dziewczyną, to byłby cud!

Grubcio podszedł do stołu i stanął nad klientem z miną rewolwerowca rodem z dzikiego zachodu. Jego mina była tak poważna, jakby stał nad stołem w samo południe, a w kieszeni miał garść dynamitu.

- Czyli sugeruje pan ... - nie dokończył.

- ... regenerację błony dziewiczej – dokończył gwiazdor zadowolony z szybkiego przedstawienia problemu.

Drugi wstał, podszedł do kasy pancерnej, otworzył ją i wyciągnął archaiczną maszynę do pisania. Ciężkie żelastwo z hukiem zaległo na stole.

- Musimy spisać umowę – wyjaśnił mag.

- Standardowa procedura – dodał jego kolega.

- Czyńcie swoją powinność – westchnął prezenter.

Czarownik zaczął klepać w niemilosiernie trzaskające klawisze, zanim jednak umowa powstała, niesamowicie gruby osobnik w czarnoksięskim płaszczu począł się gramolić na parapet.

- Czy ty chociaż wiesz, jak ona wygląda? – spytał Drugi nie odrywając wzroku od tworzonego pisma.

- Widziałem przed chwilą w szklanej kuli – padło z parapetu. – Zresztą w gazecie jest jej zdjęcie topless.

- A w domu?

- Dziękuję, wszyscy zdrowi.

Zadrukowana kartka z umową zgrabnie opuściła archaiczne urządzenie.

- Gotowe – strony umowy zostały rozdzielone. – Tym razem radzę ci wyrównać już na poziomie szóstego piętra, bo jak nie, to znowu będę musiał wzywać straż rzeczną do wyłowienia zmokniętego ptaszyska... Szanowny pan raczy tu podpisać.

Gość pochylił się nad drukiem, przeczytał i złożył dwa podpisy: na oryginale i na kopii.

Po chwili Grubcio zniknął z parapetu za bezpieczną ramą okna. Gwiazdor aż wstał z wrażenia, lecz jego mina zrzędła jeszcze bardziej, gdy na poziomie okna ukazał się wielki, czarny kruk o dość obszernych kształtach.

- Mam to już opanowane! – zaskrzeczało upiorne ptaszysko. – Podziwiał mistrzunia w akcji!

Z tym radosnym krakaniem, wywinął w powietrzu niezgrabną pętlę i zniknął w chmurach.

- Proszę wybaczyć mojemu znakomitemu koledze – wyjaśnił Drugi i usadził klienta z powrotem na krześle. – W szkole nie znosił latania, co chyba zrozumiałe.

- Oczywiście – gwiazdor odsłonił nieskazitelnie biały uśmiech siląc się na uprzejmość.

Drugi wręczył gościowi egzemplarz umowy oraz dziwnie wyglądającą, bogato zdobioną, palisandrową deszczułkę z paskiem czerwonej wstążki.

- Oto pański egzemplarz umowy oraz indykator, który powie panu, czy obiekt zachowuje czystość.

- Czyli, czy jest dziewicą? – poruszył się prezenter.

- Dokładnie tak – kontynuował mag. – Gdy czerwona wstążka zmieni kolor na zielony, wtedy nasza panna zyska wianuszek. Na wszelki wypadek my będziemy mieli drugi, identyczny przyrządek.

Gość wstał, schował do kieszeni marynarki złożoną uprzednio umowę, po czym wziął do ręki palisandrowy wykrywacz dziewictwa.

- Dobrze – mruknął zadowolony z owoców wizyty. – Poczekam na wynik tych waszych czarów. Mam nadzieję, że mogę być spokojny?

- „Polegaj na mnie, jak na harcerzu”! – zacytował czarownik i usłużnie otworzył obite dermą drzwi biura. – Życzę miłego dnia, do widzenia.

- Oby już nie! – gwiazdor nałożył szybko ciemne okulary, dokleił sztuczną brodę i naciągnął na czoło kapelusz.

„Cymbał i bufon. Dwa w jednym” - pomyślał Drugi i postanowił nie przypominać klientowi o zwisającej na plecach metce rozmiaru szkolnego dziennika. Gość wyszedł pozostawiając po sobie niezatarte, niezbyt smaczne wrażenie. Po trzech minutach od tego zdarzenia indykator spoczywający na biurku w biurze zmienił kolor na zielony. Po kilkunastu kolejnych minutach okno w pokoju rozchyliło się z hukiem i do środka wpadło coś czarnego, wielkiego i niewątpliwie opierzonego. Potężne ptaszysko nie wyhamowało w porę i ze złożonymi skrzydłami zmiotło z biurka antyczną maszynę do pisania. Po chwili Grubcio usiłował wstać z podłogi rozcierając świeżo nabitego guza.

- Niech to wszyscy święci! – zaklął szpetnie. – Co za cymbał ustawił kasę pancerną na linii mojego lądowania?

- Ty sam.

- Ale ktoś musi być odpowiedzialny za tą moją krzywdę! – jęknął czarownik.

- Mój drogi, nikt nie przewidział, że linia twojego lądowania zajmie całe biuro – Drugi pochylił się, by podać koledze rękę. - Choć muszę przyznać, że czasami nawet je przekracza.

- Jak tam kolorek?

- Ślicznie zie.... – Second spojrzął na biurko. – Zierwony?

- Zierwony? – Trzeci wybałuszył oczy. – To jakaś nowinka, o której nie wiem? To jaki on w końcu on jest?

Po chwili było wszystko jasne. Indykator zmienił kolor na czerwony.

- Niech to Murmur ściśnie! – złość czarownika miała uzasadnienie. – Amorów jej się zachciało!

- Zlecenie rzecz święta! – przypomniał Drugi.

Grubcio już siedział na parapecie. Westchnął ciężko i równie ciężko odbił się od elewacji.

Po dwudziestu minutach do pomieszczenia po raz drugi wpadł zziębnięty, czarny kruk. Tym razem na jego kolizyjnej nie było już maszyny, była jednak kasa pancerna.

- Żesz ty...! – jęknął Grubcio wstając z podłogi.

Drugi popatrzył z politowaniem na swojego kompana, następnie pokazał indyktor. Ten był zielony jak trawa.

- Miałeś rację: jest pięknie zielony...wony – wybałuszone oczy czarnoksiężnika niemalże wypadły z orbit. – W mordę centaury, zabiję tego gacha!

Po chwili niedomknięte okno znowu trzasnęło o futrynę. Czarny kruk oddalił się ciężko lecąc jak poprzednio i jeszcze poprzednio, ku swemu mrocznemu przeznaczeniu. W piętnaście minut był z powrotem, tym razem przezorność oszczędziła mu guzów – owinał sobie dziób poduszką.

Zapiąć i tocząc pianę z ust Grubcio dopadł do wskaźnika. Zielony! Jednakże z przerażeniem w oczach obaj czarownicy obserwowali, jak piękna i soczysta zieleń ustępuje wścieklej czerwieni. Wścieklejszej, niż przekrwione, równie rozpalone spojrzenie tłustego maga.

- Zabiję! – wysapał Grubcio ciężko przewieszając ogromny brzuch za okno. Po chwili skrzydło załomotało o futrynę po raz kolejny. Dziesięć sekund później po całej okolicy odbił się echem potężny plask, który był dziełem przeraźliwie tłustego, wielkiego i czarnego jak noc kruka, który lotem koszącym wpadł w leniwy nurt Vistula River. Drugi wychylił się przez okno, by zobaczyć, jak Trzeci niezdarnie gramoli się z rzeki na stały ląd. Następne, co zauważył, to kolegę wykręcającego przemoczony płaszcz czarnoksiężnika oraz taksówkę zatrzymującą się tuż przy nim. Tym razem czarownik postanowił skorzystać z tradycyjnego środka transportu miejskiego. W trzy minuty później szklana kula rozjarzyła się przyjemnym, błękitnym blaskiem, a wszystko pod delikatnym dotykiem maga, który – bądź co bądź – wściekły, postanowił zbadać przyczynę tak częstej zmiany koloru w indykatorze dziewictwa. Nim jednak dotarł do wyszukiwarki czaroprzestrzennej, zadzwonił telefon.

- Ten wasz patyk jest spieprzony! – grzmiał prezenter w słuchawce. – Co wy sobie, do cholery, nie wyobrażacie?! Że co to ja jestem? Idiota?!

„Idiota, bufon i matoł. Trzy w jednym”. – pomyślał Drugi.

- Ależ skąd! – zapewnił z krzywym uśmiechem. – To pewnie tylko zwykła usterka techniczna. Nasz pracownik właśnie udał się na miejsce, by osobiście dokonać inspekcji urządzenia nadawczego.

- Informujcie mnie na bieżąco – warknęła słuchawka z trzaskiem w tle.

- O święty Samaelu! – jęknął czarownik, gdy w szklanej kuli ukazało się ogłoszenie. Ogłoszenie z rzekomo zgwałconą dziewczyną w tle. Chwilę potem trzymał już w ręku niewielkie lustro z zamykanym wieczkiem i mamrotał coś, jakby po starosumeryjsku. Powierzchnia lusterka zmatowiała ukazując fraszobliwą twarz Grubcia.

- Gdzie jesteś, kruku wodny? – żart kompana nie przypadł chyba Trzeciemu do gustu. Jego mina zdradzała mieszaninę zakłopotania, bezradności i odrobinki szaleństwa.
 - Czekam pod blokiem tej dziewczyny – wymruczał Grubcio.
 - Plan B?
 - Zawsze jest jakiś plan B – przyznał tłusty czarownik. – Obiecałem sobie, że tego gacha, co ją tak często odwiedza, zamienię w żabę. Oczywiście użyję czaru czasowego, wybrałem opcję dwudziestoczwierogodzinną...
 - I co?
 - Czekam.
 - Aha! – Drugi zniżył głos. – Mam dla ciebie złe wieści. Może tych gachów być więcej. To nierejestrowana prostytutka, reklamuje się w sieci hasłem „Co kwadransik nowe dymanko”.
 - Wiem – odparł Trzeci podnosząc w rękę foliowy worek z wodą. W wodzie pływał już z tuzin żab. – Zastanawiam się nad wypuszczeniem tej czeredki do Żabiego Raju na skraju miasta.
 - Masz na myśli to bagno?
 - Phi, chcieli bagno, będą mieli bagno – skonstatował filozoficznie czarownik i wpakował sobie w usta pączka.
 - A umyłeś ręce po tych żabach? – Drugi patrzył na zakłopotanego przyjaciela. – Mniejsza z tym. Pamiętaj, że czar zmiany w żabę jest średnio drogi. Nie chciałbym się tłumaczyć szefowi, czemu dopłaciliśmy do tego zlecenia.
 - Zobaczymy. Do jutra mam czas...
 - ... i co kwadrans gacha na schodach. Fajnie! – czarownik popatrzył na obudowę lusterka, na której widniał napis „RECYCLED”. – Nie mógłbyś jej zainstalować czegoś odnawialnego?
- Grubciu aż podskoczył.
- Rewelacyjny pomysł! – wrzasnął i się rozłączył. Drugi pozostał w biurze absolutnie sam.

Po godzinie okno do biura wyleciało z hukiem. Do pomieszczenia wleciał zziębnięty, czarny kruk, który szybko przybrał postać Trzeciego.

- No, to teraz na pewno już dopłacimy – mruknął sennie drzemący przy szklanej kuli czarownik.
 - Na świętego Flaurosa! – tłuszcioch otrząsnął się z kawałków rozbitego szkła. – Myślałem, że zostawiłeś mi uchylone...
 - Nie po twoim lądowaniu w rzece. Co tak późno?
 - Musiałem jeszcze wypuścić na bagnach wszystkie żaby...
- Drugi parsknął śmiechem.
- I co to niby miało znaczyć? – spytał po chwili.
 - Eeeee... tego... spanikowałem – tłuszcioch przyznał ze wstydem, czego dowodem miały być dodatkowe rumieńce. – Ale tylko troszkę!

- Po podliczeniu kosztów za zmianę ludzi w żaby, kosztu taksówki i rozbitego okna, uczciwie oznajmiam, że musimy dopłacić do zlecenia pół krugera.
- Naprawdę? – Trzeci zrobił twarz niewiniątka, choć wiedział, że w przypadku pieniędzy, jego przyjaciel nie zwykł żartować. Przyzwyczajenie z czasów akademickich...
- Zadzwoń do technika po nowe okno – czarownik chwycił za słuchawkę. - I jak ci poszło?
- Wstawiłem jej coś na kształt zamka błyskawicznego – uśmiech Grubcia osiągnął stadium „od ucha do ucha”.
- Tylko mi tu nie pękni z zadowolenia! – upomniął mag spoglądając na indykator, który zmieniał kolory, jak szalony. – Czy ona bierze udział w jakimś maratonie?
- Odrabia straty za tych zmienionych w żaby.
- Mogłeś ich przynajmniej odczarować!
- Bądź miłośniwy dla swojego rozumu, o wielki! – Trzeci pacnął kolegę w grzywkę. – W ten sposób wszelki czar tej nocy by prysł, a to by nas jeszcze drożej kosztowało. Posiedzą trochę w prawdziwym bagnie, to im się dziwek odechce.
- Drugi załamał ręce i usiadł zrozpaczony na krześle.
- Mam tylko nadzieję, że nie ma tam w okolicy wygłodniałego bociana. Nie wypłacimy się na odszkodowania! Nałapałeś im chociaż tłustych much?
- Co tam muszki! A przy okazji: wszyscy jak jeden byli żonaci! – Grubcio mlasnął głośno, co oznaczało, że w całej sprawie jest jakiś kruczek. – Powiedz mi, który żonaty facet przyzna się dobrowolnie, że poszedł na dziwki? Wtem zadzwieczał archaiczny telefon na blacie biurka. Second podniósł słuchawkę.
- Tak? ... Że kto jest? ... Wpisał?... A to kanalia!
- Słuchawka powędrowała na swoje miejsce. Czarownik usiadł z wrażenia.
- No mów! Co jest grane?
- Portier z dołu poinformował nas, że przed chwilą u prezesa spółdzielni usługowej był jakiś podejrzany i mocno zamaskowany typ z deszczólką zmieniającą kolory – wyjaśnił mag.
- I co z tego?
- Portier to były gliniarz – wyjaśniał dalej Drugi. – Staruszek poszedł za nim i podpatrzył, jak ten typ pisał do książki skarg i zażaleń uprzejmy donosik na nasze – cytuję – „partactwo, niekompetencję” i coś tam jeszcze!
- Grubas poderwał się z miejsca i w pośpiechu zaplatał się w swój czarowniczy płaszcz..
- Zamienię gnoja w kijankę! – ryknął nim runął na podłogę.
- Ej, uważaj! To oryginalne linoleum z marketu; gdzie my teraz takie kupimy? – czarownik wyciągnął rękę i z niemałym trudem pomógł wstać koledze.
- Kanalia!

- A co ja mówiłem kilka wersów temu? – mag wzruszył ramionami. – Pocieszę cię, mój przyjacielu. Zadarł z niewłaściwymi czarownikami!

- Oho, wchodzisz w fazę „nieobliczalnie niebezpieczny” – zauważył Grubcio z lekką obawą..

Jego kompan właśnie zakładał białe, rytualne szaty.

- Co mnie zdradziło? Nie żebym był ciekawski, ale warto wiedzieć...

- Użyłeś formy „przyjacielu”, a to wróży poważne kłopoty – Trzeci usiadł na krześle i z ciekawością obserwował współnika. – Ostatnio, kiedy tak do mnie powiedziałeś, chwilę potem fruwały w powietrzu flaki i kończyny.

Czarnoksiężnik popatrzył wilkiem spod papierowej korony przyozdobionej krwawymi runami.

- Bo ci idioci oparli się plecami o wirujące ostrze piły do asfaltu!

- No dobra, łykam to – mag wiedział, że nie warto drażnić tematu. – Mógł jeden, ale cała dwudziestka? Inna sprawa, że się im należało. Policja chyba stwierdziła to samo. Co będziesz pichcić?

Rzeczywiście, gdyby nie specjalne, rytualne szaty, postronny obserwator mógłby przysiąc, że mag bierze się do gotowania. Na blacie, tuż obok szklanej kuli pojawiła się niewielka kuchenka turystyczna na gaz ziemny, wysokozaazotowany, składany ruszt, miedziany kociołek z ornamentem złożonym z liści dębu oraz tuzin niewielkich słoiczków z przeróżną zawartością.

- To będzie specjalność zakładu, drogi przyjacielu! – z uśmiechem oznajmił Drugi i otworzył trzy pierwsze słoiczki. Zaciągnął się aromatem magicznych półproduktów i postanowił intensywnie sprawdzić kieszenie płaszcza. – Masz zapalniczkę?

- Nie palę – odruchowo palnął Trzeci. – Chcesz oboje otruć? Po twojej ostatniej miksturze na czwartym roku biegalem do kibla przez trzy dni...!

Mag uśmiechnął się kwaśno na wspomnienie niemiłego incydentu z zatruciem połowy akademika. A miało być tak odlatowo...

- To był eksperyment naukowy – mruknął czarownik odpalając w końcu palnik pod kociołkiem. – Teraz to zupełnie inna sprawa.

- A receptura?

- Klasa A1 – dodał dla świętego spokoju mag.

- O wielki Flaurosie! – jęknął tłusciuch i ciężko opadł na krzesło. - Czemu używasz receptury z klauzulą najwyższego bezpieczeństwa?

Mikstura w kociołku poczęła wrzeć.

- To serum prawdy. Przepisy BHC wymagają tego – Drugi rozkoszował się myślą o skutkach podania swojego specyfiku. – Idę do pokoju obok. Tylko nie podjadaj!

- Obiecuję nie oblizywać paluchów! – Grubcio złożył dwa palce do przysięgi. – A jarzynkę wsypałeś?

- Nie – dobiegło go z pomieszczenia obok. – Ma być wariant bezwonny.

- Wlałeś parę kropel bergamotki?

- Zbyt moczopędna, mogliby się zorientować.

Czarownik wstał z krzesła i pochylił się nad parującym kociołkiem.

- Ej, mówiłem, żeby nie podjadać! – fuknął Drugi wchodząc do pokoju z dwiema pomadkami znanego producenta kremów. – Jeszcze zadziała i zanudzisz mnie swoimi grzeszkami na śmierć...!

- Sprawdzam konsystencję.

Mag podszedł do stołu, odkręcił obie pomadki nawilżające i wysunął oba sztyfty na całą długość. Po chwili szybkim ruchem umoczył oba kosmetyki we wrzącej cieczy, podmuchał na końcówki pomadek, po czym zakręcił sztyfty i schował oba przedmioty do kieszeni. Płomień pod miedzianym kociołkiem zgasł.

- Od razu mam lepszy humor – mruknął do Grubcia. – Chodź Czarny Kruku, idziemy odwiedzić dyskretnie pannę, potem zahaczymy o telewizję, a na końcu wycieczki polecam cukiernię pana Clickle. Stawiam pączki.

- Wiesz co? – westchnął gruby czarownik. – Jakikolwiek wredny pomysł ci się nie kołacze pod kopułą, to przyznam, że mając w perspektywie ostatni punkt programu, nie potrafię ci odmówić. Idziemy!

I poszli.

* * * * *

Dwadzieścia minut później jakaś diabelnie tłusta ręka odziana w połyskujący, satynowy rękaw, otworzyła damska torebkę i włożyła delikatnie do środka niewielki, cylindryczny przedmiot. Z pokoju obok dochodziło radosne sapanie i cichutkie pojękiwania. W kilkanaście minut potem drzwi do tonącej w kwiatkach garderoby uchyliły się i obok potężnej baterii dezodorantów, pudrów i całej armii cieni stanęła niewielka, nawilżająca pomadka do ust. Po chwili blada i koścista ręka, która ją tam przyniosła, zniknęła.

* * * * *

Drugi rozsiadł się na krześle wyciągając z papierowej torby kolejnego pączka „na wynos”.

- Przyznam ci się, że doskonale rozumiem twoją słabość do wypieków pana Clickle.

- Ba! – coś ohydnie mlasnęło w odpowiedzi. Wielki paczek zniknął w jeszcze większej paszczy Grubcia. – Może by tak odpalić holowizor?

- Błagam, tylko tradycyjnie! Żadnych zbędnych fajerwerków! – jęknął Drugi. – Czekać, może ja wstanę. Musimy ten sprzęt zwrócić do Zakładu Certyfikacji Taksometrów piętro niżej.

Trzeci wsunął do ust kolejnego pączka.

- Kiedy my się dorobimy własnego odbiornika? – wysapał między kęsami.

- Jak wydasz całą kasę na zamianę gachów w żaby – nigdy. Radzę ci poszukać czegoś na śmietniku, tam prędzej zrealizujesz marzenia...

- Wypraszam sobie! – oburzenie maga było całkiem uzasadnione. – Po pierwsze: nie jest to moim marzeniem. Po drugie – holowizja ogłupia. Po trzecie: czasem fajnie by było coś obejrzeć... Daj na „Wieści News”, miała być konferencja prasowa panienki...

Drugi podszedł do odbiornika i przełączył kanał. Po chwili na ekranie głębokim na pięć cali pojawiła się urocza spikerka programu „Wieści News” jak zwykle czarując widzów nienagannym, długim warkoczem owiniętym wokół szyi i wpadającym w głęboki dekolt szmaragdowej, połyskującej bluzki.

„Łączymy się teraz ze studiem konferencyjnym, gdzie całe wydarzenie śledzi dla państwa Iron Roger. Halo Roger? Czy ofiara gwałtu złożyła już stosowne oświadczenie?”

Na ekranie pojawił się wypudrowany goguś w ciasno opiętym garniturze.

„Halo studio, halo wszystkim holowidzom. To, co się stało tutaj przed siedmioma minutami przeszło nasze najśmielsze oczekiwania; ofiara nie potwierdziła zarzutów, wręcz im zaprzeczyła. Zresztą zobaczmy powtórkę.”

Goguś zmienił się w średnio ładną blondynkę o urodzie pewnej znanej, mało inteligentnej laleczki. Z tą różnicą, że ta była już lekko zużyta, dużo większa i niezbyt interaktywna. Blondie mówiła z lekkim przerażeniem, jakby była sama zdziwiona, że stać ją na takie wyznania. Przelatujący między jej włosami scroll informował, że blondynka nazywa się „POWTÓRKA MATERIAŁU”.

„Uczciwie i świadomie oznajmiam, że nie było żadnego gwałtu, ja natomiast od siedmiu lat trudnię się prostytutką i z satysfakcją przyznaję, że uwielbiam to robić. Moja dewiza to – co piętnaście minut jeden numerek!”

Blondynka skończyła i zatkała sobie odruchowo usta dłonią. Choć zamiast końcowego uśmiechu, rozbeczała się w bezsilnej złości, czarownicy jak jeden zaczęli bić brawo. Po chwili znowu ukazał się goguś profesjonalnie obnażający śnieżnobiałe zęby, stanowiące idealne tło dla nadmiernie wypudrowanej twarzy. Szybko zapowiedział materiał z ostatniej chwili, który miał przedstawić stanowisko strony przeciwnej. Na ekranie ukazała się ... goła dupa, która charcząc i popierdując radośnie oznajmiła:

„No co się gapicie? Gwałciciel to ten z tyłu! Żądam adwokata!”

Grubciu zaniemówił z wrażenia. Drugi rechotał, bo sprawa przybrała planowany obrót, lecz na samym finiszu wymknęła się odrobinę spod kontroli.

- Nie jestem przekonany, czy to właśnie o to chodziło... - wymamrotał Trzeci.

- Mam pytanie.

- Wal...

- Mogę zjeść twojego pączka? – zapytał chytrze Drugi.

- Możesz – czarownik potaknął potulnie, lecz po chwili wróciła mu trzeźwość myślenia i zorientował się, jaką głupotę palnął. – Ani mi się waż!

- Witaj na ziemi, o podróżniku, he, he! – mag nie przerywał rechotu. Po chwili – prawem bezwładności – dołączył do niego powoli kolega.

- Jednego tylko nie rozumiem – przyznał po chwili. – On tą pomadkę zjadł?

- Gorzej! – Drugi otarł łzy, które same pojawiły mu się w kącikach oczu. – Użył jako maści na hemoroidy! He, he, he! Czy ty wiesz, gdzie on ją sobie wsadził? Potworny rechot trwał dalej i roznosił się echem po korytarzach biurowca Spółdzielni Usługowej. Podobny rechot, tylko z kilkudziesięciu małych gardełek rozchodził się właśnie ponad bajorem zwanym dumnie Żabim Rajem. Po chwili czar przestał działać, rechot ucichł i zamiast stadka żab, po kolana w błocie siedziało kilkudziesięciu mężczyzn i patrzyło na siebie z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami. Pomimo tuzina dyplomów i doktoratów, żaden z nich nie zakumał.

Nazajutrz brukowce były zdominowane dwoma tytułami, z których jeden krzyczał przez drugiego wielkością i kolorem czcionki:

„BOŻYSZCZE TŁUMÓW NA BRUKU!”

„PROSTYTUTKA Z OŚMIOLETNIM KALENDARZEM ZLECENÍ!”

Niestety, nikt nie napisał refleksji, że bycie na szczycie, to tylko chwila. Potem się spada z hukiem na dno.

* * * * *

* * * * *

Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:

MASZYNA „TORPEDO” – rocznik 1928; wytrzymała i niezawodna – nic dziwnego, że korzystają z niej czarownicy. Ja czasami też; PSYCHOSOMATYCZNY AMPLIFIER SENSOWANIA... - pojęcia nie mam, co to, ale fajnie brzmi; SECOND – czyli „drugi”; FALSET – możecie usłyszeć często na lekcji w-f waląc kolegę piłką lekarską w... to chyba jednak niezbyt dobry pomysł; NEKROMANTA – człowiek kontaktujący się z duszą zmarłego nad ciałem, niejednokrotnie wykorzystujący jako „komunikator” ciało denata; „W SAMO POŁUDNIE”, „GARŚĆ DYNAMITU” – klasyka westernu, kto nie widział, niech zobaczy!; MURMUR – zwany „ponurym grafem”, jeden z demonów wyższego rzędu; GAZ ZIEMNY WYSOKOZAAZOTOWANY – za głębokiej komuny takowy był obecny w naszej kulturze z dodatkowym parametrem nazywanym „stopniem zasilania”; PRZEPISY BHC –

Bezpieczeństwa i Higieny Czarów; GŁUPAWA BLONDYNKA – typowe i pretensjonalne – zainteresowanym prześlę adres e-mailem.

OPOWIEŚCI ZE ŚWIATA CZAROWNIKÓW

Rozdział III: Milionowy Klient

*O tym, co czyha na uprzywilejowanego klienta,
czyli ideał kobiecego piękna potrafi być z bliska koszmarem.*

Nastał nowy, piękny, a może jeszcze piękniejszy dzień 27 lipca roku pańskiego 197-go Nowej Ery. Od samego rana pogoda była przepiękna, ale to chyba nic dziwnego, skoro pogodę zamawiało się w systemie holotele z trzydniowym wyprzedzeniem. Jednak nikt z mieszkańców New Warsaw City nie był w stanie przewidzieć, co ów piękny dzień ze sobą przyniesie - nikt, oprócz trzech skromnych pracowników spółdzielni usługowej "1001 Życzeń". Ciesząca się dużą popularnością wśród ludzi z całego kraju, ta jedyna w swoim rodzaju agencja czarownicza miała swoją siedzibę przy skrzyżowaniu Vistula Street i Rye Road w potężnym biurowcu Spółdzielni Usługowej. Budynek wybudowano niecałe trzy lata temu i stopniowo – piętro po piętrze, lokal po lokalu - zasiedlono wyrastającymi, jak grzyby po deszczu spółkami z zamiejscowym kapitałem. Wszystkie czterdzieści dwa piętra były obsadzone. No, prawie wszystkie - za wyjątkiem trzynastego. Tak się złożyło, że cywilizacja rozkwitła ponad miarę, wiedza przerosła samą siebie, lecz przesady pozostały. Ba! Niektóre nawet się rozwinęły i ukorzeniły! Nauczeni na błędach przodków ludzie przyjęli liczbę trzynaście jako BARDZO FERALNĄ. Pomimo, że przesad ukorzenił się w społeczeństwie dość mocno, pewnego pięknego dnia zjawilo się - dosłownie zjawilo się – przed obliczem samego ministra i wicepremiera w jednej osobie, trzech młodych ludzi przejmując lokal w użytkowanie. Niewielkie, czarno malowane, dwupokojowe lokum miało po jednym dużym dwuskrzydłowym oknie oraz tylko dwa meble: biurko w sali centralnej i potężną szafę pancerną z tymczasową lokalizacją w kanciapie obok. Wokół biurka stały rozłożone cztery teatralne krzesła - takie małe, rozkładane: trzy dla personelu i jedno dla klienta. Na dębowym biurku spoczywała w złoconej oprawie szklana kula, będąca chyba jedynym sprzętem mającym cokolwiek wspólnego z czarami i magią. Trzeba uczciwie przyznać, że całość wystroju wnętrza sprawiała miłą i ograniczenie ciepłą atmosferę rodzinnej kryptki...

- Co przynosi nowy, piękny dzień spod znaku Merkurego? – już od wejścia zapytał Pierwszy z czarowników Drugiego, siedzącego wciąż przy szklanej kuli.

- Ano, jakby ci to powiedzieć - uśmiechnął się przy tym głupawo. - Prawie nic. Zresztą sam wiesz najlepiej.

- Ładne mi nic! Aż czterech klientów, w tym oszust karciany, gwałciciel i zarazem przyszły ojciec, hrabina - histeryczka, niedoszły morderca swojej żony. Aż czworo, a ten mi mówi "nic"! Serdecznie dziękuję!

- Ależ proszę cię bardzo – odparł mag i wywalil język.

- No wiesz?! – Pierwszy zadarł nos do góry. – Cóż to za chowanie! Czarownik ze zboru cieszącego się dobrą opinią! Jestem zburdelsowany!

- Chyba „zbulwersowany”... - mruknięło coś wielkiego od strony okna.

- Mniejsza z tym! Po prostu jestem oburzony!

Niestety, choć oburzenie Pierwszego było wyjątkowo udane, klientów było tylko czterech. Rynek czarów przeżywał drobny kryzys, a to tylko dlatego, że ceny usług odstraszały zwykłych zjadaczy chleba naszego powszedniego, zwłaszcza po wielkim krachu giełdowym, w wyniku którego zrównał się kurs złotego standard i dolara transferowego. Czary zawsze były drogie i choć ich cena nie wzrosła aż tak znacznie, w porównaniu z innymi usługami wydawały się wyjątkowym luksusem.

Tymczasem siedzący na parapecie Trzeci, którego łatwiej było przeskoczyć, niż obejść, bawił się w najlepsze. Z nudów pruł swój służbowy płaszcz czarownika i wyrzucał radośnie poskręcane nitki za okno. Gdy jakiś sprytny wróbel pochwycił w powietrzu rzekomego, wijącego się na wietrze robaka, Trzeci zamieniał bardzo prostym zaklęciem nitkę w ciężki drut cynowy, dzięki czemu ptaki przy pomocy sił odkrytych przez Newtona Izaaka, fizyka zresztą, zmuszone były wodować w przepływającej u podnóża wieżowca Vistuli.

- A może tak porobimy zakłady, kto przyjdzie pierwszy? - rzekł znudzony zabawą z ptaszkami. - Co ty na to, Drugi?

Czarnoksiężnik popatrzył ponad szklaną kulą na przyjaciela z widoczną iskierką w oku.

- Stawiam piąta na hrabinę! – dodał bez namysłu.

- A ja drugiego na gwałciciela!

- Dobra, stoi! – grubas zszedł z parapetu. - Szefie, przetnij!

- A nie mógłbym przystąpić do zakładu? No co? - nieśmiało zapytał Pierwszy.

- Coś ty, szefie! My tu o forszę gramy! - przerażenie Trzeciego było uzasadnione; Pierwszy był przecież mistrzem i posiadał dar dalekiego jasnowidzenia o zasięgu do dwunastu czarogodzin następujących, oraz ponad stu czarogodzin wstecznych, dzięki czemu pozostali uczestnicy zakładu mogliby być bez szans.

- No dobra, już dobra... – gestem uspokoił ich mistrz. - Grubciu, odbierz telefon.

- A...ale jeszcze nie dzwoni.

- Stawiam piąta, że zaraz zadzwoni.... Zobaczysz! - W tym momencie antyczny telefon rzeczywiście zadzwonił. Gruby odebrał.

- Spółdzielnia Czarownicza "1001 Życzeń", słucham?

- Głośnomówiący! – syknął Drugi, ale Trzeci już wcisnął odpowiedni klawisz.

- Mówi Max Dranken. Chciałbym ple, ple, ple... – metaliczny dźwięk z głośnika nie pozostawiał złudzeń; aparat rzeczywiście był bardzo leciwy i domagał się wymiany na nowszy model.

- Dobra, Grubciu - wtrącił się Pierwszy, gdy tymczasem Dranken głądził dalej. - Daj mu się wypluć, a tymczasem dajcie mi go na wizję - Drugi potarł bardzo delikatnie szklaną kulę, wymamrotał kilka formułek magicznych w języku starosumeryjskim i za sprawą czarów, jak na ekranie monitora, ukazał się mały,

pulchny człowieczek z nieogolonym blond zarostem maskującym paskudną szramę na lewym policzku.

- Uuuuuuch! Ale wieprzek! - trafnie zauważył Trzeci.

- Przyganiał kocioł garnkowi...

- Mnie nie można obrazić, można mnie tylko podziwiać! – mag dumnie wypiął pierś.

- Cicho, dzieciaki! – upomniał mistrz.

- ...i chciałbym, aby panowie to jakoś załatwili - kończył bełkotliwą przemowę Dranken.

- W takim razie - odparł Pierwszy. - zapraszamy do nas.

- Tak, tak - zgodził się Dranken. - lepiej, żebym zobaczył się z panami osobiście. Sprawa jest bardzo delikatna. Już jadę...

- Nie, niech pan nie odkłada słuchawki! Załatwimy to inaczej - i w tym momencie Pierwszy pstryknął palcami. Mały, pulchny człowieczek znikł z wizji i zaczął się materializować pod postacią małego ognika na krześle przed biurkiem.

- Dz-dzwi-dzien-bobry...- wykrztusił z siebie.

- Dzień dobry. Proszę mi wybaczyć ten drobny figiel – Pierwszy skłonił się w iście dworskim stylu. - Znając stan techniczny naszej rodzimej telefonii wiem, że taka podróż po drutach telefonicznych jest mało przyjemna i mogłaby wyprowadzić z równowagi ducha samego mistrza Cagliostro... ale przecież nie tak zimnokrwistego drania, jak pan. Szklaneczkę wody?

- Tak proszę - Dranken otarł pot z czoła.

- Chętnie służyć...- uprzejmość Pierwszego była podejrzana, ale gość bez jakichkolwiek obaw wychylił całą zawartość podanej mu przez maga szklanicy...

- Ough! - oczy Drankena wypadły z oczodołów prawie na policzki, zawisły na niewidzialnych, cieniutkich nitkach, twarz stała się sinoczerwona, z uszu buchnęły kłęby pary. Gość z wyraźnym trudem złapał upragniony oddech.

- Co to, kurka, jest?! - zdobył się na wysiłek i zapytał pomimo przedłużającego się bezdechu.

- Spirytus, stężenie dziewięćdziesiąt siedem procent. Proszę mi wierzyć, że nie ma nic lepszego na świecie! - odparł błogo Pierwszy. – Inna sprawa, że poznając stan naszej rodzimej telefonii od środka, ciężko jest to znieść na trzeźwo... ale przejdźmy do rzeczy!

- Chciałbym... - Dranken powoli odzyskiwał swój dawny, naturalny, sinoszary kolor.

- Ja wiem, czego by pan chciał – przerwał mu mistrz. - Nas interesuje teraz tylko honorarium.

- No cóż... no tego... według obowiązującej taryfy – zaczął kręcić klient.

- Szanowny panie Dranken, wykonujemy proste i skromne prace w zakresie czynienia zwykłych cudów, a nie mordujemy niewinne kobiety. Jako biuro zleceń rodem z taniego kryminału cenimy się wyżej.

- Ile?

- Rozsądne pytanie – uśmiech Pierwszego mówił, że oto negocjacje znalazły się na właściwych torach. - Powiedzmy... pięć procent z pańskich zysków wynikających z faktu, że jest pan jedynym spadkobiercą majątku żony.

- Szeffie - włączył się Drugi trzymając w ręku „Roczniki statystyczne” niczym prorok świętą księgę. - To będzie poniżej przeciętnej...

- W obecnej sytuacji masz rację, i owszem, ale ani ty, ani pan Dranken nie wiecie o małej tajemnicy pani Dranken – mag uśmiechnął się fałszywie. – O tajnym koncie pani Dranken w szwajcarskim banku Moritza Rosenblumma, na które od lat wyprowadzała z poszczególnych firm naprawdę grubą kasę.

- Suka! Aaaa.... dużo tego? - świńskie oczy Drankena rozbłysły niespotykanym blaskiem.

- Dużo - Pierwszego bawiło drażnienie gościa.

- No to ile? - dopytywał się Dranken.

- Powtarza się pan – czarownik machnął ręką, jakby odganiał natrętnego owada.

- Ale mogę panu powiedzieć; i tak niedługo dowiedziałby się pan. Sto dwadzieścia tysięcy krugerandów.

Po raz drugi tego dnia oczy klienta wyleciały z orbit, a opadnięta szczeka osiągnęły pułap pokrytej oryginalnym linoleum podłogi.

- Co?!

- Powtórzyć, a może przeliterować? Klient nasz pan... – mruknął Drugi zza szklanej kuli. - D jak „dupa”, W jak „wariat”, A jak „analfabeta”, D jak „dureń”, Z jak „zakała”...

- To fortuna! – przerwał wyliczankę dureń i zakała w jednym.

- Też tak uważamy, dlatego warto wykroić z tego tortu i coś dla nas – dodał milczący dotąd Grubcio. - Przystaje pan na te pięć procent dla nas?

- Dla takiej forsy zawsze! – oczy klienta błyszczały jak reflektory lokomotywy.

- Ale wracając do rzeczy: chce pan, aby szanowna małżonka znikła w niewyjaśnionych okolicznościach? – mistrz przygasił trochę ten nagły rozbłysk światła.

- W istocie...

- Czy - ciągnął Pierwszy. - Oczywiście na pana wyraźne życzenie, czy rzucić ją na pożarcie aligatorom, czy sprawić, aby rozstała się pod nią ziemia, czy też może zamienić ją w obłoczek pary...?

- O tak! – Dranken wyraźnie się rozmarzył. – Ten leniwy śpioch nie znosi wczesnego wstawania. Myślę, że poranna mgła będzie najodpowiedniejsza.

- Dobra, już idę...- Trzeci wstał, owinął sobie służbowy, czarowniczy płaszcz wokół i wyszedł z biura. Po chwili znajome „ping” od strony windy oznajmiło znawcom tematu, że wielki, czarny kruk wyruszył na swoje łowy piechotą.

- Hej! – Pierwszego jakby olśniło. - Tłuscioszku, wracaj! Jeszcze nie wiesz jak wygląda twoja ofiara! Boże, jak on znów się pomylił to pójdziemy z torbami...!

- Nie pomylił się, szefie - pocieszył go Drugi. - Przed chwilą pokazałem mu ją w szklanej kuli. Przydały się znajomości w Biurze Ewidencji Ludności...

Czarownik popatrzył na podwładnego z lekkim zdziwieniem.

- Ty to nazywasz „znajomościami”?

- A niby jak?

- Dla mnie to zwykły, tani podryw!

- Ale skuteczny, sam przyznaj – odparł Drugi z dumą. – A dzięki temu Grubcio zobaczył, kogo trzeba....

- No cóż; jeden - zero dla was, chłopcy. Nawet jasnowidz z podwójnym dyplomem Sorbony nie jest przy was doskonały. Ach, ta dzisiejsza młodzież! Tymczasem spożyty spirytus rozszedł się już łagodnie po organizmie i uderzył siedzącemu Drankenowi do głowy. I jak zwykle w przypadku kogoś czekającego na cud, ogarnęły go poważne wątpliwości co do samego cudu.

- A jeśli mu się nie uda, albo schrzani robotę? – wymamrotał i na poparcie swoich wątpliwości cichutko i bełkotliwie beknął. – Przepraszam.

- Na zdrowie – mruknął uprzejmie Pierwszy.

Drugi uśmiechnął się pod nosem.

- No cóż, zawsze może pan skorzystać z książki skarg i zażaleń. Ale stanowczo i zdecydowanie odradzam. Grubcio jest bardzo czuły na tym punkcie i lubi wpadać w niekontrolowaną panikę. Zna pan miejsce zwane Żabim Rajem? No, takie bajoro parę mil za city? Mieszkańcy to właśnie ludzie, którzy kiedyś mieli pecha dokonać wpisu. Chciałby pan pokumkać razem z nimi? Bo oni teraz są bardzo kumaci...

- Nie, nie! - wystraszył się Dranken, chociaż tylko połowa z tego, co mówił Pierwszy było prawdą. W rzeczywistości większość mieszkańców Żabiego Raju stanowiła płazowość autochtoniczna, reszta to przybysze z odległych bajor.

- Szefie - zagaił Drugi. - A pamiętasz tego spikera posądzonego o gwałt? Zamówił wstawienie czegoś na kształt błony dziewiczej zgwałconej panience. Pomijam fakt, że okazała się być zawodową prostytutką...

- Aha - Pierwszemu rozjaśniło się w głowie, bo i sprawa nie była tak odległa. - Trzeci wstawił jej zamek błyskawiczny. No, podobno to nielicha cichodajka! Ha, ha, ha! Tak, jasne. Pamiętam. Jak to brzmiało „Co piętnaście minut numerek”?

- No właśnie – mag skinął głową z uśmiechem, ku przerażeniu słuchającego z zaciekawieniem gościa. - Ten dupek nas o tym nie powiadomił, a na dodatek miał pecha dokonać wpisu do naszej książeczki u prezesa Spółdzielni Usługowej. Taka sobie zwykła notka, niby nic, a jednak martwi, smuci i straszy w statystykach. I wiesz, co się z nim później stało?

Pierwszy wstał i podszedł do okna.

- Nie. Wiesz przecież, że byłem na ogólnoswiatowym zjeździe nekromantów...

- No więc - ciągnął Drugi ku jeszcze większemu przerażeniu klienta. - Kiedy spiker miał skomentować przyznanie się panienki do szwindlu, nagle wstał, wypiął dupę, gołą na dodatek, przy czym dupa w kółko powtarzała: "No i co się gapicie! To nie ja! Gwałciciel to ten z przodu. Żądam adwokata!". I tak przez kilka minut na wizji.

- Stary kawał. Gruby się nie wysilił.

- No, nie do końca Gruby... - przyznał cichutko czarownik i zaczął kręcić palcami młynka.

- A co ze spikerem? - spytał Dranken z wyraźnym drzeniem głosu, chociaż prawda zdawała się być nader oczywista.

- Wylali go, a co mieli z nim zrobić? Po co im taka niewygodna zakała? Za chwilę wróci Grubcio. Trzeba by spisać umowę, nie uważasz?

- Się robi, szefie - Drugi wyjął z biurka starą maszynę do pisania. - Chwileczkę, wezmę tylko kalkę.

Wyszedł do sąsiedniego pokoju oddawać się rozkoszom grzebania w archaicznej, przypominającej skrzyżowanie ciężarnej krowy z czołgiem, pancерnej szafie. Wtem z hukiem otworzyło się okno. Pierwszy padł na podłogę powalony okiennym skrzydłem, tuż nad nim przetoczył się wielki cień. Do pokoju wpadł ogromny, czarny kruk i zarył dziobem w maszynę do pisania. Trzeci podniósł się z podłogi rozcierając rozbity nos.

- A niech to Wszyscy Święci! - zaklął siarczyście.

- Wedle życzenia, chcesz? – odpowiedziało mu z podłogi.

- Nie, szefie! Żartowałem – Grubcio rozejrzał się po pokoju. – Szefie?

- Za biurkiem...

- Odkryłeś formułę niewidzialności?

- ... leżę za biurkiem.

- Co ty tam robisz, jak gość w naszych progach? – zdziwił się otyły mag.

Po chwili nad blatem biurka ukazała się dłoń uzbrojona w srebrny pierścień.

- Kręgosłup mnie boli, to i leżę – odpowiedziało zza mebla. – Pomóż mi wstać.

Tłuszcioch pochylił się nad kolegą, podał mu okropnie spoconą dłoń i jednym szarpnięciem postawił na nogi.

- Musisz bardziej uważać na przeciagi – dodał troskliwie.

- Niezbyt wykonalne – Pierwszy otrząsał się z kurzu. - U nas przeciagi generuje jeden taki osioł wlatujący do biura bez uprzedzenia. Nie lepiej było poczekać na windę?

Czarnoksiężnik poczerwieniał na twarzy ze wstydu.

- W nosie mam te nowomodne wynalazki! Co własny transport, to własny. I niezależny i bezpieczniejszy...

- Właśnie czuję to na własnych gnatach. Przez chwilę mi się wydawało, że do pokoju wleciał sam Richthoffen! – mruknął mistrz. - Zamknij okno, bo teraz mamy autentycznie delikatny przeciąg. Zlecenie załatwiłeś?

- Pytanie! Rozpuściła się o tak! Pyk! - i zrobił minę, jakby właśnie przed chwilą połknął smaczną, tłustą muchę. Pomimo stłuczonego nosa był jednak zadowolony z wykonanej pracy. Do pokoju wszedł Drugi.

- O, widzę, że nasz orzeł wleciał do gniazdka – jego uśmiech wróżył tonę złośliwości. - I jak z lądowaniem? Znów zaliczyłeś ścianę?

- Nie – mruknął Trzeci i przysiadł na parapecie próbując zatamować niewielki krwotok z rozbitego nosa. - Tym razem maszynę. Co za dureń ją tu ustawił?

- Uważaj, bo znowu wystartujesz do lotu!...

- To groźba, czy ostrzeżenie?

- Trochę cię już znam, więc raczej koleżeńskie ostrzeżenie – twarz maga nie zdradzała żadnych emocji, poza troską. - A tak poza tym, to powinienesz bardziej dbać o własną facjatę.

- Dziękuję, można się przyzwyczaić. To moja ulubiona gęba.

- Przepraszam, że wam przeszkadzam - przerwał Pierwszy. – Być może nie zauważyliście, ale mamy klienta. Umowa gotowa?

Zadrukowana drobnym maczkiem kartka opuściła skrzypiącą wałkiem antyczną maszynę do pisania. Po chwili kartka, pod czułym dotykiem czarnoksiężnika, dokonała cudownego rozmnożenia na kopię i oryginał.

- Tak - Drugi podał Drankenowi zadrukowany arkusz formatu A4. Usłużny palec powędrował w przepięknie wykropkowaną strefę. - Łaskawy pan zechce tu podpisać... O, właśnie tu. Oryginał dla nas, kopia dla pana.

- To wszystko? - zdziwił się klient.

- A cóżby chciał pan więcej? Burzy z piorunami? – mistrz uśmiechnął się szczerze na samą myśl, czego to ludzie mogą się spodziewać po dyplomowanych czarownikach i jakie to mają zacofane wyobrażenie o czarach.

- To.... do widzenia ... – wykrztusił z siebie Dranken i z uczuciem ulgi wycofał się tyłem do drzwi, bijąc dziwne, rytmiczne pokłony.

Pierwszy przez chwile studiował druk umowy, by po chwili pokazać komplet swojej nienaganej klawiaturki w czymś, co potocznie nazywane jest uśmiechem.

- Chwileczkę panie Dranken! – usłużnie wskazał krzesło. - Proszę wybaczyć nasze niedopatrzenie... Chciałbym panu pogratulować; ma pan zaszczyt być naszym milionowym klientem. Jak tradycja nakazuje ma pan jeszcze jedno życzenie, oczywiście gratis.

- Jak to gratis? – klient stanął w pół ukłonu.

Trzeci odwrócił się twarzą do okna i głośno pacnął się otwartą dłonią w czoło. Nikt jednak tego nie zauważył.

- Na... naprawdę? – wykształcił z niedowierzaniem pół-ukłon.

Czarownik podszedł do ciągle zgiętego klienta, chwycił pod łokieć i doprowadził do krzesła.

- "Polegaj na mnie, jak na harcerzu!", jak mówi pewne stare, sprawdzone przysłowie. I proszę się już wyprostować, kręgosłup pana rozboli – odparł dobrotliwie. - Naprawdę. No, niechże pan pomyśli... Nie ma pan jakiegoś skrytego marzenia? Z młodości, z dzieciństwa...?

- No, nie wiem...

- Niech się pan nie krępuje!

Klient chwilę pomyślał, jakby zbierając się na odwagę.

- Pamięta pan taką starą głupawą komedię "Pół żartem, pół serio"? - oczy Drankena znów rozjarzył znajomy, chytry błysk.

- A, owszem. Było coś takiego – przyznał mag. - Ale osobiście nie oglądałem. Wie pan, holowizja ogłupia.

- Ja bym czasami polemizował, szefie - wtrącił Trzeci, któremu w końcu udało się zatamować krwawienie z nosa.

- No dobrze, masz całkowitą rację - udobruchał go Pierwszy wiedząc, że i tak w tej sprawie nic nie wskóra. - Więc jak? Namyslił się pan? - rzucił w kierunku gościa.

- Tam grała taka fajna blondynka z... tego... no... krągłymi cyckami. Z racji tego, że jestem już człowiekiem wolnego stanu... hmmm...

Mistrz podrapał się w brodę i uśmiechnął ze zrozumieniem.

- Wydaje mi się, że rozumiem – odparł z nieskrywanym uśmieszkiem. - Chciałby pan skorzystać z dobrodziejstw ciała tej kobiety, jeżeli można to tak ująć. Czy tak?

- W istocie... – zgadnijcie, czyje oczy zabłyszczały.

- Drugi, daj ją na wizję – rozkazał mag.

Drugi pochylił się nad szklaną kulą i zaczął coś intensywnie mamrotać pod nosem. Po chwili kula rozjarzyła się znajomym, błękitnawym blaskiem.

- Panie Dranken, czy to ta?

- Nie, to przecież moja żona... była żona, znaczy się eks - sprostował.

- A może ta?

Obraz w kuli przedstawiał seksowną brunetkę z niemniej seksownym pieprzykiem koło ust.

- Niezła! – mruknął Dranken zapatrzony w wizję ze szklanej kuli. - Ale tamta była blondynką... Chyba wolę blondynkę.

- Czy to ta? – czarownik przesunął ręką po kuli, z której zniknęła piękna i seksowna brunetka. W jej miejsce pojawił się jakiś otluszczony, siwy gość z nadmierną opalenizną i krawatem w grube, białe-czerwone pasy.

- Bałwanie dyplomowany, przecież to facet - ryknął Pierwszy, chociaż znał na pamięć wszystkie zgrywy Drugiego. Trzeciego zresztą też.

- Tak? Doprawdy? – zauważyło niewiniątko siedzące przed kulą. – Doprawdy, nie zauważyłem. Przepraszam... Czy to jest ta? - po raz któryś z kolei zapytał wyczekującego gościa.

- W istocie...- odpowiedziały blaskiem świńskie oczka.

- No! - mistrz klasnął w dłonie i wyprostował kręgosłup.

- No, no! Gratuluję panu gustu! MM to nie byle kto!...- nie wiedzieć dlaczego, uśmiechnął się Drugi.

- Skończ się krzywić i powiedz nam coś o panience - nakazał Pierwszy.

- MM to tylko pseudo artystyczne – mag rozpoczął wykład z wyraźnym zadowoleniem, bo wreszcie ktoś musiałby go wysłuchać z zainteresowaniem. - W rzeczywistości Norma Je...

- Panowie wybaczą - przerwał Dranken. - Mnie nie interesują takie szczegóły. To mi do niczego nie potrzebne!

- Jest pan pewien, panie Dranken?

- Zamknij się, Grubciu - zakomenderował szef, co świńskie oczka przyjęły z wyraźnym zadowoleniem. - Klient nasz pan! - dodał z czarującym uśmiechem, który zawsze wróżył nieliczne kłopoty. Nie koniecznie dla czarowników...

- W istocie... Jej sypialnia interesuje mnie najbardziej. - dodał gość nie zwracając uwagi na miny pracowników spółdzielni „1001 Życzeń”.

- A ile szanowny pan życzy sobie tam spędzić czasu?

- Myślę, że sześć godzin mi wystarczy.

Grubcio zagwizdał z podziwu, Drugi popatrzył z uśmiechem na kolegów.

- Ma pan dwanaście. Nasza dewiza, to sprawnie i solidnie! Czy tyle czasu z nią panu wystarczy? - znów Pierwszy uśmiechnął się szatańsko, aczkolwiek nader uprzejmie.

- Myślę, że tak - także znów dały o sobie znać świńskie oczka Drankena.

- W takim razie odsyłamy pana do jej... hmmm... sypialni. Polecamy się łaskawej pamięci na przyszłość! - Pierwszy pstryknął palcami i gość znikł. Tylko dwaj pozostali czarownicy patrzyli zadziwieni tak niespodziewanym obrotem sprawy.

- Drugi, daj go na wizję – poprosił mistrz.

- Nie ma sprawy, szefuńciu drogi. Czuję już ten ubaw!

- No, no! Czyżbym widział ten sam świński błysk oczek, co u naszego drogiego gościa?

- Słuchajcie - wtrącił Trzeci. - a jak towarek nie będzie chętny?

- Ty, on chyba jeszcze nie kuma! – prychnął zza kuli mag z numerkiem dwa. Pierwszy odwrócił się i podał Grubciowi dwa krzesła. Po chwili w jego rękę pojawiła się duża porcja popcornu.

- Za kogo ty nas masz? – mruknął z oburzeniem. – Za niewydarzonych akolitów? O jej chęci niech cię ten ptasi mózdzek nie boli, wszystko załatwione zgodnie z naszą dewizą: sprawnie i solidnie!

- Ciiiiii... – syknął Drugi wciąż regulując kanał czasoprzestrzenny. - Czekajcie, mam już obraz!

Jak we mgłę pojawił się rząd bogato zdobionych grobowców. Obraz przesunął się powoli mijając kolejne alejki, gdzie spoczywali możni tego świata. Coraz bardziej, z nieubłaganiem nemezis pod postacią złoconej tablicy, pchał się w ekran okazały nagrobek z czerwonego marmuru. Przybliżał się powoli, systematycznie i rósł w oczach. Z każdym momentem napis na złoconej płycie stawał się coraz wyraźniejszy: "Here lies Marilyn Monroe". Nagle obraz wykonał nura w płytę zakrywającą monumentalną budowlę, światło ustąpiło nieubłaganej ciemności. W mroku majaczyły jakieś niewyraźne cienie. Stopniowo oczy obserwatorów przyzwyczajały się do braku światła. Z mroku wyłoniła się rozbita trumna skrzająca się resztkami różowej farby, tuż obok, na dnie przestronnego grobowca leżał Dranken ze spodniami na kostkach, bardzo głośno protestując i wyrażając swoje wybitne niezadowolenie z zaistniałej sytuacji. Na nim siedział okrakiem szkielet odziany w coś na kształt resztek firanki zmieszanych z pajęczynami. Pustymi, niczym portfel autora, oczodołami

wpatrywał się z lubością w swojego pierwszego od stuleci kochanka. Jego broda smagała usta ofiary kłapiąc szczękami, jego biodra wykonywały jednoznaczne, posuwiste ruchy. Szkielet przeżył się i zwił w miłosnej ekstazie. Delikatny podmuch wiatru wpadającego przez szczelinę między płytami marmuru rozwiewał resztki blond włosów, które jeszcze nie odpadły od czaszki. Głośny klekot kości o dno grobowca skutecznie zagłuszał równie głośne protesty Drankena.

- Ha, ha, ha! - Trzeci rechotał najgłośniej. - A nie odwracaj się później do niej dupą! Kobiety tego nie lubią!

- Ty, skąd on to wie? - zapytał Drugi szefa z wyraźnym zdziwieniem.

- W poprzednim wcieleniu był kobietą. Sam sprawdzałem! - odparł mrugając porozumiewawczo.

Czarownik złapał się za brzuch i zaczął rechotać jeszcze głośniej. Po chwili spadł z krzesła rozsypując popcorn po niewielkim pokoju.

- Oj, to miss piękność to raczej nie była! – dodał łapiąc się oparcie krzesła.

Upiorny spektakl trwał jeszcze godzinę. Po tym czasie Drugi po prostu wyłączył kulę twierdząc, że ma dość tej holonoweli. Jak długo można oglądać to samo?

- Dobra, kto następny? – mruknął skończywszy wycierać ślady odbitych paluchów na szklanej powierzchni urządzenia.

- Do blondynki?! – Trzeciego przytknęło.

- Nie, w kolejce, ośle jeden! Pamiętasz o zakładzie?

Na Grubcia spłynęło olśnienie.

- Stawiam piątkę na hrabinę.

- A ja drugiego na gwałciciela.

- A czy ja mógłbym przystąpić do zakładu? – wtrącił mistrz.

- Bez kawałów Pierwszy! To już było! - zauważył Drugi.

- Och, wydaje ci się, drogi przyjacielu. Dejavu to moja specjalność! No to co?

Obaj pozostali czarownicy zrobili bardzo groźne miny.

- Szefie, ja nie chcę być niegrzeczny, ale - Trzeci nie owijał w bawełnę. - my tu naprawdę o forszę gramy!

Tymczasem rachunek za telefon Drankena rósł. Nikt nie odłożył słuchawki. Nie było komu.

* * * * *

* * * * *

Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:

SYSTEM HOLOTELE – podobny do audiotele, tyle że bardziej interaktywny; ZBÓR CZAROWNIKÓW – dobrowolne zgromadzenie powołane w celu osiągnięcia wspólnego celu; DOLAR TRANSFEROWY, ZŁOTY STANDARD – fikcyjne waluty przyszłości, których kursy będą prawdopodobnie kształtować ceny na rynku ogólnoswiatowym; BIURO EWIDENCJI LUDNOŚCI – obecnie tę

rolę pełni USC; CIĘŻARNA KROWA SKRZYŻOWANA Z CZOŁGIEM – znawcy tematu twierdzą, że tym krótkim stwierdzeniem opisałem pewien popularny, polski samochód wyprodukowany w FSO; RICHTHOFFEN von, Manfred – as niemieckiego lotnictwa myśliwskiego z czasów I Wojny Światowej, zwany „Czerwonym Baronem”; CZARY – całokształt czynności związanych z magią, po których ludzie spodziewają się Bóg wie czego; MARYLIN MONROE – właśc. Norma Jean Baker – amerykańska aktorka uważana za symbol seksu wszech czasów, obecnie na tamtym świecie.

OPOWIEŚCI ZE ŚWIATA CZAROWNIKÓW

Rozdział IV: Camera Obscena

*O potędze mediów, potędze platonicznego uczucia,
potędze nieskazitelnego piękna i potędze zaklęcia.*

Od kiedy - w nie tak aż odległej przyszłości – nastąpił ogólnokrajowy kryzys gospodarczy, zaistniała Spółdzielnia Czarownicza „1001 Życzeń” zrzeszona w Spółdzielni Usługowej New Warsaw City. Jej pracownicy, w sile trzech wysoce wykwalifikowanych specjalistów od nauk paranormalnych, trudnili się realizacją drobnych zleceń w zakresie czynienia cudów, na które popyt wzrastał z biegiem lat, a koniunktura wymogła przekształcenie spółdzielni w spółkę z wielce ograniczoną odpowiedzialnością. Tak oto nastała nowa rzeczywistość, a w niej nastał nowy, piękny dzionek, który i tak szybko minął. Po nim nastał wieczór...

Klient nerwowo kręcił się na swoim krzeselku.

- Czy technicznie jest to możliwe? – zapytał nie będąc pewnym, czy faktycznie mistrzowie magii zrozumieli, czego od nich wymaga.

- Teoretycznie tak – odparł starszy z magów. – Próbowano tego już wielokrotnie, z różnym efektem. Niektórym się udało, lecz obiektem ich czarów było urządzenie o wiele mniej skomplikowane.

Siedzący na krzeselku przed biurkiem gość sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- W takim razie jestem zdecydowany – oznajmił.

Mag skinął na swojego milczącego pomocnika, ten zaś wyszedł na chwilę do pomieszczenia obok, by po chwili pojawić się w drzwiach z wielką, antyczną maszyną do pisania w rękach.

- Spiszemy umowę – wyjaśnił mistrz.

- Żadnej umowy, żadnych danych – zastrzegł klient. – Pełna dyskrecja wymagana. Oto zaliczka, która wynagrodzi panom pewne niedogodności zaistniałej sytuacji.

W sekundę później ręka ozdobna w drogi, rosyjski zegarek opuściła opiekuńczy mrok wewnętrznej kieszeni marynarki ukazując niemałą fortunę.

- To pokryje wszystkie wydatki – mruknął Pierwszy przeliczając pieniądze. – Sto dwadzieścia krugerandów to niemała sumka. Nie obawia się pan braku potwierdzenia?

Gość uśmiechnął się krzywo.

- Wasza renoma jest najlepszym gwarantem – wyjaśnił, choć było widać po minie, że niezbyt szczerze.

Mistrz klasnął w dłonie, czemu towarzyszyło malutkie wyładowanie elektryczne.

- Niech i tak będzie, skoro taka wola! – podszedł do klienta, który wstał, zapiał marynarkę i wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Proszę pamiętać, dwa dni! - przypomniał. – Reszta płatna przy odbiorze.

- W takim razie za dwa dni dostarczę osobiście – obaj czarownicy odwzajemnili służbowy uśmiech i odprowadzili gościa wzrokiem do drzwi. Kiedy te się zamknęły, milczący dotąd Drugi rozpiął swój służbowy, czarowniczy płaszcz i siadł na krzeselku lokując nogi na blacie biurka.

- Nie podoba mi się ten typek – stwierdził, choć było to oczywiste.

- Mi też – odparł szef kontemplując obuwie podwładnego – Gdzie ty kupujesz taką tandetę?

Czarownik popatrzył na swoje buty i w duchu przyznał przyjacielowi rację.

- W hipermarkecie – padło po chwili – Wiemy, kto to?

- Mógłbyś za nim pójść – padła nieśmiała sugestia. – Szkoda, że nie ma Grubcia, on jest idealny do takich zadań!

- O tak – roześmiał się mag. – Wcale a wcale nie rzuca się w oczy. Wiesz co? Skoczę tylko na parter do Malwiny.

Pierwszy popatrzył na stan swoich paznokci.

- Nic ci tu nie sugeruję – zauważył. – Ale robota czeka, klient ucieka, a tobie podrzędne romanse w głowie...

Drugi zerwał się z krzesła, zrzucił swój płaszcz i otworzył drzwi Agencji.

- Nie zapominaj, że Malwina pracuje w magazynie teatralnym – rzucił i już go nie było.

Po chwili radosne „ping” dobiegające z korytarza oznajmiło, że winda podjechała po raz kolejny na trzynaste piętro po swojego pasażera. W związku z tym Mistrz postanowił uciąć sobie drzemkę, która wydawała się być tylko chwilą. W rzeczywistości trwała aż trzy godziny i została przerwana przez kolejne radosne „ping” dobiegające z korytarza trzynastego piętra.

Drzwi Agencji uchyliły się delikatnie, do środka wszedł dziwnie wyglądający mężczyzna w groteskowej, jasno brązowej marynarce w kratę oraz najdziwniejszym wąsem w całym New Warsaw City – jedna połówka była czarna, druga zaś siwa. Nad tym wszystkim górowały wielkie, ciemne okulary.

- Witam cię kwintesencjo kiczu, władco bezguścia – rzucił rozbudzony

Pierwszy i przeciągnął się głośno przy tym ziewając.

- Szacuneczek Śpiącej Królownie – odparł Drugi zdejmując ciemne szkła.

- Wyglądasz jak idiota. Widziałeś się w lustrze?

Przebrany czarownik na chwilę zniknął w sąsiednim pomieszczeniu.

- Chyba masz rację – przyznał już od drzwi. – Teraz rozumiem tych kilkunastu lanserów, którzy mnie dopadli pod hotelem „Slavia”.

Mistrz popatrzył z niedowierzaniem.

- I co im powiedziałeś?

- Że jestem cudzoziemcem, a to najnowszy trend w modzie – przyznał z rozbijającą szczerością zapytany. – Myślisz, że dali się nabrać?

- Musieliby być bardziej ślepi, niż ten, kto ci dobierał garderobę – przyznał mistrz wstając z krzesła. – No i ten wąsik...

Drugi wzruszył ramionami.

- Malwina dała mi na szybko to, co miała od ręką – wyjaśnił. – Jutro jej to oddam.

Mag załamał ręce.

- Każdy pretekst jest dobry, by urwać się z pracy na randkę. Dowiedziałeś się czegoś, fircyku?

- Redaktor podrzędnej stacji telewizyjnej – wyjaśnił fircyk odklejając groteskowego, dwukolorowego wusa. – Specjalizuje się w relacjach z wydarzeń politycznych.

Pierwszy podrapał się po brodzie. Ta rewelacja nic nie wyjaśniała, wręcz przeciwnie: gmatwała wszystko, bo coraz bardziej odległe wydawało się być znalezienie odpowiedzi na podstawowe pytanie: po co podrzédnemu redaktorowi tak specjalistyczny sprzęt?

- Musimy go obserwować, może się coś wyjaśni – dodał po chwili.

- Masz mnie za akolitę? – oburzył się mag. – Posłałem za nim chowańca pod postacią fałszywego cienia, zasięg minimalny dwanaście metrów, aby się za bardzo nie rzucał w oczy. Wszystkie dane szerokopasmowym łączem czaroprzestrzennym prześle nam do biura.

- Muszę przyznać, że czasem masz przebłyski geniuszu – przyznał czarownik siląc się na uśmiech.

- Oj, bo pożałuję, że cię ściągnąłem z niebytu!... – zmięta w kulę kraciasta marynarka przeleciała przez pokój. Mistrz zręcznie wykonał unik patrząc, jak szmaciana kula mija go na wysokości ucha i ... wypada przez okno.

- O święty Samaelu! – jęknął Drugi. – Malwina mnie zabije!

- I co, eleganciku? Ma się refleksik! – z dumą przyznał mag. – Nie wycałujesz się za to do emerytury... Na twoim miejscu poleciałbym szybko na parter. Ostatnia uwaga była jednak zbyteczna. Wizja całowania uroczej Malwiny przez kilkadziesiąt następnych lat podziałała na czarnoksiężnika z iście cudowną, przyspieszającą mocą.

Gruby czarnoksiężnik nazywany przez kolegów Trzecim otworzył oczy i ze zdziwieniem spostrzegł, że nadal siedzi przy biurku. Tuż przed nosem skrzyła się przyjaznym, niebieskawym blaskiem szklana kula ukazując dobrze znajomy śnieżek - znak nieomylny, że program już dawno się skończył.

"Cholera, znowu zasnąłem przy inwigilowaniu. Chyba zbyt dużo pracuję" - pomyślał czarnoksiężnik i delikatnie potarł dłonią wierzch kuli. Niebieska poświata znikła. Zapadł milutki półmrok. Z ciemności, tuż za nim, dobiegł

dziwnie znajomy głos.

- Nie martw się - Pocieszył Grubcia Pierwszy. - Też mi się zdarzało spać podczas pracy.

- A niech to Wszyscy Święci! - Trzeci wyraźnie starał się chwycić za serce. - Aleś mnie wystraszył!

- Nie z tej strony... – mruknął mistrz i poklepał kolegę po ramieniu.

- Wystraszył? Ze strony? Co ty bredzisz?

- Łapię się nie z tej strony. Serce masz po drugiej.

- Aha - Poprawił się Grubcio i chwycił się za serce od drugiej strony. Od strony kręgosłupa... Ręce Pierwszego uniosły się do góry we wszystko mówiącym geście, przy czym połowa z nich opadła po chwili z twórczej niemocy, natomiast druga zaczęła pokazywać jakieś tajemnicze kółka na czole.

- Ty, co ty mi tu za geometrię wykreślasz? – oczy tłściocha zwęziły się do wymiaru ciasnej szparki.

- Rysuję ci twierdzenie Pitagorasa! - odpalił Pierwszy. – To bardzo przydatne twierdzenie!

- Oczywiście – zgodził się mag - Tylko dlaczego na czole?

W mroku zajaśniał przez chwilę rząd bielutkich zębów układający się obrysem w uśmiech.

- To po to, abyś lepiej zapamiętał.

- Czy dużo straciłem? - zapytał, już zupełnie poważnie Trzeci.

- Tak, już wiemy. Odpal swój moniterek i postaraj się odtworzyć to, co tak pieczołowicie przechrapałeś.

Z ciężkim westchnieniem Trzeci ponownie potarł szklaną kulę, tym razem mamrocząc pewną dość skomplikowaną formułę czarnoksiężką po starosumeryjsku. Kula rozjaśniła cudownie błękitnym blaskiem niewielkie biuro. Czarownik otarł rękawem twarz otrzepując się z resztek jednego z najprzyjemniejszych snów - snu o wielkim żarciu.

- Jak daleko to cofnąć?

- Do drugiej dwadzieścia trzy - uśmiechnął się mistrz na wspomnienie pogrążonego w słodkim śnie przyjaciela.

- Hm... To nasze biuro! - ze zdziwieniem spostrzegł Trzeci, po czym zastygł w przedziwnej pozie rozdziawiając usta ze zdziwienia. Tymczasem obraz przybliżył się i oczom obu magów ukazał się... Grubcio śpiący przed szklaną kulą na blacie biurka i jeszcze czymś, co zupełnie nie pasowało do powagi tego sielskiego obrazka.

- O święty Samaelu! - wrzasnął Trzeci. - Kto mi włożył SMO CZKA do gęby?! Pierwszy tymczasem starał się nie słyszeć lamentów podwładnego i z uporem maniaka kontemplował gwiazdy na niebie za oknem, pogwizdując „Blue moon”. W końcu nie wytrzymał i zgodnie z tradycją, po korytarzu trzynastego pietra rozniósł się głośny rechot.

- Dobra, teraz daj drugą czterdzieści – dodał po chwili jeszcze chichocząc. -

Gniewasz się?

- Nie. Szef ma zawsze rację!

- Zauważyłem podtekst w tym stwierdzeniu. Co on mówi?

- Zamorduję! – warknął obszerny czarownik i powrócił do kontemplacji wizji w kuli.

Tym razem obraz przedstawiał luksusową willę w Fallenitse Hill, jak mówiła tabliczka z nazwą dystryktu, przylepiona do wysokiego ogrodzenia budynku. Na potarganej wiatrem sośnie majaczył jakiś bliżej niezidentyfikowany cień. Cień był o tyle ciekawy, że miał w ręku lornetkę.

Mistrz pochylił się nad kula i wskazał palcem konkretną plamę światła w fasadzie budynku.

- A teraz patrz na okno na pierwszym piętrze – mruknął. – Zrób zbliżenie.

- Chwileczkę... - Trzeci delikatnie pogłaskał szklaną kulę, obraz nieznacznie się przybliżył.

- Słabiutko... to wszystko, co możemy uzyskać?

- Niestety – Trzeci był także wyraźnie niepokieszony. - O kurczę!

Okno na pięterku rozbłysło mocniejszym światłem, ukazując anielskich kształtów dziewczynę, która majsterkowała coś przy ścianie, następnie stanęła na środku pokoju i zaczynała tańczyć w rytm niesłyszalnej muzyki. Widowisko trwało około dziesięciu minut i pomimo pewnej monotonii i dłużyżn w akcji, wprawiło w zachwyt obu czarnoksiężników, jak i tajemniczy cień przyczajony na drzewie.

- O święty Flaurosie! - wystękał ponownie wniebowzięty Grubcio. - To widowisko warte jest najlepszych ciast Clicklego! Masz jej adres? Może rośnie obok jeszcze jedna, wolna sosna?

Czarownik pokręcił głową w niemym przeczeniu, choć w głębi duszy doskonale rozumiał kolegę, gdyż niezdrowa fascynacja tajemniczą tancerką udzieliła się także i jemu.

- Nie. Ale już wiemy, po co naszemu „przyjacielowi” ta cudowna kamera.

Trzeci palnął się potężną dłońią w czoło i o mało nie zasłabł.

- O rety! Masz rację! Ludzie zapłaciliby krocie, żeby zobaczyć ją w tym ekstatycznym tańcu i to NAGO! Camera obscena! Kapitalny pomysł - niby fotografować ludzi, którzy nieświadomie pozują całkowicie tak, jak ich moce ciemności i światła stworzyły...

Pierwszy przybrał poważną minę.

- Roentgen też tak sądził. Niestety, żadna ze sfilmowanych przez niego postaci nie była naga w stopniu podniecającym szersze rzesze ludzi... no, może za wyjątkiem kilku nekrofilii.

Trzeci nadal tkwił w połowicznym osłupieniu.

- Czy mógłbym iść sprawdzić, kim ona jest? – jęknął. - No proszę..!

- Masz pecha, za dużo przespałeś tego wieczora - uśmiechnął się Pierwszy. - Posłałem tam już Drugiego.

- O kurczę! - jęknął po raz trzeci zawiedziony czarownik o tym samym numerze.

W tej właśnie chwili jedna z gwiazd na niebie poczęła spadać. Spadała, spadała, aż osiągnęła pułap parapetu. Drugi usiadł zgrabnie na parapecie i zwiesił nogi ponad kaloryferem.

- Bawisz się w świetlika w okresie godowym? - zagaił Grubcio.

- Nie, śpioszku – uśmiech maga był nader podejrzany. - Przepisy

Bezpieczeństwa Lotów Stratosferycznych nakazują mieć w nocy oświetlenie punktowe celem uniknięcia kolizji z innymi obiektami latającymi. Paragraf trzy, punkt jedenasty.

Pierwszy zmarszczył brwi, bo podobnie jak jego tłusty towarzysz, czekał na najważniejszą informację całego śledztwa.

- Dobra, kim ona jest!

- Ha! - popatrzył ze zrozumieniem Drugi. - Wnioskuje po twoim zachowaniu, że już obejrzałeś powtórkę? - Było to pytanie retoryczne, toteż czarnoksiężnik podstawiał krzesła do biurka z myślą przewodnią. - Siadajcie i trzymajcie się krzesel: to Cynthia Chrysler.

- O kurczę! – zgadnijcie, kto zajęczał po raz kolejny.

- Przestań jęczeć! – zganił go mistrz. - Wydaje mi się, że cierpię na deja-vu!

Jęczenie Trzeciego było jednak zrozumiałe. Panna Chrysler była najbardziej wziętą top-modelką na świecie. Najpiękniejsza, najzgrabniejsza, najsympatyczniejsza i w ogóle „naj”. Nie trzeba chyba dodawać, że przy okazji najseksowniejsza i najbogatsza.

- Zsumujmy naszą wiedzę - zaproponował szef. – Co mamy?

Drugi rozsiadł się wygodnie, na tyle, na ile pozwalało mu rozkładane, teatralne krzesło, i rozpoczął składać wszystkie wydarzenia do kupy.

- Oto mamy redaktora poważnego programu holowizyjnego – rozpoczął wykład.

- Który nocą dorabia, jako paparazzi, a naprawdę wielki szmal pragnie zdobyć sprzedając crystall dyski z tańczącą nago, najpiękniejszą dziewczyną świata...

Drobiazg!

Trzecim zatrzęsło ze zgrozy.

- Ja go zamienię w dydelfa! Jak on może?! Nie niszczy się piękna!

- Masz rację, Grubciu - przytaknął Pierwszy. - Nie niszczy się piękna i dlatego wykonamy to nietypowe zlecenie. Klient nasz pan!

- Przepraszam – wtrąciło siedzące Najwyższe Oburzenie. - A czy zdarzyło nam się kiedyś zlecenie typowe?

- Nie przypominam sobie...

- A lady Charlotta i Belfegorek? – uśmiech Drugiego mówił już wszystko.

- Cofam pytanie, boss – Trzeci postanowił uniknąć kompromitacji. –

Kontynuujmy: zamienię go w padalca! - syczał nadal wściekły Grubcio. - Albo scynka!

- Posłuchaj mnie teraz, o Obszerny. Damy mu tą kamerę, bo w końcu płaci, ale z drobnym zastrzeżeniem: przed każdym użyciem jej w funkcji "kamera obscena" musi wypowiedzieć hasło, inaczej kamera będzie niczym innym, jak tylko zwykłą kamerą holowizyjną – po uśmiechu mistrza obaj czarownicy wiedzieli

jednak, że w całej sprawie siedział jakiś kruczek. Dokładnie: kruk. Precyzując: czarny kruk, w dodatku dość otyły.

Trzeci popatrzył na szefa z uznaniem.

- Masz całkowitą rację, szefie – odpalił ze zrozumieniem. - Genialny plan! Gdy wypowie głośno hasło, będzie zdekonspirowany, jako ukryty paparazzi...! Czy w formie zadośćuczynienia mógłbym wybrać hasło?

- Ech! - westchnął mistrz przeczuwając, że gdy coś nie wyjdzie, może być z tego wszystkiego nielichy pasztet. - Możesz.

- No to lecę do nocnego – to rzekłszy, Grubcio począł się niezdarnie gramolić na parapet. Po chwili zniknął w czeluści otwartego okna. Pierwszy wychylił się przez okno, by zobaczyć nadlatującego, wielkiego i czarnego jak sadza kruka.

- Tylko kup jakiś przyzwoity model! – przypomniał podwładnemu.

- Może być mnemocyfrowka? – zaskrzeczał kruk, kreśląc niezgrabną pętlę wokół reklamy spółki adwokackiej z dziesiątego piętra.

- Może. Tylko nie kupuj niczego z Antarktydy!

Wielki czarny cień oddalił się znikając całkowicie wśród neonów całonocnego centrum handlowego „Trylo-Bit”.

Wieczorem Drugi przytaszczył toporny holowizor. Było to leciwe pudło o przekątnej dwadzieścia sześć cali i głębi obrazu osiem, czyli z technicznego punktu widzenia antyk, lecz o dziwo, jeszcze na chodzie.

- Rety! - zakrzyknął na ten widok Pierwszy. - Gdzieś ty go wygrzebał?!

- Na szrocie – odparł mag zgodnie z prawdą. – Drukarnia z trzydziestego drugiego piętra postanowiła zezłomować stare sprzęty i zakupić nowe cacuszka. Aha, tak przy okazji: masz przedłużacz?

- Po jaką ektoplazmę przytargałeś ten złom?! Waży chyba ze dwadzieścia kilo!

- Dziewiętnaście i pół – mruknęła zakapturzona postać zza pudła, które zgrabnie wylądowało na biurku. - Grubcio prosił, abyśmy oglądali konferencję prasową ministra Fagasa.

Mistrz skrzywił się z niesmakiem.

- Nie znoszę faceta! Ale skoro Grubcio tak prosił... Mus to mus, a podwładny i tak w końcu ma rację. Podłączaj. A gdzie nasz spec od smoczków?

Drugi obnażył śnieżnobiałe zęby w zabójczym uśmiechu. Wiadomo, że chodziło o Trzeciego.

- Na konferencji prasowej – odparł second ustawiając głębokość obrazu. - Poszedł sprawdzić, czy nasz przyjaciel z redakcji używa swojej cudownej kamery, także do zwykłych celów. W końcu to najnowszy model, trzeba przed kumplami zabłyszczyć, nie?

Tymczasem uroczą spikerka mówiła coś o najnowszych trendach mody. Na ekranie pojawiło się tuzin modeli na wybiegu, przyodzianych w kraciaste, jasnobrązowe marynarki oraz ustrojonych wypomadowanymi wąsami: jednym

czarnym, jednym siwym. Po chwili modele sobie poszli, natomiast uroczą spikerka z owiniętym wokół szyi grubym warkoczem zapowiedziała relację na żywo z konferencji ministra gospodarki Fagasa. Obraz się zmienił. Przed mównicą stał mały, chudy człowieczek z pokaźną łysinką i czarnym, mysim wąsikiem. Obrazem trzęsło, migły dziesiątki czupryn co bardziej niecierpliwych reporterów chcących być jak najbliżej blasku władzy, co oznaczało, że tłum zgromadzony przed mównicą jest naprawdę spory.

"Panie ministrze, czy może się pan wypowiedzieć na temat polityki socjalnej reprezentowanej przez rząd?"

"Tak, drodzy państwo, przyznaję szczerze, że miało to być szczytowym punktem naszej dyskusji, jednakże skoro padło już to pytanie..."

Kamerzysta dał zbliżenie. Wtem obraz podskoczył, chwilę potem zatańczył ukazując podłogę i kilka nakładających się na siebie różnych, męskich butów. W pewnym momencie jasnym się stało, że ktoś potężnych rozmiarów nadepnął bardzo dotkliwie kamerzystę.

"Kur... mać!" - rozległo się w tle wypowiedzi ministra Fagasa.

I wtedy stała się rzecz dziwna. Pomimo nienaganego garnituru, na kanale stacji "BB TV" minister Fagas stał przed mównicą całkiem nagi. Hasło zadziało znakomicie.

Potworny rechot rozchodził się po trzynastym piętrze budynku Spółdzielni Usługowej jeszcze przez pół godziny. Dla wielu pracowników z innych pięter siedzących po godzinach było to już normalne, prawie jak rytuał, więc nikt niczemu się nie dziwił. Zresztą w tym momencie w całym kraju płakały ze śmiechu miliony mieszkańców oczekujących na gospodarczy cud. Jediną osobą, której nie było do śmiechu, był sam minister Fagas, któremu zasugerowano oglądnięcie powtórki.

- Ciekawe, jaką miał dziś minister oglądalność? - wypalił Pierwszy ocierając łzy.

Na niebie akurat pojawiły się gwiazdy. Były jednak, w przeciwieństwie do tych holowizyjnych, niezniszczalne, choć nie błyszczały, aż tak intensywnie, jak przestrzenny luminofor.

- Większą miał tylko proces Kuby-Rozpylacza - uśmiechnął się Drugi, dając do zrozumienia, że oglądalność przekroczyła dziewięćdziesiąt procent. Czemu tu się dziwić? Minister nieświadomy niczego pieprzył o gospodarce przez dwadzieścia minut, bo kamerzysta skorzystał z funkcji AUTO i nie kontrolował tego, co się dzieje na ekranie.

- Powiedz sam: nie ma to jak naga prawda! Szczególnie w polityce.

Czarownik wstał z krzesła, podszedł do dystrybutora wody mineralnej i nalał sobie pełną szklankę.

- A pan redaktor? - dopytywał się szef.

Drugi wychylił zawartość szklanicy.

- Już nie redaktor – odsapnął. – Pisali na scrollu jak rechotałeś, że zostałeś w trybie natychmiastowym oskarżony o sabotaż przeciwko rządowi. Jego stacja holowizyjna prawdopodobnie straci koncesję. Podali coś jeszcze...

- Mianowicie?

- Po wypowiedzi ministra, notowania giełdowe znacznie wzrosły, zaś poparcie dla rządu wzrosło o dziesięć procent – wysapał jednym tchem czarnoksiężnik.

- No tak – mruknął Pierwszy. – Ale muszę przyznać, że jak zobaczyłem najnowsze trendy mody, to mnie замуrowało!

Mag wydał usta.

- Gdybym tak zaczął projektować stroje zamiast siedzieć tu, w tej zapyziałej norze przy szklanej kuli i w dodatku za te marne centy...! – rozmarzył się.

- Hm... Pewnie kupiłbyś sobie Seszele - mruknął ponownie mistrz. - A gdzie wyfrunął nasz genialny i mimowolny sprawca gospodarczego cudu?

Drugi nic nie mówiąc podszedł do szklanej kuli. Potarł ją bardzo delikatnie dłonią i wymruczał coś po starosumeryjsku. Szkoło rozbłysło przyjaznym błękitem i po chwili ustabilizowało się, ukazując luksusową willę w Fallenitse Hill skąpaną w nocnej poświacie. Na pierwszym piętrze właśnie zapaliło się światło, dekonspirując przyczajony na pobliskiej sośnie cień. Pewien znajomy, bardzo gruby cień.

* * * * *

* * * * *

Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:

FIRCYK – od niemieckiego słowa „vier”, a właściwie od monety czterofenigowej zwanej „fijerką” – elegant wart tylko cztery fenigi, a po naszymu: od siedmiu boleści; TWIERDZENIE PITAGORASA – autentycznie takowe istnieje i jest bardzo przydatne. Stanowi podstawę trygonometrii; SMOCZEK – coś, o co każdy z nas w swoim życiu się otarł, a czego nie bardzo chce pamiętać; FALLENITSE HILL – obecnie Falenica, dzielnica Warszawy, gdzie chwilowo nie ma żadnych wzgórz; STAROSUMERYJSKI – starożytny, martwy język używany jeszcze przez wysoko kwalifikowanych czarowników jako język rytualny; CYNTHIA CHRYSLER – czarownicza wersja nieślubnej córki Cindy Crawford, Lindy Ewangelisty i kilku innych top modelek; MNEMOCYFRÓWKA – następczyni cyfrówek; CENTRUM HANDLOWE „TRYLO-BIT” – futurystyczna wersja hipermarketu; POPARCIE DLA RZĄDU – rzecz, która niby jest, lecz tak naprawdę wiecznie spada, więc logicznie rzecz biorąc – już dawno spadła poniżej zera, więc tak naprawdę jej nie ma. Diabelnie trudno to wytłumaczyć!

OPOWIEŚCI ZE ŚWIATA CZAROWNIKÓW

Rozdział V: Bardzo Zła Księżniczka

O wiadrze i marmurze splecionych magią wysokich sfer, także o tym, że warto czytać bajki, lecz niekoniecznie warto stosować je w praktyce.

Pogoda była zamówiona, więc słońce świeciło jak zawsze. Oczywiście jest, że było pięknie. Trzeci siedział okrakiem na parapecie i pruł swój służbowy, czarowniczy płaszcz, jak zawsze zresztą, co już nie było takie pięknie. Być może z tego względu, że odzież robocza, a taką niewątpliwie był płaszcz czarnoksiężnika, przysługiwała zgodnie z przepisami wykonawczymi do ogólnoświatowej instrukcji BHC (Bezpieczeństwa i Higieny Czarów) raz na osiemnaście miesięcy, lub aż do zniszczenia. Pozostawiało to niejako pole manewru, ponieważ aktualnie odzież robocza Trzeciego zmierzała raczej do zniszczenia.

- Grubciu - Pierwszy wpatrywał się z zaciekawieniem w szklaną kulę. – Chyba zapomniałeś wyłączyć moniterek!

Otyły mag wzruszył ramionami i kontynuował zagładę rytualnych szat.

- Phi, przecież i tak ma zaniżony pobór mocy psychicznej!

- A promieniowanie negatywnych wibracji? – przypomniał szef.

- "LOW RADIATION", szefuńciu – odpalił Wielki Niszczyciel.

- To po co to cholerstwo chodzi?

- Za coś muszę przecież brać "szkodliwe"! - z szatańskim uśmieszkiem oznajmił Trzeci, zwany Grubciem. Dlaczego właśnie Grubciem? To proste - ze względów fizjonomicznych. Po dziś dzień Trzeci jest gościem... hm... solidnie zbudowanym, jeśli wiecie, co mam na myśli. Zresztą nie muszę tu czarować i owijać w bawełnę szukając substytutów słownych, gdyż słodkie zdrobienie przymiotnika "gruby" Trzeci nadał sobie sam, wychodząc ze słusznego założenia, że nie istnieje coś takiego, jak kompleksy.

- Czekaj! - Pierwszy nadal gapił się w szklaną kulę. Tym razem z wyraźnym zainteresowaniem. - Chcesz się pobawić w wyższe sfery? Błękitna krew i te sprawy...?

- A z jakiej paki?

- Właśnie wsiadł do windy klient z herbem w klapie marynarki, co oznacza, że należy do jakiegoś klanu arystokratycznego - Trzeci stracił swój cały uśmiech.

- Skąd ta pewność, że to klient i to akurat do nas?

- Wiem, szanse jak jeden do czterdziestu dwóch, że wysiądzie na naszym piętrze...

Biorąc pod uwagę liczbę pięter wieżowca, z całą pewnością mistrz miał rację.

- No, jak już wysiądzie, to i tak dużego wyboru nie ma - Grubcio miał rację.

Trzynastka była tak pechowa dla ludzkości ostatnimi czasy, że żadna z szanujących się (oraz żadna z mafijnych) firm nie chciała objąć biur na trzynastym piętrze. Nawet za dopłatą.

- Stawiam sto do jednego - mrugnął Pierwszy. - że klient jest nasz.
- Jasnowidztwo? - zgadywał Trzeci z lekkim niedowierzaniem wyczuwając kant.
- Czyżbym słyszał lekkie niedowierzanie? Zgaduj dalej.
- No tak, faza księżycy ci nie sprzyja... – mruknął czarownik. - Kula?
- Nic z tego, Sherlocku! – kontynuował Pierwszy z triumfem odmalowanym na twarzy. - W kuli nie widać pulpitu windy.
- Blefujesz! - palnął Trzeci.
- Skąd ta pewność?
- Elementarna dedukcja, drogi Watsonie! - Trzeci napuszył się, jak jeszcze nigdy dotąd.
- No to uważaj, balonie jeden - uśmiechnął się szef. - Drugi z nudów poszedł się bawić w windziarza.
Od razu było widać, że ta informacja wstrząsnęła grubasem.
- Żartujesz!

Mistrz rozsiadł się w fotelu prezesa.

- Myślisz, że tylko ty się nudzisz w pracy? – padło pytanie, które pozostało bez odpowiedzi, bo oto w tym momencie stały się dwie rzeczy. Winda dojechała do trzynastego piętra, jak również z Grubcia-balona uszło prawie całe powietrze. Do biura wszedł w asyście Drugiego wysoki, szczupły pięćdziesięciolatek z wyraźną łysinką i orlim nosem. W kłapie marynarki widniał maleńki znaczek herbowy: pół plecionego koszyczka, pół czerwonego kapelusika na tle ciemnej zieleni.

"Uwaga, bufon!" - telepatycznie przekazał Drugi, zezując przy tym na arystokratę.

"No to go trochę usadźmy" - wypalił mistrz, nie będąc pewnym, czy jego podkomendny odebrał przekaz. Telepatia nie była jego mocną stroną.

- Witamy w naszych plebejskich progach. Grubciu, podsuń panu taboret - uśmiechnął się Pierwszy.

- Ależ drogi panie - oburzył się tak plebejskim potraktowaniem gość. - Jestem baronet Jose Maria Louis de Cartofleez y'Flegaminos!

- Aha! Grubciu, przysuń panu trzy taborety - odparł równie uśmiechnięty mag. Gość nagle poczerwieniał na twarzy, a przegrzana para wodna zaczęła mu buchać uszami. Pierwszy, jak gdyby nigdy nic, odsłonił kołnierzyk swojej bluzki polo. Widniał tam maleńki znaczek: czerwona tarcza herbowy z labrami i koroną, w niej rząd białych kłów, z czego dwa boczne były jakby dłuższe od pozostałych.

- Pozwoli pan, że się przedstawię - Pierwszy uczynił głęboki ukłon. - Jestem księżę Tepes Dracul Transylwański Trzeci.

Arystokrata poderwał się na równe nogi czerwieniąc się z powodu popełnionego faux pas. Skłonił się wpół mamrocząc coś do Pierwszego o przebaczeniu.

Jednocześnie do mistrza doszedł aż nazbyt wyraźny przekaz telepatyczny: "Kiciarz!".

"A co miałem zrobić? A tak zamieniłem gryzącego mnie komara w tę idiotyczną, zębatą błyskotkę".

Tymczasem gość bił zwyczajowe rytmiczne pokłony kołysząc się w rytm niesłyszalnej perkusji.

- Proszę usiąść, drogi panie, przejdźmy do meritum sprawy – czarownik wskazał krzesło i sam ponownie usiadł w na fotelu. Gość także usiadł, wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę z monogramem „KyF” i otarł pot z czoła.

- Mój serdeczny przyjaciel i krewny, opiekun herbu Kapturek, książę de Perault ma poważne kłopoty. To sprawa nader delikatnej natury...

Mag złożył ręce jak do modlitwy przybierając ojcowski wyraz twarzy.

- Ach, rozumiem. Jest pan emisariuszem księcia de Perault – skonstatował z uśmiechem godnym kardynała.

- Święta racja - Gość nabrał nieco animuszu. - Czy mogę liczyć na panów dyskrecję?

- Ręczę za to moim nobile verbum! - rzekł zupełnie poważnie Pierwszy.

Tymczasem Trzeci z trudem tłumiał ataki śmiechu. Przyjazny kuksaniec sprowadził go do rzeczywistości.

- Córką księcia, księżniczka Roksana jest jedyną dziedziczką herbu i majątku w pierwszej linii – skrzywił się arystokrata. - Jest bardzo chciwa i do szpiku kości przesiąknięta najwyższym złem. Wielokrotnie usiłowała już osłabić zabezpieczenia księcia zsyłając na niego zakaźne choroby, jadowite węże i nieszczęśliwe wypadki.

- Przepraszam - wtrącił Drugi. - Ale to jest chyba sprawa dla organów ścigania. Gość zająknął się w pół słowa patrząc ze zdziwieniem na stojącego przy oknie czarnoksiężnika.

- I owszem, szanowny pan ma rację - uśmiechnął się po chwili gorzko baronet. - Tyle tylko, że księżniczka też jest dobrze ekranowana i ciężko byłoby jej cokolwiek udowodnić. Inna sprawa, że w kręgach wyższej arystokracji takie sprawy załatwia się w bardzo wąskim gronie.

- Otóż to! - powiedział śmiertelnie poważnie Pierwszy. - W mojej rodzinie czarne owce rodu miały swoje zaciszne miejsce...

"Kiciarz!" - zabrzmiało gdzieś w podświadomości.

- Owszem - zgodził się orli nos. - Braliśmy pod uwagę zamurowanie żywcem w rodzinnej krypcie, lecz to także byłoby naruszeniem prawa, i to łatwym do wykrycia. I oto status quo.

- Cykuta? - zapytał niepewnie Trzeci.

- Grubciu, my tu poważnie rozmawiamy! - Drugi podsunął taboret bliżej marmurowego stołu i usiadł. Po chwili jeden szczegół, który mu nie pasował w całym wystroju biura, stał się nader oczywisty.

„Kiedy kupiłeś marmurowy stół?” – telepatyczny przekaz poszybował ku arystokracji z Transylwanii. Błyskawicznie nadeszła odpowiedź.

„Złudzenie, czarotapeta. Szkoda, że tylko piętnastominutowa. Mam nadzieję, że nie będzie głądził zbyt długo.”

Drugi pokiwał głową w niemym zrozumieniu kontemplując ciemne żyłki marmuru.

- Wydaje mi się - rzekł po chwili. - że kryzys zawisł w impasie, czyli nic do góry, nic w dół.

- Cytat klasyki. Kolega ma na myśli - wytłumaczył arystokracie mistrz. - Fakt niezaprzeczalny, że zaistniała równowaga sił nie może zaszkodzić ani jednej stronie, ani drugiej.

- Może - westchnął Jose Maria Louis de Coştam. - Markotka Davidov!

- O kur...a! - wymknęło się milczącemu dotąd Trzeciemu.

- Święte słowa! Ma pan całkowitą rację - bezwiednie przyznał arystokrata.

- Przepraszam. Grubciu, co to za markotna panienka?

Trzeci podszedł do kuli. Potarł delikatnie mruczając kilka prostych formułek w antycznym języku Sumerów i już po chwili pojawiła się w kuli dziecinna twarz skośnookiej piękności. Niestety, po chwili obraz szerniał, z kuli natomiast zaczął buchać czarny, gryzący dym.

- Cholera, nawet sprzęt na tej francy się psuje! – mruknął Drugi, który w tym samym momencie dał nura pod stół i odciął zasilenie. – Boss, musimy poważnie porozmawiać o gaśnicy!

- Później. Grubciu?

- Khe, Markotka Davidov.... khe, khe... uchylę okno... no więc Davidov ma tylko osiemnaście lat.

- ?

- Wiem, najpiękniejszy wiek na rozdziewiczenie – rozmarzył się Trzeci. - Już jako dwunastolatka dostała się awansem na Uniwersytet Czarnoksięstwa i Magii Stosowanej, gdzie po dwóch latach za czyn niegodny adepta, mniejsza z tym jaki, wydano ją. Pomimo nadzwyczajnych zdolności wydano ją jeszcze siedmiokrotnie z różnych uczelni ezoterycznych, aż dała sobie spokój z nauką. Wielki talent samorodny, lecz także wielki lekkoduch... no i chyba nie było w akademiku chłopca, któremu przepuściłaby... ten... tego...

- To szlag trafił rozdziewiczenie! – przytomnie zauważył Drugi.

- No i mamy kurew...ki problem - baronet powolutku wstał.

W jego ślady poszli też siedzący czarnoksiężnicy.

- Rozumiem, że panowie dadzą mi znać, gdyby znalazło się jakieś rozwiązanie tej zawilej sytuacji – gość zastygł w pół-ukłonie. - Zatrzymałem się w hotelu "Slavia". Wasza książęca mość pozwoli, że się oddalę.

Pierwszy uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Ależ szanowny kolego - wyszczerzył zęby. - Proszę mi mówić Dracul, lub po prostu Draki.

Gość podziękował mile połączony przychylnością księcia i znikł w drzwiach windy. Po chwili drzwi się zasunęły i winda ruszyła. Gdy tylko to się stało, Trzeci wybuchnął śmiechem.

- Hi! Ale draka, co Draki? – przyjacielskie klepięcie po plecach mogło złamać kark wołu, ale mistrz był już na to przygotowany.

- Błagam cię, nie częściej, niż raz w miesiącu. Mój kręgosłup tego nie wytrzyma. Wiem, że to tylko dla draki.

- Ej, Grubciu, nie rób draki! - zawtórował mu Drugi.

- Chwila, o wampiryczny - Trzeci nagle spowaźniał. - Nie ustaliłeś z tym dyplomowanym pajacem wynagrodzenia!

Pierwszy chwycił się pod boki i popatrzył z pobłażaniem na podwładnego.

- Oj, Grubciu, za grosz dyplomacji! - uśmiechnął się mag. - Po pierwsze, to dżentelmeni z wyższych sfer nie rozmawiają o pieniądzach, a po drugie, to cena nie gra roli. To chyba oczywiste, nie?

Drugi z trudem opanował kolkę, której dostał ze śmiechu. Kasa kasą, ale sytuacja była nader dziwna. Nie na co dzień obcuje się z lokalnymi znakomitościami.

- Wasza książęca mość! - Trzeci z błazeńskim ukłonem podszedł do okna. - Racz przypomnieć skromnemu poddanemu herbu de sztacheta, czym się waść pieczętujesz?

- Lakiem, wasza Obszerność. Lakiem! - skłonił się także, po czym spowaźniał. - No dobra, żarty na bok. Co wiemy o księciu, księżniczce i całej tej błękitno-krwistej zgrai?

Trzeci gestem zaprosił towarzyszy do biurka, które w niezrozumiały sposób zmieniło się znów w zwykłe biurko, tracąc delikatną fakturę najprzedniejszego marmuru. Na całe szczęście, na środku tego mebla także spoczywała szklana kula, która straciła już dymny kolor i powoli odzyskiwała przejrzystość. Mag delikatnie przesunął dłonią po jej powierzchni i już po chwili kula rozbłysła błękitem. Powoli z plamy błękitu począł się wyłaniać tłustawy jegomość z długimi, siwymi włosami.

- Twoja bratnia dusza w niszczeniu zawartości lodówek? - zauważył mistrz.

- Nic z tego - odpalił Trzeci. - Te siwe włosy szambelana to zwykły tupecik.

- Chyba z psa! - wyrwało się Drugiemu.

- Ale za to z rasowego! I to championa...!

- No tak - westchnął Pierwszy. - Arystokracja! Szambo co, przepraszam?

- Szambelan! - przypomniał vice.

- Ty tak szefuńciu nie błaznuj, bo słyszałem, żeś także książęcego rodu.

- Z własnego nadania i tylko przez chwilę - w błazeńskim ukłonie Pierwszemu było naprawdę do twarzy. Otyły mag przyjął błazeński hołd, by po chwili znów skupić się na szklanej kuli i wizjach w niej zawartych.

- Oto i książę - rozpoczął tyradę prezentując w szklanej kuli obraz przedstawiający średniego wieku, średniego wzrostu i średniej budowy jegomościa w surducie, ozdobnej koszuli z falbaniastym kołnierzem i czerwoną szarfą w poprzek piersi - Protoplastą rodu był Charles de Perault, który swój tytuł oraz większość majątku zawdzięcza jakiejś bardzo naciąganej opowieści o dziewczynce w czerwonej czapce, czy jakoś tak... Podobno zjadł ją miś, a potem królewicz go pocałował i zmienił się on w precudnej urody zabę.

- Aha! - przerwał uradowany Drugi. – Pamiętam! To był "Czerwony Piętaszek"!

- Nieważne, second. Grubciu, a co z księżniczką?

Trzeci spoważniał świadom swojej błazenady.

- Roksana to jedyna córka jaśnie pana, legalna oczywiście. Księżę ma jeszcze syna, który niewątpliwie dziedziczyłby zamiast tej żoły, gdyby nie fakt, że chłopiec jest dzieckiem z drugiego małżeństwa...

- No to co z tego?- ze zdziwieniem spytał Drugi nic nie rozumiejąc.

- Mój drogi, to są wyższe sfery, widać, że obce motłochowi – wyjaśnił mistrz. - Jaśnie pan księżę popełnił mezalians... Dopiero, gdyby się okazało, że nie ma dziedzica z pierwszego łoża, chłopiec mógłby być uznanym dziedzicem herbu.

- Rzekłeś panie – tłusciuch skłonił się nosem sięgając aż samego linoleum.

- Ależ baronie! – odwzajemnił ukłon szef.

- Spokój błazny! – odezwał się przez nikogo nie proszony motłoch. – Jakieś sugestie co do rozwiązania problemu?

Trzeci z uśmiechem podskoczył pod sam sufit. Jasnym się stało, że albo znalazł proste i błyskotliwe rozwiązanie, albo w spodniach zagnieździł mu się szerszeń.

- Czyli wystarczy kropnąć gówniarę?

- Markotka - przypomniał mistrz. - I prawo.

- Markotka - poprawił Drugi. - Prawo można obejść.

- Markotka - powtórzył bezwiednie Trzeci na wspomnienie pobytu w akademiku.

Przyjazne klepięcie w plecy sprowadziło marzyciela z powrotem na trzynaste piętro wieżowca, wprost do agencji „Tysiąc Jeden Życzeń”, Spółka z Wielce Ograniczoną Odpowiedzialnością.

- Powróćmy do tematu, chyba, że Grubcio rzuci nam na ekran jakieś ciekawe wspomnienie z akademika... - z szatańskim uśmiechem zaproponował Pierwszy.

- Niedoczekanie wasze, zboczury jedne! Oto i Roksana – czarownik musnął jedynie czubek szklanej kuli, w której natychmiast zamajaczyła postać krótko ostrzyżonej blondynki z mocno zaznaczonymi kośćmi policzkowymi. Wąskie usta były wykrzywione w dziwnym grymasie, który można by zawsze interpretować, jako przyjacielskie przesłanie typu "odpie...dol się bracie!". Reszty dopełniała kusa spódniczka i niewyobrażalnie długie nogi.

- Średnio ładna.

- Raczej brzydka.

- Choć nogi niczego sobie...

- Gazeta na ryj...

- Ładny tyłeczek...

- I do tego dziewica... – mruknął Grubcio.

- Co?!!! - wykrzyknęli chórem Pierwszy i Drugi.

- Przeliterować? De, jak "dupa", zet, jak "zakute pały", i, jak "idioci"... - zaczął wyliczać Grubcio, lecz zanim doszedł do połowy, brutalnie mu przerwano.

- Dawaj jej adres!

- Hmmm... Markotka - przypomniał Trzeci.

- Markotka to wiadro - przypomniał Second. - Ja pytałem o adres tej dziewczyny.

- Markotka...

- Co Markotka?! – nalegał vice.

- No... - zaczerwienił się Grubcio - Roksana jest less, no i Markotka jej... i to je najbardziej łączy.

- To pięknie! - podsumował Drugi, który powoli już zaczynał mieć dość arystokratów i ich perwersji.

- Ja nie rozumiem, co was tak bulwersuje? – wypalił Pierwszy. – Miłość dwóch kobiet, to takie piękne uczucie!

- Grubciu, nie odczuwasz, że przy nim jesteśmy nieco staromodni? – zapytał czarownik z numerem dwa.

- Nie wiem. Wiecie co? - rozpromienił się wciąż czerwony na twarzy Trzeci.

- Wal!

- A gdyby tak za jednym zamachem księżniczkę "naprostować", rozdzielić z Markotką i dać księciu prawowitego syna?

- Co ty!? - Pierwszy nie miał pojęcia, o czym jego otyły towarzysz mówi.

- Klonowania zakazali ze sto lat temu... - dodał Drugi, zaś Trzeci przybrał złą minę.

- I to wy jesteście kierownictwem firmy? – padło pytanie z gatunku retorycznych. - Oj, biedacy, cóż wy byście beze mnie poczęli?

Drugiemu powoli wracał dobry humor.

- Kupilibyśmy prawdziwego czarnego kruka - wypalił przytomnie. – Malutkiego, skromniutkiego i takiego, który by tyle nie żał!

- Second ma rację - przytaknął Pierwszy. - I to takiego, który mało kracze... Niestety, na Trzecim żadne złośliwości nie robiły wrażenia. Po pierwsze był wśród przyjaciół, po drugie wychodził z założenia, że przecież musi być na tym świecie ktoś pod każdym względem doskonały, więc dlaczego nie miał być to on? A ludzi doskonałych nie dotyczą żadne złośliwości, tym bardziej, że wynikać mogą one tylko z zazdrości innych.

- Po prostu: trzeba księżniczce znaleźć księcia. Chyba są jacyś?

- Na kopy! – przyznał mistrz.

- Zgłoś się na ochotnika, o szablozęby – zaproponował vice.

- ...a zgodnie z tradycją - ciągnął swój naukowy wywód rozpromieniony Trzeci.

- w noc poślubną bara-bara i mamy trzy pieczone w jednym garze: książę zyskuje zięcia, jednocześnie następcę, błogosławiony stan księżniczki Roksany ściśle nadzór, bo przecież nic nie ma prawa stać się matce przyszłego dziedzica, a Markotka zyskuje odstawkę.

- Zapomniałeś dodać - wtrącił Drugi. - że książę zyska spokojny sen.

Tłuszcioch promieniał.

- Co byście beze mnie zrobili! – dodał z politowaniem

- O zakupie kruka już słyszałeś? Niemniej, pomysł jest genialny. Tylko jak go wykonać?

- Pogadamy z księciem, powołamy się na stare szlacheckie prawa.
- Szczerze mówiąc, o to właśnie chodziło! - triumfalnie obwieścił Pierwszy. - Grubciu, stawiam ci duże lody u Clickle'go!
- Szczerze mówiąc - zmarkotniał Trzeci. - Wolałbym kwartalną premię od tygodniowego przerobu czarów... To co? Dzwonić po baroneta?

* * * * *

W pałacu wszyscy byli zachwyceni rzekomym pomysłem księcia, począwszy od szambelana, a skończywszy na honorowym kacie. Honorowym dlatego, że tortury były prawnie zabronione, zaszczyt zaś był piastowany przez miejscowych rolników wykazujących się największą gospodarnością w ciągu ostatniego kwartału. Zresztą posiadanie honorowego kata na dworze było tak samo w dobrym tonie, jak frak podczas książęcego balu. Miało to także wydźwięk finansowy, dla kata, ma się rozumieć. Zgodnie z dekretem księcia Alfonsa Drugiego z roku pańskiego 2012 każdy honorowy kat książęcy był zwolniony z płacenia podatków przez rok – ten przykry obowiązek przejmował dwór książęcy jako rekompensatę w zamian za posługiwanie na dworze.

Już od trzech dni słano zaproszenia w różne strony świata do przeróżnej maści książąt z zapowiedzią rychłego ślubu księżniczki Roksany, dlatego nikogo nie dziwił gwałtowny napływ kandydatów do ręki córki księcia, jak też do tytułu, herbu, a także majątku. A byli wśród kandydatów książęta różnego sortu i różnej narodowości, niech choćby wartym będzie wzmianka o obecności księcia Van der Sheell z odległej Kalaifornii, księcia de Polmoss rodem z New Warsaw City, czy księcia von Nokkia z odległego Nepponu... Wieczorem zjechała się cała arystokratyczna śmietanka współczesnego świata, a błękitną krwią można by wypełnić szerokie koryto Vistuli aż po brzegi. Sala lustrzana książęcego pałacu mieniła się tysiącem świateł. Książę siedział na prowizorycznym tronie dzierżąc w prawicy - pomimo, że był leworęczny - pióro gęsie, będące nieodłącznym atrybutem władzy księcia bajkopisarzy. Po lewej stała w blasku ksenonowych reflektorów księżniczka Roksana, przyodziana w długą, bogato haftowaną suknię, inkrustowaną syntetycznymi rubinami. Obok niej stała w podobnej, lecz czarnej sukni, orientalna piękność o twarzy dziecka. Po prawicy księcia, znalazło miejsce aż czterech dziwnych osobników w czarnych frakach, każdy z arystokratycznego rodu, na co wskazywały maleńkie, kolorowe znaczki wpięte w klapy. Pełnili oni funkcję książęcych arbitrów, na co wskazywały błękitne szarfy z herbem rodu jaśnie oświeconego księcia.

- Wyglądasz jak grabarz - pocieszył skwaszonego szefa Drugi. – I to w trakcie pogrzebu.

- Wzajemnie - skrzywił się w uśmiechu. - Kim jest twój kompan?

Faktycznie, obok czarownej trójcy stał niesamowity przystojniak zbudowany, jak antyczny atleta, także członek szlacheckiego rodu; co jednak było dziwne, żadna z wpatrzonych w niego kobiet nie potrafiła jednoznacznie odpowiedzieć,

kim on naprawdę jest i do jakiego znamienitego rodu należy. Pewnym jednak było, że to jeden z najznamienitszych rodów świata.

- Lord Davidov - odparł spokojnie Drugi. - Nie bój się, nie jest nawet skoligacony z Markotką, chociaż widać, że się jej podoba...

- To widać - wtrącił półszepem Trzeci, występujący jako "hrabia Pączuszek", herbu Babeczka. - Gapi się na niego, jak sroka w gnat.

- No, proszę - skwitował Pierwszy, czyli Dracul Transylwański z numerkiem. - Sroka i kruk na jednym przyjęciu... A wiesz, że we fraku bardziej przypominasz kruka, niż wtedy, gdy lecisz wykonać jakieś zlecenie?

Trzeci wyszczerzył rząd śniado - żółtych zębów.

- A czy tobie ktoś mówił, że wyglądasz, jak grabarz?

- Tak - dodał Drugi - Ja i to jakieś dwadzieścia wersów temu. Nie wymyślił pan nic oryginalnego, drogi hrabio! Jakie to pretensjonalne...!

- Fajnie; tu Davidov, tam Davidov... Nie jednemu psu Burek! – szepnął Grubcio.

- Raczej suce, uściślając – skwitował vice i poprawił monokl.

- Ale za to rasowej!

- No tak: wyższe sfery!

- O święty Belialu! - westchnął Pierwszy. - I pomyśleć, że za zwykłe robienie czytelnika w bambuko facet dostał kiedyś tytuł księcia...! No i ta kasa z tantem...

- Sam widzisz - rozgadał się Drugi. - A nasz autor nie dostał nawet honorarium za opowiadanko o nas i tej całej Davidov...

- Eeeee, może się jeszcze doczeka...

- Chyba reumatyzmu! - uciał szybko mistrz, bo szambelan dał znak, że nadszedł czas na przemowę księcia.

- Drodzy przyjaciele - zaczął zwyczajowe cedzenie książę. - Dziś jest dzień szczególny, ponieważ postanowiłem wydać za mąż moją jedyną i najstarszą córkę Roksanę, dziedziczkę tytułu i przyszłą strażniczkę pieczęci herbu.

Radujmy się, wznosząc jak najbardziej uroczysty toast za jej trafny wybór.

Niech marszałek dworu rozpocznie prezentację kandydatów...

Cała czarowna trójka z zaciekawieniem przyglądała się prezentacji chętnych do ożenku w ciemno. Tymczasem Markotka z coraz większym zainteresowaniem spoglądała na lorda Davidov, czwartego arystokratę odzianego we frak, lecz bez wstęgi arbitra.

- Czuję się, jak na promocji opiekaczy - zauważył lekko zażenowany sytuacją baron de Secundo, czyli Drugi w przebraniu.

- Ba! Baronie...- zaczął hrabia Pączuszek, ale brutalnie mu przerwano.

- Zaczął się pan jękać, drogi hrabio? Za dużo ostryg do koktajlu!

- Ależ Baronie! – jęknął Grubcio trochę speszony. – Tylko dwie patery, słowo daję! Były darmo, to brałem i tak sobie pogryzałem... i ani się obejrzałem.

- Ale gala, zupełnie jak na targach motoryzacyjnych – wtrącił Pierwszy większą uwagę przywiązując do prezentacji, niż do kulinarnych wynurzeń otyłego

hrabiego.

- Wy lepiej obserwujcie Markotkę... – wyszeptał „baron” Drugi.
- Grubciu, streszczaj - wyszeptał odwrócony tyłem do panny Davidov mistrz.
- Och, wasza ulubienica zezuje na kolegę Drugiego - równie konspiracyjnie zameldował Trzeci, mając na myśli oczywiście lorda Davidov, który zachowywał powagę należną rasowemu szlachcicowi i stał obok z miną pokerzysty milcząc, jak przysłowiowy kamień.
- Hi, patrzcie, zaczyna puszczać mu oczka!...
- No tak - skwitował hrabia Pączuszek - Puszczać to ona się lubi...
- Lordzie Davidov - Pierwszy nachylił się ku niememu arystokracie także puszczając filuternie oko. - Gratuluję! Przyjaciółka księżniczki Roksany to niezła sztuka. - Arystokrata dyskretnie skinął głową w kierunku maga, po czym posłał równie enigmatyczny ukłon zachwyconej Markotce.
- Suka...
- Słucham, Grubciu?
- Suka, nie sztuka.
- Och, mniejsza o te dwie literki! Second, skąd wytrząsałeś swojego tajemniczego przyjaciela?
- Eeeee... poznałem w muzeum - równie cicho odpowiedział Drugi. – Przed zadaniem poszedłem się trochę ukulturalnić i poczuć magię epoki protoplasty rodu. No i kiedy tak oglądałem eksponaty, po prostu wpadłem na tego dżentelmena.
- Na Asmodeusza! - z podziwem stwierdził szef. - Gość jest świetnie ekranowany, nie można mu się przebić do umysłu! Zupełnie, jakbym uderzał o skałę. Trzeba przyznać, że jest kapitalnie ekranowany... Czy on pochodzi z rodu magów?
- Nie - zaprzeczył Drugi - Ale jest to niewątpliwie ród... hm... bardzo stary. I solidny.
- Bądźże cicho, baranie! – syknął Grubcio.
- Baronie – poprawił mistrz. - Baran to jeszcze na ruszcie hasa...
- Ech, bądźcie już cicho, plotkarze! - przerwał Trzeci. - Ta mała zdzira chce zabrać głos, jak będziecie tak gadać, to wam nawet streszczenie nie pomoże. Markotka stanęła przed księciem, ukloniła się, w sposób iście dworski i rzekła na tyle głośno, aby być słyszana na całej sali.
- Mości Księżę oraz wy, wysoka rado bajaran herbu Kapturek – anielski, lecz mocny głos dziewczyny zdawał się brzmieć niczym najczystszej próby srebrny dzwon. - Nadszedł czas, gdy moja przyjaciółka, księżniczka Roksana, musi wybrać spośród wielu znakomitych kandydatów. Wszyscy oni są bliscy naszym sercom i nie można pozwolić, aby nie mieli szansy dostąpienia tego najwyższego zaszczytu...
- Czy przypadkiem - przerwał jej baronet Jose Louis Maria de (zapomniałem nazwiska!) z widocznym rozbawieniem. - Nie próbujesz zainspirować turnieju w iście szlacheckim stylu?

- Nadmiar ironii, mospanie! - Markotka posłała mu ukłon. - Tak, może to być nazwane turniejem, ale w prawdziwie bajkowej oprawie. Proponuję, aby księżniczka Roksana skryła się w lesie, a ten, kto ją odnajdzie w ciągu dnia pierwszy, zostanie wybrańcem.

- Prawda to - przyznał niechętnie książę. - Że zamysł takowy objawił w swej baśni nasz przodek i protoplasta rodu.

Na sali zapanowało poruszenie. Teraz już było jasne, że każdy z książąt ma szansę na posag i tytuły.

- Książę - zaoponował baronet. - Jeśli żadnemu z kandydatów się nie powiedzie, następną próbę mogą podjąć dopiero za rok.

Tym razem skośnooka dziewczyna w czerni przerwała przyjacielowi księcia.

- Jeśli żadnemu się nie powiedzie - powiedziała głośno. - Znak to nieomylny, że żaden nie jest jej w tym roku godzien. Inne postępowanie byłoby wbrew przeznaczeniu i woli przodków.

Cartofleez y'Flegaminos zrobił okropną minę i Drugi mógł przysiąc, że wygląda kropka w kropkę jak baset księcia pana. Arystokrata machnął ręką.

- Dobrze. Niech się tak stanie - książę wstał z tronu, co oznaczało dwie rzeczy: koniec obrad rodu i zainteresowanych oraz znak do rozpoczęcia prawdziwie książęcej uczty, czego bardziej wyczekiwał tylko jeden z czarowników.

Wszyscy udali się do trzydziestometrowej jadalni. Pierwszy zasiadł przy stole pomiędzy Drugim, a lordem Davidov.

- Grubciu? - zapytał zdziwiony widząc Trzeciego wycofującego się w stronę drzwi do holu głównego. - Czy jesteś chory? Przecież to nienormalne!

- Ee... lekarz zalecił mi dietę.

- A bażant w sosie barbecue? Trufle z bitą śmietaną w polowie z marmolady? A kawior w majonezie? - mistrz podnosił coraz to inne półmiski wypakowane wykwinnymi potrawami godnymi książęcego stołu.

- ...ee... muszę iść. Do biblioteki.

- Po co? - Drugi nieomal zakrztusił się drinkiem pod wszystko mówiącą nazwą "Nav Alonny".

- Poczytać bajeczki - rzekł Grubcio i czmychnął.

Podczas całej wieczery nie widział go już nikt.

* * * * *

Poszukiwania księżniczki trwały już od kilku godzin i wydawać by się mogło, że te niezwykle zawody rychło będą miały swojego zwycięzcę, jednak nikt nie mógł odnaleźć Roksany. Trzeci przewijał się przez salony dwukrotnie. Za pierwszym razem napatoczył się na obserwującego Markotkę i lorda Davidov szefa.

- Czołem pracy - rzucił w kierunku podwładnego. - Ty możesz sobie wyobrazić, że ona patrzy na niego jak na obrazek, a on się ani razu do niej nie uśmiechnął, ba! Nawet nic do niej nie powiedział. To się nazywa „grom z jasnego nieba”!

- Aha – mruknął Grubcio dzierżąc w ręku poranną gazetę. - W "Przeglądzie" piszą dziś o kradzieży posagu Dawida z Muzeum Europejskiego, a papież Narcyz Drugi przyznał, że całun turyński to średniowieczne fałszerstwo.

- Phi, i tak wszyscy o tym wiedzieli - Pierwszy był już najwyraźniej znudzony obserwacją pary Davidów. – A tam co masz?

- Bajeczki - odparł z błogim uśmiechem Grubcio. Mistrz pokręcił z politowaniem głową.

- Odbiło ci zupełnie.

- Ależ mistrzu! Te bajeczki to kopalnia wiedzy! A tak na marginesie, to szkoda, że nie jestem księciem, bo już byłbym ustawiony do końca życia. Coś mi się wydaje, że w pałacu de Perault tylko Markotka pokusiła się o poznanie dzieł protoplasty rodu - wstał od stołu i skierował się do wyjścia.

- Ej, dokąd to z tą drogocenną księgą? - zawołał za nim rozbawiony sytuacją Pierwszy.

- Do biblioteki - padła lakoniczna odpowiedź.

Po raz wtóry Grubcio pojawił się około południa. Tym razem książka, którą dzierżył w rękach była gruba i lekko przykurzona. Na obwolucie miała tuzin śladów odbitych tłustych paluchów.

- Czemu tak wyświnieś to opasłe tomiście? Mówiłem ci, żebyś został na wieczerzy, to nie musiałbyś podżerać podczas czytania.

- To nie ja! – zachnął się czarownik, oczywiście w przebraniu.

- Bajeczki? - spytał retorycznie Pierwszy.

- Nie - padła zaskakująca odpowiedź - "Kuchnia francuska".

- Ty to tylko o żarciu myślisz! – wypalił mistrz.

- Fascynująca książka! Ty sobie nawet nie wyobrażasz, jakie ci Francuzi przyrządzali kiedyś świństwa... – uśmiech czarownika skrywał jakiś potwornie niesmaczny sekret.

- Gulasz z jelit wisielca? - wtrącił Drugi, który akurat wszedł do salonu.

- Nie, coś o wiele gorszego! - wypalił Trzeci i ponownie skierował się do wyjścia.

- Biblioteka?

- Kuchnia. Muszę pogadać z kucharzem księcia - rzekł i pognął do wspomnianego miejsca. - Trzeba przyznać, że posiadał on dziwną moc przekonywania ludzi najrozmaitszych profesji do swoich niesamowitych pomysłów, czego dowodem mogła być kolacja - podana oczywiście w sali lustrzanej - obfitująca w najwykwintniejsze potrawy kuchni francuskiej. Były więc ślimaki, przyrządzone na osiem różnych sposobów, polędwica cieleca w mleku, żabie udka z oberżynami, małże... A wszystko to dzięki dobrej woli i pomysowości kucharza. Gdy wszyscy już zasiedli do stołu, książę zastukał łyżeczką w kieliszek i zabrał głos.

- Drodzy przyjaciele. Zapada już wieczór, więc tegoroczna próba powoli dobiega niestety końca. Zapewne księżniczka ukryła się w lesie przy pomocy

czarów, pozwolicie więc, że poproszę księcia Dracula Transylwańskiego, wielkiego mistrza magów, o skromną przysługę...

Uklon księcia w kierunku Pierwszego nie pozostawiał wątpliwości. Po chytrym uśmieszku baroneta widać było, że inicjatywa ta wyszła nie od księcia.

- Ależ drogi książę... - skłonił się kurtuazyjnie Pierwszy. – Czym tylko mogę służyć.

- Prosiłbym, drogi przyjacielu, o cofnięcie wszystkich czarów na tę noc. Być może pozwoli to na szybkie i pomyślne zakończenie tej niecodziennej rywalizacji.

- Rzekłeś, książę - Pierwszy wstał od stołu i trzykrotnie klasnął w ręce. Wszelki możliwy czar prysnął. Jednocześnie znaczek na klapie marynarki mistrza zamienił się w komara, ciągle przyssanego do ofiary. Gdy w pół sekundy później pękł od nadmiaru krwi, przy czym wcale nie błękitna krew trysnęła na najbliższych gości, kilka kobiet już krzyczało przerażonych, a dwie nawet zemdłały. Oto na talerzu księcia Burgunda zamiast pieczonego żabiego udka pojawiła się... pieczona kobieca noga. Bardzo zgrabna i długa noga z brylantową bransoletką na kostce. Pośród ogólnego wrzasku i chaosu, jaki nagle zapanował przy stole, nikt nie zwracał uwagi na rozpaczliwy krzyk wzywający pomocy. Krzyk dobiegał z osobistego pokoju Markotki...

* * * * *

- Grubciu, to nie było smaczne - wyznał Pierwszy. - Ale dość oryginalne. Miałeś dużo szczęścia, że kucharz złapał właściwą żabę. Przy okazji: gratulacje dla szefa kuchni!

- O tak! - przyznał Trzeci. - Tylko w bajkach królewna żabka ma złotą koronę.

- Książę jest trochę zszokowany... – przyznał mag.

- ...ale zyskał syna. Przecież książę Burgunda odnalazł Roksanę na krótko przed zachodem słońca - uzupełnił Drugi, który przysiadł się do stolika czarowników dzierżąc w dłoni szklanicę ze swoim ulubionym drinkiem.

- A gdzie lord Davidov?

- Hm... dotrzymuje towarzystwa Markotce... - wyjaśnił Drugi, uśmiechając się z niewiadomych przyczyn do szklanki. – Tak sobie przypadli do gustu, że wprost nie mogli się od siebie oderwać.

- O w mordę! - poderwał się Trzeci. - Chodźcie do okna!

W dogasających ostatnich promykach słońca z pałacu księcia wyłoniła się dziwna procesja. Ośmiu mundurowych funkcjonariuszy Interpolu wynosiło nosze. Na nich spoczywał marmurowy posąg Dawida - ten sam, który skradziono z muzeum. Na posagu w dziwnym rozkroku leżała naga Markotka Davidov z rękami skutymi na plecach. Procesja z trudem przecisnęła się przez tłum gapiów i dobrnęła do wozu operacyjnego Interpolu, funkcjonariusze szybko zatrzasnęli drzwi i wóz ruszył na sygnale. Do palarni wbiegł baronet Jose Em.

- Cygarko, drogi przyjacielu? – zagał uśmiechnięty vice poprawiając monokl.
- Dziękuję. Aresztowali Markotkę! - wypalił od progu.
- Taaaaak? - udał zdziwionego Mistrz. - A za co?
- Ukradła z muzeum posąg Dawida i zbeszczyła go!
- Zbeszczęściła? - zapytał Trzeci z niedowierzaniem, całkiem udanym zresztą.
- Nie mogła pofolgować swoim fantazjom erotycznym i... no i zakleszczyła się na zimnym marmurze! - wyrzucił z siebie baronet, po czym pogalopował dalej na salony rozgłaszać swoje rewelacje.
- Wiedziałem, że on mi kogoś przypomina! - skwitował Trzeci z przekąsem.
- Baronet Jose y bufon?
- Davidov! No i fakt, że większość tych świrów go nie znała... i ta jego małomówność... A mi pociskałeś kit, że poznałeś go w muzeum!
- Bo to prawda! - bronił się Drugi. – Wpadłem na ten posąg potykając się o dywan i odruchowo powiedziałem „przepraszam”.
- Przynajmniej jesteś dobrze wychowany! – skwitował Trzeci.
- ... no i wtedy pomyślałem o personifikacji parazmysłowej...

Pierwszy wstał z sofy ściskając Drugiemu rękę.

- Second, gratuluję! - skłonił się z dworską manierą, co jak najbardziej pasowało do scenerii wyższych sfer. - Czy wiesz, kiedy ostatnio człowiek z powodzeniem użył zaklęcia ożywiającego rzeźbę?
- Sto lat temu? – strzelił mag.
- W starożytnej Grecji! - ponownie się skłonił. - Jeszcze raz moje gratulacje! Mi się to nigdy nie udało!
- Dobra - przerwał Grubcio dopijając porzuconego przez kogoś drinka. - Zmywamy się?
- Znikamy, czy zmieniamy się w kruki?
- Co? Lecieć w kluczu z Grubciem? - oburzył się Drugi. - Żeby mnie wrony wyśmiały? Bądź co bądź, jesteśmy teraz arystokratami.
- No to znikamy – stwierdził Pierwszy.

I jak stali, tak zniknęli.

* * * * *

Następny dzień przyniósł kolejne rewelacje. Szmatławiec „Ślinotok” opisał całą sprawę z posągiem Dawida nadmienając, że Markotka dostała pięć lat odsiadki w Alca-Prim-Trazz za kradzież dziedzictwa kulturowego ludzkości oraz profanację dzieła sztuki, natomiast została - na prośbę księcia de Perault - zwolniona z zarzutu o spowodowanie nieumyślnego upieczenia... to znaczy spowodowania nieumyślnej śmierci. Gdy już siedziała w celi, patrząc na kraty w oknie, które przez najbliższe lata będą jej najbliższym sercu krajobrazem, wielki czarny kruk wleciał przez okno do biura na trzynastym piętrze pewnego biurowca.

- Co kupiłeś? - spytał Drugi, biorąc do ręki paczkę, która wypadła krukowi spod

skrzydła przy zderzeniu z szafą pancerną.

- Cholerne pudło! - zwyczajowo marudził Trzeci rozcierając rozbity nos.

- Coś ty kupił?! – wyrwało się Pierwszemu na widok napisu „ANAL TERMINATOR” na opakowaniu.

- O święty Samaelu! - zakrzyknął Drugi, wyciągając z pudełka przedmiot przypominający skrzyżowanie kija baseballowego z karabinem maszynowym.

- Największy i najpotężniejszy wibrator, jaki tylko mieli w sex - shopie! - z dumą oznajmił Grubcio prezentując potężne narzędzie rozkoszy.

- I gdzie ty go sobie włożysz?

- Zapakuj go z powrotem – uśmiechnął się otyły czarownik. - Tu masz karteczkę z adresem, a jutro rano, jak będziesz szedł do roboty, wstąp na pocztę i nadaj przesyłką ekspresową.

Vice spojrzał na podany kartonik z dwiema linijkami bazgrołów przyjaciela. Na niewielkiej kartce widniał adres: "Markotka Davidov; więzienie Alca - Prim - Trazz".

* * * * *

* * * * *

Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:

BARONET – typowy dla szlachty angielskiej tytuł, najwyższy w tzw. szlachcie niższej; TARCZA HERBOWA Z LABRAMI I KORONĄ – znak rozpoznawczy wyższej szlachty z herbem nadanym przez samego króla; DE PERAULT Charles – autor bajki o Czerwonym Kapturku; NOBILE VERBUM – szlacheckie słowo honoru; UNIWERSYTET CZARNOKSIĘSTWA I MAGII STOSOWANEJ – najpoważniejsza uczelnia ezoteryczna w kraju. Jej dyplom otwiera drzwi do każdej kariery; PRZYJACIELSKIE PRZESŁANIE TYPY „ODP... SIĘ BRACIE!” – może nikt mi nie uwierzy, ale moja koleżanka z klasy miała właśnie taki naturalny wyraz twarzy. Po prostu uroczy; NEPPON – lokalna, trochę zniekształcona japońska nazwa Kraju Kwitnącej Wiśni; MUZEUM – miejsce, do którego niechętnie się przyznajemy, choć tam spoczywa całe nasze dziedzictwo kulturowe; kojarzy się głównie z truchłami i nudnymi, szkolnymi wycieczkami; NAV ALONNY – fikcyjny drink alkoholowy, daje niezłego kopa! Przepis wysłałam zainteresowanym mailem; ALCA-PRIM-TRAZZ – więzienie o zaostrzonym rygorze. Nazwa powstała z połączenia słów „alcaprim” (popularny środek na kaca) oraz „trazz” (nazwa popularnej gry typu arkanoid) i miała brzmieć trochę jak Alcatraz.

OPOWIEŚCI ZE ŚWIATA CZAROWNIKÓW

Rozdział VI: Proroczy Sen

*Jak to wróble i podłe piwo przyczyniły się do upadku cywilizacji
oraz o tym, że wiara może przenosić góry – dosłownie.*

Nastał nowy, parszywy dzionek. Wieżowiec, w którym miała siedzibę Spółdzielnia Czarownicza powinien lśnić swoimi szklanymi fasadami, ale wbrew temu, co wyobrażał sobie każdy normalnie myślący obywatel, ze wszystkich stron był oblepiony rusztowaniami. Ten fakt pociągał za sobą niemiłe konsekwencje pod postacią komentarzy w stylu „Nowy, a już do remontu” oraz „Jaki kraj, takie budynki”. Na całe szczęście, w całej tej płataninie rur, siatek, drabin i dziurawych podestów były tylko jedne uszy, które mogły zauważyć nadmiar złośliwości w komentarzach. Mogłyby, gdyby były trzeźwe. No właśnie, a gdzie te uszy? Zaraz, zaraz... chyba na wysokości trzynastego piętra. Tak! Jakiś cień majaczy na tle siatki zabezpieczającej! Na wysokości trzynastego piętra, co jakiś czas znudzony robotnik z butelką "Napalm Beer" w ręku pluł nic nie podejrzewającym przechodniom na głowy. Zabawa była trochę nudna, lecz ze wszech miar bezpieczna, gdyż z dołu robol nie był wcale widoczny, a ewentualną winą i tak były obarczane wszędobyłskie wróble, których liczebność porównywano już do mitologicznej inwazji amerykańskiej stonki ponad ćwierć milenium temu. Wróbli były tysiące, miliony, a może nawet jeszcze więcej, zresztą miały akurat swój okres godowy i gziły się gdzie tylko popadło, więc najgrubszy z rezydujących na trzynastym piętrze czarowników postanowił dać im spokój. Wiadomo, można było pruć z nudów swój służbowy płaszcz czarownika, puszczać nitkę przez okno, a kiedy taki skrzydlaty spryciula pochwycił w locie rzekomego robaczka, zamienić nitkę przy pomocy bardzo prostego i szybkiego zaklęcia w ciężki drut cynowy i patrzeć, jak mała ptaszyna lotem równoległym do działania siły przyciągania ziemskiego wodzi w leniwych nurtach Wistuli. Ponieważ jednak ptaszki się ciupciały, Trzeci oficjalnie oznajmił, że zaprzestaje znęcania się nad nimi i ogłasza okres ochronny. Był też pewien inny, bardziej prozaiczny powód: Trzeci spruł już dwa rytualne płaszcze, a nowego jeszcze nie otrzymał z magazynu, zgodnie z zasadą, mówiącą, że płaszcz przysługuje raz na kwartał lub do zniszczenia, lecz nie częściej niż jeden na miesiąc. Dochodziła właśnie godzina Saturna, czyli czas przerwy na brancz, gdy Drugi oznajmił zupełnie poważnie:

- Panowie, dzieje się coś niedobrego.

Mistrz popatrzył na kolegę podejrzliwie.

- Poranna kanapka była nieświeża? – zapytał.

Czarownik puścił to mimo uszu krzywiąc się niemiłosiernie.

- Masz na myśli zmianę pogody? Dopóki Instytut Meteorologii i Przewidywania Pogody zamawia u nas słoneczko nad New Warsaw, nic nam nie grozi! –

mruknął Grubcio.

- Nie, ja coś czuję.

- Pewnie swoje skarpetki. Musisz je koniecznie zmienić!

Dyskretny rechot rozniósł się po całym biurze.

- Nie, to bardziej osobiste.... – jęknął mag mrużąc oczy.

- Pierwszy okres?....

- Grubciu - wtrącił Pierwszy. - daj mu skończyć.

- Stanie się coś niedobrego, wiem to! – nagle olśnienie spłynęło na maga jak kubek lodowatej wody. - Szefie, musimy wznieść Stożek Mocy i sprawdzić, czy nic nam nie grozi.

- Zbyt energochłonne – mruknął mistrz. - Może twoja empatia płata ci figła?

- Sam nie wiem.

Trzeci od razu przysiadł do szklanej kuli. Potarł ją delikatnie, delikatniej niż tyłek siedemnastolatki i z uśmiechem na czymś, co dumnie nazywał twarzą, wymamrotał kilka oklepanych formułek. W kuli nie pokazało się nic, poza przyjaznym, niebieskawym światłem bijącym z otwartej czaroprzestrzeni.

- Herr Kommandant! - ryknął radośnie w stronę Pierwszego. – Absolutnie nic!

- A to ciekawe, ale nie zapominaj, że empatia czasem działa w drugą stronę.

Pamięta się jeszcze coś z wykładów...

- Po mojemu, to zwykła histeria – mruknął Trzeci i już się zabierał do zamknięcia kanału czaroprzestrzennego w szklanej kuli, gdy wymknęło mu się coś, co brzmiało jak „Zgiń, przepadnij!”

Na to słowo w szklanej kuli ukazała się pewna starsza pani w długiej, ciemnogrnatowej sukni, z gigantyczną, brylantową kolia na dawno obwisłym biuście. Siwy kok i grube szkła na nosie dodawały jej powagi.

- O wielki Asmodeuszu! - jęknął Trzeci chowając się pod biurko. - Tylko nie to stare babsko!

- Pokaż! Oooooo, twoja dobra znajoma, hrabina Charlotte Le Blanc. Drugi, czy to może o nią chodzi?

- Nie chyba nie – zaprzeczył zapytany.

- No to ja już nic nie wiem. Jutro dostaniesz skierowanie na badania do neuropsychologa.

Drugiego przeszedł dreszcz. To mogło oznaczać tylko jedno! Przedwczesna emerytura!

- Żartowałem - uspokoił go Pierwszy z zainteresowaniem wpatrując się w hrabinę.

- Ten babsztyl nie dawał mi ostatnio żyć! – jęczał Grubcio. - Pięć wezwań w ciągu ostatniego tygodnia! Wszystkie dotyczyły ściągania Belfegora z drzewa!

- No, to od małpy dzieli cię już niewiele. Brawo! Widzę, że rozwijasz się! A tak właściwie, to kto to jest Belfegor?

- Wybitnie spasiony kocur jaśnie pani – padło wyjaśnienie. - To tłuste bydle wchodzi na drzewo za ptaszkami, ale jest tak ohydnie spasiono, że nie potrafi zejść z powrotem!

Drugi przywdział na chwilę złośliwy uśmieszek.

- A ty potrafisz?

- Ciebie to chyba Belet kopnął w ciemność! – otyły mag był naprawdę oburzony. -
Ja to załatwiam inteligentnie!

- Niby jak? - zaciekał się szef. – Ścinasz drzewo?

- Ba! Za taką wiedzę się płaci! Nadymam kota czarem niewagi, a kiedy już
szybuje w powietrzu, stopniowo recytuję formułę wspak. Kot robi się coraz
cięższy i łagodnie osiada na trawniku... – oznajmił tłustoch, po czym wypiął
dumnie pierś, jak do odznaczenia.

- Rzeczywiście proste. No dzieciaczki, pora na brancz! – zakomenderował
mistrz łapiąc swoje pudełko z kanapkami.

Trzeci, idąc za przykładem pozostałych magów wyjął swoją skrzynkę
śniadaniową.

Z tą różnicą, że jego skrzynka w epoce podróży dyliżansami mogłaby uchodzić
za kufer podróżny.

- Czy ktoś ma ochotę na ciasto z orzechami leszczynowymi?

- A ile to ma kalorii? - zapytał Drugi mrugając porozumiewawczo.

- Och! Szczęśliwi kalorii nie liczą. Ty chyba nie jesteś szczęśliwy? Uprzątnij
talerze po wczorajszym branczu i dawaj, to ukroję wam po kawałku –
zaszeleścił papier, w powietrzu rozniósł się zniewalający zapach wanilii i
korzeni.

- Nie daje mi wciąż spokoju przeczucie Drugiego – czarownik złapał wielki
kawał ukrojonego ciasta. - Może to faktycznie chodzi o madamme Charlotte?

- Ależ szefie! - oburzył się Drugi. - Hrabina jest bardzo zadowolona z naszych
usług, a płaci tak dobrze, że dostała ostatnio Magiczne Lustro Stałego Klienta, i
to w złotej oprawie!

- W złotej oprawie? - Pierwszego zatkało. - Piętnaście procent rabatu na nasze
usługi?

- Popij, bo się udusisz! W złotej oprawie – kontynuował mag. - Płaci gotówką
bezprzelewową, a jak sam słyszałeś, wzywa do siebie Grubcia aż pięć razy w
tygodniu.

- Wredne babsko! - wymamrotał Trzeci między piątym i szóstym kęsem sałatki
z salami, kukurydzy i koreczków śledziowych. - Upierdliwa do granic
nonsensu! Podejrzewam, że na własnym pogrzebie byłaby w stanie nawet
grabarzowi zożydzić zawód!

- Tak marudzi? Podaj, proszę, cukier.

- Jeszcze gorzej niż myślisz! Chcecie jeszcze tego ciasta?

Pytanie było raczej retoryczne, bo pomimo, że Grubcio był notorycznym
żałokiem, to jednak jego umiejętności kucharskie stawiały go na równi z
dyplomowanymi mistrzami patelni.

- Czekaj, wymyję tylko talerz po wczorajszym.

Pierwszy pochwycił duży, piękny talerz z miśnieńskiej porcelany, ozdobny w
trzyście piktogramów symbolizujących nowe znaki zodiaku. Pośród nich

wyróżniał się jeden: węzownik.

- Szefie, wywal te okruszki na rusztowanie za oknem – poprosił Trzeci. - Niech wróbelki też mają radochę.

- Od kiedy ty jesteś taki dobry dla ptaków?- zdziwił się Pierwszy.

- Od kiedy mu zjadły dwa płaszcze, ha, ha, ha! – zarechotał Drugi i wsunął sobie w usta całego pomidora.

- Aha, to rozumiem – przyznał mistrz i z tym wszystko mówiącym stwierdzeniem, radośnie otworzył okno i wysypał dość sporą ilość okruszków na rusztowanie za oknem. Nie zdążył nawet odejść od okna na dwa kroki, kiedy podest rusztowania zaroił się od bijących się o pokarm ptaków. W ciągu pół minuty nic nie pozostało, lecz wróble nadal siedziały na podeście oczekując dokładki. Co niektóre nie bacząc na fakt, że wszystko zostało pożarte przez współziomków, biły się nadal. Czarownicy przypatrywali się im z wyraźnym zaciekawieniem. Leżący o cztery podesty dalej robotnik otworzył kolejną butelkę "Napalm Beer" i także co jakiś czas zerkał na bijące się wróble.

- Pamiętacie o przeczuciu? - rzucił ni z gruszki, ni z pietruszki Drugi.

- Tak, vice. Wal śmiało.

Drugi zapatrzony w stado wróbli recytował jak natchniony.

- Sprawiedliwość Zulusów Potrafi Istnieć Obok Nas.

- Co??? – Grubcio wytrzeszczył oczy ze zdumienia. – Nie no, ciasto było świeżuteńkie, nie mogło mu zaszkodzić, nie ma takiej opcji!

- Spokój Zacisza Pustynnej Iguany Ogarnia Następców – czarownik mamrotał jak zahipnotyzowany

- Szefie, jemu to już słonko porządnie przygrzało. Trzeba będzie napisać to skierowanie... No powiedz coś z sensem!

- Spytaj Zainteresowanych Partaczy I Oczyść Narzędzia – padła odpowiedź. Pierwszy zastanowił się. Nagle jego posępną twarz rozjaśnił promienny uśmiech. Nadeszło zrozumienie.

- Ach, rozumiem! – westchnął, choć nie dla wszystkich sytuacja była w stu procentach jasna.

- No i co???

- Godzina Drugiej Zemsty Indian Eunuchów... – rozpoczął Pierwszy.

Gruby wytrzeszczył gały na szefa. Dolna szczęka opadła mu mniej więcej na poziom posadzki i zaryła w linoleum.

- Cholera, powaliło was obu?! Czy to jest zaraźliwe? – padło pytanie bez odpowiedzi. – O święty Forkasie, ja też żarłem to cholerne ciasto...! Czuję, że mnie już bierze! Ratunku...!

- To zwykłe wzdęcie – mruknął mistrz całkiem z sensem.

Drugi natomiast kontynuował swoje.

- Ostatni Kondor Nasrał Ogromnie.

- Tak, Nasrał wam obu! Do głów! – Trzeci wyraźnie wpadał w panikę. - Kurcze, gdzie ja posiałem numer na pogotowie psychiatryczne?

- Grubciu, uspokój się. Podaj fakturę, muszę ją podpisać.

- Teraz? - zdziwił się tłusciuch. - Jest brancz, a na dodatek wam odbiło!
- Tak, teraz. Właśnie dlatego, że akurat nam odbiło – przyznał z uśmiechem mag i po chwili dodał. – A na dodatek ty właśnie wpadasz w panikę. Przecież bycie nie teges w dzisiejszych czasach jest całkiem przyjemne!
Wziął od Trzeciego plik papierów i naskrobał coś szybko - Masz, sprawdź kwoty i odłóż na miejsce. To bardzo ważna faktura!
Gruby z totalnie ogłupiałą miną wziął do ręki plik faktur za ostatnio wykonane czary. Jednakże podpis szefa wydawał mu się za długi. Popatrzył uważnie i zrozumiał.

"Drugi nadaje kodem. SZPION za oknem."

- Ach, teraz wszystko jest w porządku - Odłożył faktury i niepostrzeżenie pochwycił do ręki Atalmę. Rzucił trzy wyrazy po starosumeryjsku i ostrzem sztyletu wskazał na stadko wróbli. Czar Paraliżu okazał się być rzucony fachowo: wszystkie wróble znieruchomiały, jak na komendę.
- Taaaaak - Wszyscy trzej podeszli do okna. - Teraz, szpieguniu słodziutki, musisz się ujawnić i wrócić do swojej zwykłej postaci. A ty na drugi raz mów z sensem, tak żeby cię zrozumiał także i motłoch, nie tylko wybrani.
Drugi wzruszył ramionami.
- O ile poczuwasz się do bycia motłochem...
- Do usług! – grubas skłonił się kurtuazyjnie. – Co wzbudziło twoje podejrzenia?
- A widziałeś ty wróbla z żółtymi oczami? – padła odpowiedź. – Jeden z nich przez moment takie właśnie miał, a to oznacza niedoróbkę pośpiesznie rzuconego zaklęcia. Ten nietypowy odcień przypomni mi moją byłą.
- Jak to „byłą”? – zdziwił się Trzeci. Miał powody! Znali się z Drugim przecież od ponad dziesięciu lat.
- Mocno „byłą”. Nie pytaj... – czarownik postanowił uciąć temat i powrócił do wciąż nieruchomych wróbli. – No i jak tam?
Niestety, wróble nadal pozostały wróblami.
- Wiecie co? Idzie w zaparte.
- No, Judaszu, poddaj się! - namawiał Drugi.
Trzeci uśmiechnął się, a błysk w jego oku zapowiadał szybkie rozwiązanie problemu identyfikacji szpiega w sposób niekonwencjonalny.
- Szefie, daj mi trzy rzeczy – poprosił.
- Co tylko sobie życzysz, maestro – padła uprzejma odpowiedź. - Co będziesz kucharzył?
- Silny afrodyzjak. Potrzebuję chrząszcza Loki`ego, oczywiście suszonego ...potem dwie krople naparu z lubczyku i kawałek ciasta.
- Ciasta? Nie wstyd ci? Będziesz teraz jadł?
- Nie, sami zobaczycie! – Trzeci puścił oko i zabrał się do pracy.
Szybko ustawił mały, miedziany kociołek, utarł w nim susz z chrząszcza

podlewając obficie naparem z lubczyku. Robotnik leżący na podeście wydobył z siebie odgłosy świadczące o tym, że czwarta butelka "Napalm Beer" przyjęła się znakomicie. Przez chwilę patrzył tępo na zastygłe w bezruchu wróble, lecz po chwili odwrócił się i włożył rękę pod leżący obok berecik z antenką, skąd wyciągnął kolejną butelkę piwa. Trzeci właśnie kończył wymawianie skróconej formuły zaklęcia wiążącego, gdy pojawiło się kolejne stadko wróbli.

- He, a teraz patrzcie i uczcie się! - mówiąc to delikatnie skropił okruszki ciasta swoją miksturą. Kiedy wszystko było już gotowe, wysypał zawartość talerza na podest, akurat pomiędzy zastygłe w bezruchu wróble. Drugie stadko rzuciło się na darmowy posiłek ze zdwojoną energią.

- Grubciu? - zagaił Pierwszy.

- No?

- Czy zawsze po przyrządzaniu magicznej mikstury oblizujesz palce?

- O święty Flaurosie! Oblizalem?! – pod Trzecim ugięły się nogi.

- Szefie - wtrącił vice. - Może związać go, zanim czar podziała i zacznie nas pedrylić?

- Nie trzeba - uspokoił ich Pierwszy. - Ja tylko chciałem go ostrzec przed skutkiem brzydkiego nawyku.

- To mam prośbę.

- Mianowicie?

- Nie strasz go więcej, bo jak zemdleje, to nawet obaj go nie uniesiemy...

Tymczasem za oknem wróble pożarły już wszystko. Czarowny afrodyzjak zaczął działać. Ptaki zaczęły się w opętańczym tempie gzić między sobą, a gdy zabrakło ruchliwych partnerów, te które pozostały bez pary rzucały się na swoich sparaliżowanych współtowarzyszy. Sączący szóste piwo robotnik przyglądał się tej ptasiej orgii rechocząc co jakiś czas donośnie. Wtem jeden z nieruchomych wróbli w ciągu sekundy zmienił się w bezkształtną, zamazaną plamę, rosnąc do wymiarów człowieka. Tracąc równowagę do pokoju wpadła szczupła brunetka. W oszołomieniu, patrząc tępo w wykładzinę siedziała tak wsparta o podłogę rękami. Jej kruczoczarne włosy były zmierzwiłone, czarna bluza z czerwonymi naszywkami potargana, kilka złotych guzików straciło przyczepność demaskując fantastycznie krągłą zawartość bluzy.

- Dziewięćdziesiąt, sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt - po cichu i prawie bezwiednie wymamrotał zafascynowany szef, by po chwili dodać: - Szybko, zabierzcie jej Bigghe i Cingulę!

Trzeci ściągnął oszołomionej, pięknej czarownicy srebrny diadem i czerwony sznur przewiązany niedbale wokół pasa czarnych dżinsów. Robotnik za oknem przecierał z niedowierzaniem oczy. Raz po raz zerkał, to na dziewczynę, to na butelkę piwa. W końcu z obrzydzeniem wylał resztę za rusztowanie mamrocząc coś o skwaśniałych szczyinach.

- Kurczę! - odezwała się dziewczyna. - Najpierw Nomadowie na pustyni chcieli mi poderznąć gardło, później jakiś kretyn buchnął mi walizki na lotnisku, a teraz o mało mnie nie zerznął zwykły, domowy wróbel!...

- No tak. Co cię nie przeleci, to cię wzmocni - skwitował Pierwszy. – C'est la vie! Ha, zabezpieczyła się; to dlatego Drugi miał przeczucie niebezpieczeństwa, choć kula nic nie pokazała! No pięknie! Patrz, ona ma Różaniec Silnej Woli! Stożek Mocy nic by tu nie pomógł. Trzeba mieć klasę i odwagę na sporządzenie tak silnego zabezpieczenia!

Ale Drugi z milczeniem wpatrywał się w czarownicę. W końcu i ona otrząsnęła się z oszołomienia i spojrzała na magów zatrzymując wzrok na Drugim. Jej żółte oczy były przepełnione nienawiścią.

- Z tymi wróblami to twój pomysł? - rzuciła Drugiemu.

Vice milczał.

- Dupek!

- Małpa! - odpowiedział z taka sama nienawiścią w głosie. Pierwszy postanowił przerwać im tą romantyczną pogaduszkę.

- To wy się znacie? Second, może przedstawisz mnie tej uroczej pani?

- To modliszka!

- Fajne imię, jak pragnę zakwitnąć – mistrz założył ręce w oczekiwaniu na wyjaśnienia.

Dziewczyna milczała wciąż krzyżując spojrzenia z Drugim.

- Lyndsay Horror, czarownica pierwszej klasy. Doktorat na Sorbonie z nekromancji stosowanej – wycodził w końcu.

- Cholera! Gdybym wiedziała, że on tu pracuje, nigdy bym tej roboty nie wzięła!

Trzeci nadal był zaskoczony.

- Skąd znasz tą nimfetkę? – szepnął.

- Raczej nimfomanek – padło wyjaśnienie. - Byliśmy kiedyś razem. O nic nie pytaj!

Tłuszcioch wybałuszył oczy.

- I ja nic o tym nie wiem?

- Grubciu! – zmitygował go mistrz. - Koniec pytań o życie prywatne. Komu tak bardzo podpadliśmy, że musi nas szpiegować Czarownica Federalna?

- Mnie nie pytaj - odparła spokojnie Lynn. - Ja tylko dostaję robotę i mam się nie dać zabić.

- Może zapytam inaczej: kto zarządził inwigilację?

- Sam sprawdź, panie czarodziej – odparła dumnie czarownica, usiadła na krześle i założyła nogę na nogę.

Pierwszy puścił obelgę mimo uszu.

- Grubciu, co na to kula?

Trzeci podszedł do kuli, pogłaskał ją delikatnie, a nawet jeszcze delikatniej niż ostatnio (tyłeczek siedemnastolatki!) i pomruczał coś rzewnie. Obraz w kuli ukazał pewnego znanego kongresmena, lecz był on zasnuty jakby mgiełką na przemian z delikatnym, charakterystycznym śnieżkiem.

- Szefie, ten jej Różaniec zakłóca odbiór – wyjaśnił. - Kurcze, to musiała być solidna robota!

- No, niezła - potwierdził Pierwszy oglądając Różaniec przy pasie czarownicy. Siedem razy po trzystaście ogniów, siedem monet z niklu!

- Fakt, to wszystko tłumaczy. Niezła konfiguracja. Rzekłbym, że optymalna. Zakłęcie, rozumiem, że Pierwszego Kręgu? - zwrócił się do dziewczyny.

- Ja mam wszystko w najlepszym gatunku - odcięła się wypinając fantastyczny biust.

- Dziewięćdziesiąt-sześćdziesiąt-dziewięćdziesiąt – wymruczał zafascynowany.

- Aha, kuper także. Każdy wróbel na niego leci! - nie wytrzymał Grubcio.

- Spokój, dzieciaki! Vice, podaj coś zimnego do picia.

Drugi niechętnie spełnił prośbę szefa.

- Czego chce od nas senator Shapiro? – zapytał mag.

- Może uważa, że płacimy za mały podatek od czaroprzestrzeni? – wtrącił tłuścioch, który zajął wygodną pozycję do wylotu. Na parapecie okna.

- Nie sędzę – mistrz wskazał na spoczywającą na stole szklaną kulę. - Nastaw swoją pupilkę na pokrewność interesów, z uwzględnieniem przysługi koleżeńskiej. To wśród tej klasy bardzo popularne.

Otyły mag niechętnie opuścił grzędę i ponownie podszedł do stołu. Delikatnie pogłaskał wierzchem dłoni zimne szkło kuli i wymruczał kilka zaklęć po starosumeryjsku. Przez ekran przewinęło się kilka twarzy, lecz żadna z nich nie była znana czarownikom. Na sam koniec pokazała się twarz człowieka lekko pulchnego o świńskich oczkach.

- Ty, szef, ja znam tą mordę!

- No, no! Stary znajomy – przyznał mag. - Napije się pani kawy, może herbaty? – zwrócił się do czarownicy widząc nienaruszoną mineralną.

- To więźniowi przysługuje coś więcej niż suchy chleb i woda?

- Nie jest pani więźniem, tylko gościem. Trochę nieproszonym, no ale cóż: czym chata bogata, tym goście rzygają po stołach, jak mówi stare przysłowie.

- W takim razie poproszę kawę ze śmietanką – uśmiech czarownicy był sygnałem, że pierwsze lody zostały przełamane.

Tymczasem Trzeci cały czas mamrotał do kuli i co jakiś czas pocierał ją ręką.

- Niech to Gamygyn ściśnie! Nic, tylko śnieży!

- Mogę coś doradzić? - spytała Lynn.

- Wal śmiało!

- Macie komplet teurgiczny?

- Ach, no tak! Ale ze mnie osioł! – potężna łapa palnęła w sam środek czoła. - Pierścień Samaela jest przecież kapitalnym wzmacniaczem, tylko trzeba zasłonić prawe oko przed promieniowaniem zła!

Wyciągnął z pancernej szafy niewielki kuferek, z którego wyjął srebrny sygnet z dziwnym inicjałem. Następnie przesłonił prawe oko dłonią, na której znajdował się pierścień.

- Grubciu, odwróć twarz bardziej na południe - doradził szef.

- Skąd pan o tym wie? - zdziwienie dziewczyny było jak najbardziej szczere. - Przecież to tajemnica teurgów Zielonego Kręgu!

- A pani myśli, że kto napisał "Zielony Grimmer" sekretnym pismem?

- O Dantalianie! Pan? Mistrz Shoen? Czytałam przekład "Cabo Grimorium" – zdziwienie dziewczyny było absolutne. - Ale ta książka powstała dawno temu! Jak to możliwe?

- Och, możliwe - uśmiechnął się Pierwszy przyлизując grzywkę. - Czas był dla mnie łaskawy.

Trzeci nadal próbował ustawić się idealnie na południe.

- Może skończycie się migdalić? To faktycznie Dranken.

- Hmmm...- zamyślił się trzeci. - To poważna sprawa! Dranken często pije z senatorem Shapiro. Ich stały repertuar, to "Jack Danniels" i pizza. Do tego dwie dziewczynki, potem rzyganie. To znaczy, panienki rzygają. Po wszystkim, ma się rozumieć.

- Ha! Poznaję!- dodała panna Horror nachylając się mocno nad kulą. – Próbował mnie dziad w siedzenie poklepać, ale zmroziłam mu palce ektoplazmą. Później cichcem odmrażał w gorącej herbacie.

- Zaiste, osobliwe ma pani poczucie humoru - skwitował Pierwszy.

- Jak to mówią: w naszym fachu nie ma strachów! - odparła z uśmiechem pochylając się jeszcze mocniej nad kulą. Oczywiście Trzeciego zmieniły nagle punkt oparcia z jednej szklanej kuli na dwie półkule pochodzenia organicznego. Przez chwilę patrzył zafascynowany w rozpięty dekolt Lynn, krew na jego skroniach poczęła silnie pulsować. Po chwili pokręcił głową mamrocząc: - To nie możliwe!

- Raczej fantastyczne! - półszepem dopowiedział Pierwszy odgadując myśli Grubcia bez pomocy czarów.

- Kawa ci stygnie! - ostro rzucił Drugi przerywając ten hipnotyczny spektakl.

- Chcesz ciasta? - kurtuazyjnie zapytał Trzeci.

- Dziękuję, nadziobałam się już okruszków. Dość aromatyczne było...

- No, dość tych umizgów – vice przypomniał o problemie. - Czego chce ten Dranken?

- Jak to czego? Udupić was.... przepraszam mistrzu za wyrażenie.

- Ależ moja droga, nie ma o czym mówić! – mruknął mag.

- Dziękuję. Z tego, co wiem, to wybitnie mu się nie podobała jakaś randka, którą mieliście mu zorganizować za grubą forszę.

- No, to nie całkiem tak – Pierwszy podrapał się po brodzie. - Grubcio pokaże ci to w kuli, jak chcesz, tylko nie nachylaj się za mocno, bo ktoś może dostać zawału....

Wszyscy, za wyjątkiem Drugiego, zasiedli wokół kuli. Grubcio, jako spec od sprzętu multimedialnego, obsługiwał całą transmisję z przeszłości.

- Ale z niego fiut! – padło zaraz po skończonej projekcji. - Ha, dobrze tak dziadowi!

- Sama widzisz; mając taką fortunę w spadku stwierdził, że lepiej się nią z nikim nie dzielić, a szczególnie z nami. Ta zła jakość usług, to świetny pretekst, a znajomość z Shapiro może mu to tylko ułatwić.

- Wydaje mi się, szefie - odezwał się w końcu Drugi. - że sytuacja jest patowa. Lynn a swoje zadanie, my mamy Lynn, Shapiro pociąga za sznurki, a Dranken nie zapłaci nam ani krugeranda! Jak znam życie, jeszcze zapłacimy karę przed sądem konsumenckim.

Czarnoksiężniki pochylił się nad swoim otyłym podwładnym.

- Grubciu, jak zaksięgowaleś zniknięcie pani Dranken?

- Szefie, nie bij! - Trzeci skulił się pod stół. - Jako schadzkę...!

- No to leżymy! – przyznał mistrz.

Niespodziewanie odezwała się czarownica.

- Słuchajcie, macie problem, czy nie tak? – zapytała. - Ja też mam problem.

Mam pewne poufne zadanie na pustyni Buende.

- Ach, tak! - zaskoczył Trzeci. – Beduini, rżnięcie gardła i takie tam miłostki!

- Zgadza się. Mam kłopot z wykonaniem tej roboty. Pomożecie mi, ja pomogę wam. To moja wstępna propozycja.

- Szefie - odezwał się Drugi. - Nie wchodziłbym z nią w układy.

- Doceniam twoją troskę, Second. Powiedz mi tylko, jak długo byliście razem?

Czarownik popadł w zadumę.

- Dwa lata – odparł sucho i beznamiętnie.

- Skończyło się nagle i burzliwie?

Drugi milczał ze spuszczonym wzrokiem. Lynn także.

- No widzisz? – skwitował i pokłapał wciąż skuloną pod stołem postać. -

Grubciu, lubisz lody pistacjowe na polewie z masła orzechowego?

- Jestem splukany... - przyznał z rozbrajającą, acz smutną szczerością.

- Ja stawiam. Poznaj mój gest.

Oczy Grubasa zaślniły niespotykanym dotychczas blaskiem.

- Z wisienkami w spirytusie termitowym?

- Jak najbardziej - odparł Pierwszy przybierając ojcowski wyraz twarzy.

Kogo jak kogo, ale Grubcia nie trzeba było zbyt długo namawiać.

- Zgoda!

- No to chodź. Ci młodzi państwo mają od dłuższego czasu pewną nie zamkniętą, ważną sprawę do obgadania.

Mówiąc to pochwycił Trzeciego za ramię. Obaj powoli tracili na nieprzejrzyistości, aż stali się tylko widmowym cieniem siebie samych. Po chwili już ich nie było.

Drugi spojrzął w wielkie, jasnożółte oczy czarownicy.

- Czy naprawdę musimy?

- Chyba tak.

* * * * *

Swoim niespodziewanym pojawieniem się w lodziarni Clickle`go wywołali sporą sensację. Sam Samuel Clickle wyskoczył zza lady witając tak niecodziennych gości. Po chwili dodał konfidentycznie szeptem:

- Chłopaki, świetny chwyt reklamowy. Stawiam wam moje najlepsze lody, ale róbcie to częściej! – i już po chwili zniknął na zapleczu zacierając ręce.

Po chwili pojawił się na sali w towarzystwie młodego chłopaka w mundurze ucznia piekarskiego i tonem nie znoszącym sprzeciwu nakazał czeladnikowi zaprowadzić gości do stolika dla VIPów oraz przyjąć zamówienie, na koszt firmy, oczywiście. I tak czas upływał na przyjemnościach. Grubcio pałaszował właśnie czwartą porcję lodów nazwanych na cześć pani Clickle "Mieszanka firmowa ala Lukrecja Borgia", gdy kieszeń Pierwszego rozjaśniła się niespodziewanie błękitnym blaskiem.

- O, któryś z posiadaczy Magicznego Lustra Stałego Klienta znów potrzebuje naszej naglej pomocy - zauważył Pierwszy sięgając do kieszeni.

- O wielki Flaurosie! Tylko nie teraz! - jęknął Trzeci i wychylił całą zawartość piątego pucharu. Lód zaległ mu ciężkim kamieniem w żołądku.

- Trzeci, to do ciebie - uśmiechnął się Pierwszy podając Grubciowi przenośne lustreczko trójkomórkowe.

- Słucham - Trzeci z obawą spojrzał w zwierciadełko.

- Pączuszk, jak to dobrze, że cię złapałam! - starsza pani w siwym koku była wniebowzięta.

- Proszę, tylko nie Belfegor! - wyszeptał zrezygnowany Trzeci.

- No weź zwierciadełko, Pączuszk! Hi, hi, hi! - rechotał Pierwszy wciskając Magiczne Zwierciadło "pączuszkowi" w pulchne łapy.

- Słucham, madamme – wystękał zrezygnowany mag.

- Pączuszk, Belfegorek gonił ptaszka i znowu wlaź na to krzywe drzewo pod moim domem. Biedaczek, nie może zejść.

- Madamme, czy powiadomiła już pani straż pożarną?

- A po co mam im zawracać głowę głupotami? No, czekam – uśmiechnęła się kwieciście (tylko, że kwiaty nie stać na sztuczną szczękę z brylantami) hrabina Charlotte. – Jak chcesz, upiekę twoje ulubione ciasto.

- O Asmodeuszu! - jęknął Grubcio zasłaniając delikatnie lustro rękawem tak, aby nie było nic słyhać. - Znowu kwaśny zakalec!

- No nie daj pani czekać - upomniał go Pierwszy.

Trzeci odsłonił lustro i przywdział uśmiech numer siedem.

- Och, będę zachwycony! Już lecę, madamme! – zaskrzeczał prawie radośnie. Staruszka uśmiechnęła się i zniknęła z wizji.

- Widzę, że łączy was coś więcej, niż tylko zwykła sympatia do spasionych kotów...?

Czarownik wzdrygnął się na samą myśl o kocurze.

- Nie przypominaj mi o Belfegorze!

- ???

- Na samo wspomnienie odbija mi się kwaśnym zakalcem! – dodał Grubcio i mistrz mógłby przysiąc, że jego podwładny nagle pozieleniał na twarzy.

- Czyżby zaszkodziły ci lody?

- Kwaśny zakalec! – przypomniał zielony czarownik.
Pierwszy starał się przybrać bardzo poważny wyraz twarzy. Szkoda, że mu to nie wyszło....

- A czy wiesz, co mówi punkt czwarty regulaminu pracowniczego? Żadnych romansów z klientkami - i puścił figlarne oczko.

- Och, staruszcze po prostu się nudzi. Pochowała sześciu mężów, a że nie potrafi gotować...

- To jestem ciekaw, jak to znosi Belfegor - zastanowił się Pierwszy.

- Jest jeszcze bardziej złośliwy, niż ona – przyznał tłścioch. - I ma strusi żołądek. Pożycz mi płaszcz na ten jeden lot.

- Tylko nie karm nim wróbli! - wstali obaj, Trzeci wziął płaszcz szefa starając się w nim zapiąć. Podszedł do nich właściciel, pan Clickle.

- Panowie już wychodzą? Ta sztuczka ze święcącym zwierciadełkiem była extra!

- Senior Clickle - zaproponował mistrz. - To nie żadna sztuczka, to najnowsze osiągnięcie czarnoksiężstwa multimedialnego.

- Ach, rozumiem - odparł Clickle, ale oczywiście nie zrozumiał nic.

Tymczasem Trzeci podszedł do otwartego okna, wyciągnął Atalmę, która zaśniła purpurowym blaskiem, wywarczał kilka wybitnie gardłowych sylab i... wyfrunął oknem pod postacią wielkiego, czarnego kruka. Jak na człowieka z pensja 250 krugerandów na miesiąc latanie szło mu całkiem nieźle, lecz jak na ptaka, rzecz by można, że jego lot był niezdarny i wybitnie ciężki.

- Wiesz pan co? - szepnął Clickle zafascynowany widowiskiem. – Przychodźcie częściej, tylko może ten gruby niech tyle lodów nie zżera, bo później mu sztuczki dosyć ciężko wychodzą, jeśli wie pan, co mam na myśli.

* * * * *

Było już po czternastej, gdy nazajutrz cała czwórka zasiadła przy stole, aby opracować plan strategii uniknięcia kłopotów. Na stole pojawiło się ciasto o kolorze i konsystencji bagiennej gliny, wystawiając na próbę ciekawość trojga spośród całej czwórki.

- Cóż to, u licha, jest?! - nie wytrzymał próby Pierwszy.

- Zakalec pani hrabiny – padło w odpowiedzi. - Cemu ja mam cierpieć sam?

- Obżerasz biedną staruszkę! – przyznał vice. – Nie wstyd ci?

- No, nie taka ona znowu biedna, skoro stać ja na całkiem nieźle i niezbyt tanie czary sześć razy na tydzień. Tak poza tym, to dar wdzięczności za definitywne rozwiązanie problemu z Belfegorem.

- Zakatrupiłeś biednego zwierzaka! - nie wytrzymał po raz drugi Pierwszy.

- Czyżby koteczek miał wypadek? - podchwycił Drugi, i nie wiedząc czemu wybuchli wraz z Lynn opętańczym śmiechem.

- Nic z tego. Ja takie sprawy załatwiam inteligentnie – Trzeci zadarł nos.

- Wiec ...???

- Przyprawilem gałganowi skrzydła! - oświadczył z dumą Grubcio.

- Och, jakiś ty mądry, "pączusku"! - Pierwszy wydał usta w serduszko.

- „Pon”, co proszę? - wykrztusiła pomiędzy salwami śmiechu Lynn.

- Och, nic takiego. Taka mała tajemnica Charlotty i Grubcia, hi, hi, hi!

Cała czwórka rechotała ze śmiechu, a Trzeci zgodnie ze zwyczajem, najgłośniej.

- Słuchajcie, hi, hi, hi – wtrącił mistrz trzymając się za brzuch. - Sprawa jest, hi, hi, hi, poważna. Hi, hi, hi!

- No, nie czaruj nas tu głodnymi frazesami – upomniał Drugi. - Czarować to my, ale nie nas!

- Święte słowa! Więc co robimy z naszym problemem, lady Horror?

Lynn puściła oczko do wszystkich, i z szatańskim uśmiechem oznajmiła:

- Sprawę raportu z działalności waszej firmy pozostawcie już mnie. W Departamencie Spraw Inwigilacji Ponadnaturalnej pewien starszy pan wisi mi przysługę: baaaardzo duuuuż przysługę. Myślę, że jeżeli poproszę go o spłacenie długu, nie odmówi mi, a co lepsze w końcowym raporcie wykreuje was na bohaterów narodowych.

- Układy i układziki. Rozumiem - rzekł mistrz, by po chwili dodać: - A tych bohaterów można sobie darować. Wystarczy, że przedstawi firmę jako uczciwą i wiarygodną. Tylko pamiętaj, bez żadnych pomocniczych czarów!

- Tak, wiem! Biuro Federalne jest tak pozabezpieczane, że każdy czar użyty na złamanie zabezpieczeń uderza w spellhackera. Teraz może zapytam ja. Czy macie na tyle mocy, aby rozwiązać mój problem?

- Ha, mocy ci u nas dostatek, tylko w czym problem? – zapytał zadowolony Pierwszy.

- Podobno masz, mistrzu, dar przewidywania? Powinieneś wiedzieć.

- Typowa czarownica! - zachnął się Trzeci.

- Lynn - odezwał się Drugi - jasnowidzenie zależy w głównej mierze od współgrania faz księżycy oraz układu gwiazd...

- Możliwe – mruknęła czarownica i przeszła do meritum sprawy. - Problem jest następujący: kongres przeznaczył dużo pieniędzy na badania profesora... nazwijmy go Iks. Profesor szuka czegoś związanego z Biblią, ruin, szczątków i czegoś tam jeszcze. To uparty facet: dostał naprawdę kupę forsy do roztrwonienia na tą bezsensowną ekspedycję, i póki co, gotów jest posortować wszystkie ziarna piasku na pustyni Buende, byleby tylko odnaleźć cokolwiek.

- Aż taki uparty? – zdziwił się mistrz.

- Nie, dostał aż tyle forsy. Oczywiście ćwierć tego funduszu trafia do kieszeni kongresmanów, którzy przeforsowali ten cały idiotyzm.

To akurat było równie oczywiste, jak sam fakt uganiania się rządu za udokumentowaniem korzeni wiary.

- No dobra, a co dalej? – spytał Grubcio.

- Myamyan Lipido nie jest tym zachwycony. Obcięto budżet na przedszkola i badania egzobiologiczne na Io.

Oświadczenie to wywarło wrażenie na wszystkich.

- Sam prezydent Lipido? - Trzeci zakrzuszył się ciastem.
- No właśnie – przyznała Lynn. - Kilka osób z departamentu dostało rozkaz z samej góry, aby jakoś po cichu i w majestacie prawa ukrócić ten bezsens.
- Niech zgadnę - przerwał Second. - Czary bezpośrednie nie działają?
- Masz na myśli narzucanie woli i takie tam historie? Nie, nie działają. Pierwszy wyraźnie się zamyślił.
- Blokada? - zapytał po chwili.
- Ktoś zapobiegliwy zaopatrzył go w Różaniec Dobrych Uczuć – wyjaśniła natychmiast dziewczyna. - Jest o wiele słabszy od mojego, ale i tak zabezpiecza przed ingerencją złych czarów w stopniu co najmniej zadowalającym...
- Twarz Grubcia mówiła, że znalazł już rozwiązanie.
- Znalazłem już rozwiązanie! - oznajmił.
- Pewnie inteligentne? - rzekł szef pokazując reszcie pewien znany, wręcz międzynarodowy gest mówiący: "o, tu mi jedzie fura z gnojem!".
- Jak najbardziej! Proste i genialne!
- No patrzcie! - skwitował Drugi. - Einstein i Cagliostro w jednym! Jakiś ty mądry, Pączuszk!
- Jaki to sposób? - niecierpliwiła się Lynn.
- Ależ to proste! - rozpromieniał się coraz bardziej Grubcio. – Trzeba profesorka kropnąć!
- Czarami? Nie wchodzi w rachubę - ma przecież Różaniec.
- I w tym miejscu geniusz Trzeciego zabłysnął największym blaskiem:
- Ja myślę o metodzie konwencjonalnej. Nożem, laserem, miotaczem termicznym.... no, w ostateczności jakąś trucizną...
- No tak - z głosem pełnym wyrzutów Pierwszy odwrócił się do swojego zastępcy - Nie dość, że Einstein i Cagliostro, to jeszcze Manson!
- Jest tyle pięknych metod...! – rozmarzył się otyły czarownik.
- Raczej Mengele! - i tym oto stwierdzeniem Drugi dał do zrozumienia, co myśli o inteligentnych rozwiązaniach swojego kolegi.
- Nic z tego - przerwała czarownica. - Wszystko musi wyglądać naturalnie, a wariant optymalny zakłada, że profesor Iks sam zrezygnuje z ekspedycji. To by było naprawdę coś!
- Sprawa wydaje się być z gatunku tych nie do ugryzienia – skonstatował mistrz.
- I taka właśnie jest.
- Szefie, a nieszczęśliwy wypadek? - nie dawał za wygraną Trzeci.
- Odpada, panie Capone.
- Dupuwa - skwitował Drugi i chyba był najbliżej prawdy, choć określenie świetnie pasowało do niższych warstw społeczeństwa.
- Du... co?
- Podłapałem od siostrzeńca – przyznał ze wstydem vice.
- Grubcio palnął się dłonią w czoło.

- Jestem genitaliuszem! – oznajmił z dumą. – Czy Pierwiosnek i jego gang nie mogliby przycisnąć profesorka?

Mistrz poklepał podwładnego po głowie i rzekł z politowaniem:

- Mój ty genitaliuszu, przed chwilą omawialiśmy kwestię rozwiązania gangsterskiego. Poza tym możesz być tylko geniuszem, choć z żalem przyznaję – nie jesteś.

Zapadła twórcza cisza zakłócona tylko odległym szumem przemierzającej piętra windy.

- Parszywy świat kota Filemona! – nie wytrzymał Second. - Powiedzmy sobie wprost:

- WPROST! - zakrzyknęli chórem.

- Szefie, mam! - zakrzyknął gruby mag.

- Trzęsienie ziemi, pączusku?

- Nie! Zakrzyknęliśmy chórem, czy nie tak?

- No to co z tego? – wtrąciła czarownica.

- Chór! Zjednoczona siła! Stożek mocy!

- Eeeeeee, ćwierćinteligent! – odparowała. - Przecież mówiłam trzydzieści wersów tekstu temu, że czar bezpośredni nie zadziała, a pośredni czar niosący szkodę zostanie zniwelowany przez Różaniec.

- Wybacz mu - uśmiechnął się Drugi. - Ostatnio przechodził dekadę dynamicznego niedorozwoju...

- Samaelu, trzymaj mnie, bo nie wytrzymam!

- Jak popuścisz, będzie smród – zauważył Pierwszy. - Ładnie to tak kadzić innym, Grubciu?

- Ciemnoto czarnoksięska! A co mówi staroceltycki "Poemat Druidów"?

Mistrz na chwilę zamknął oczy przypominając sobie nieregularne strofy starożytnego tekstu.

- Zaczyna się od słów : "Posiew krzywd, zniszczenie, mędrzec wykona godnie...

- Szefie, to jest rozdział "O szkodzeniu", a ja mam na myśli "O osiągnięciu efektu zamierzonego"

- Grubciu - własna wylewność zaskoczyła Pierwszego. - Niech cię ucałuję!

- Wolę podwyżkę...- burknął Trzeci przystępując do sedna sprawy. - Słuchajcie, możemy wykreować wspólnym wysiłkiem sen. Sen o przyszłości. Na dobrą sprawę może być w nim dużo prawdy, lecz jak wiadomo, przyszłość nie jest jednoznacznie zdeterminowana, więc jakby nie było, może to być także zupełna bzdura.

- O! Fizyka temporalna! Teoria krzywych czasoprzestrzennych - zauważyła dziewczyna.

- Co? Nie rozumiem; daj mi skończyć, nie pleć mi tu tych paranaukowych bzdur. A więc narzucimy tylko ogólne założenia, stworzymy stożek mocy i wykreujemy oraz prześlemy profesorowi całość tych majaków...

- O kurczę! - zakrzyknęła Lynn. - Majaki z czterech skrzywionych umysłów w jednej głowie - to dopiero będzie mix!

- Fakt, będzie niezły młyn na wodę odwetowców - Pierwszy zacytował znanego klasyka.
- Jest jeden problem - wtrąciła Lynn. - Ja mogę dokonać samouświęcenia na ołtarzu białej bogini, ale stożek mocy nie mieści się w zakresie moich kompetencji.
- Jako bierny członek zboru nadasz się na pewno! – zapewnił mag.
- Czy robimy jakieś przygotowania?
- Tak, wszystko musimy robić po kolei... Grubciu, jaki jest czas gwiazdowy?
- Dzień Wenus, ale to już wiesz... Zaraz przeliczę – czarownik wyciągnął zegarek i archaiczny kalkulator. - Jest teraz godzina siódma, czyli godzina Merkurego, za kilka minut rozpocznie się godzina Księżyca.
- No to lepiej być już nie mogło! - skwitował z uśmiechem Drugi. - Wenus daje nam wszelką przychylność, Merkury sprzyja wiedzy, Księżyc zaś snom i wywoływaniu duchów służebnych.
- Zgadza się. Podaj komplet teurgiczny. Grubciu, płaszcze rytualne, Lynn, weź Cingulę, wbij Atalmę i zakresł cztery magiczne kręgi.
- Wezmę krede, szefie – vice zanurkował w pancерnej szafie.
- Dobrze, second. Narysuj też trójkąt i przygotuj świece.
- Cholera jasna! Mamy komplet świec, ale są nie poświecone! – ryknął czytając metkę na opakowaniu. – A mówiłem, że w markecie sprzedają szajs!
- Daj je - rzekła Lynn kończąc kreślić czwarty, magiczny krąg. – Zaraz to załatwię!

Drugi rzucił jej pudełko świec. Dziewczyna wyjęła siedem sztuk, uniosła w lewej ręce i wyrecytowała najpotężniejsze zaklęcie poświęcające przedmioty magiczne, jakie tylko było znane ludzkości.

"Athanatos Sapientissime artises qui sohovo servi tuo dedestint
justus fabricar artiffia qui adusan taberculi debetant in servi
et a sanitificierit alus rebus hic presentibus pater virtutem
et efficacian ad mehe operanti seheter, en servant et sicti
frecur. Tautos, Tautajon Barachepi Gedita, Igeon. Amen!"

Kiedy skończyła, poświęcone przedmioty zaśniły na krótką chwilę zielonkawym blaskiem. Czarownica postawiła trzy świece w narożach pracownice kreślonego przez Drugiego magicznego trójkąta, służącego do wywoływania i pętania demonów. Pozostałe cztery świece rozdzieliła pomiędzy cztery magiczne kręgi, każdy po dziewięć stóp średnicy. Pierwszy zakładał rytualne szaty teurga, gdyż tylko on z całej czarownej czwórki posiadał uprawnienia teurgiczne. Jego korona, wykonana z dziewiczego papieru, przyozdobiona była w imiona czterech bóstw, natomiast korony pozostałych uczestników soboru, zgodnie z tradycją były koronami uczniów. Były węższe i ozdobione bogato pismem runicznym. Zakładając czarowne szaty Pierwszy mamrotał pod nosem pewien znany literacki utwór wierszowany, następnie

standardową inwokację, rodem z podręcznika:

"Amor, Amator, Amides, Ideodoniach,
Amor, Plaior, Amitor!

Mocą tych oto aniołów ubieram się w te potężne szaty.
Z ich pomocą doprowadzę do pożądanego skutku wszystko,
co najgoręcej pragnę osiągnąć, przez ciebie najświętszy
Adonaj, którego królestwo i władza są wieczne. Amen."

- Mogłeś się wysilić na coś oryginalniejszego - skrytykował Trzeci.
- Pan Mądrala niech sobie sam wymyśla formułki! – fuknął szef. - Szkoda czasu na pierdoły, trzeba korzystać z tego, czym dysponujemy!
- A tak! Per pedes ad astra! – odszczekał Pan Mądrala i pozapalał świece.
- Dobra, teraz jeszcze trochę wierszyków - Pierwszy poprawił rękawy i zaczął mamrotać kolejne pieśni.

Lynn tymczasem przy pomocy Drugiego przygotowywała ołtarz bogini
Pramatki. Jak nakazuje tradycja, było to poświęcone miejsce, zaopatrzone w
odpowiednie wizerunki, dwie białe świece, czarki z wodą i solą, które miały
reprezentować dwa najpotężniejsze żywioły oraz kadzielnicę i róg z winem.
Pierwszy wyciągnął z szuflady biurka księgę oprawną w skórę...

- O jasny gwint! - rzekła zdziwiona czarownica. - Czy to jest oryginał "Liber
Spirituum"?

- Tak - odparł krótko Pierwszy, jednakże ta krótka odpowiedź doprowadziła
opadniętą szczękę (ze zdziwienia!) dziewczyny do pułapu posadzki z
oryginalnego linoleum.

- Skąd, mistrzu, wziąłeś ludzką skórę na oprawę?!

- Tajemnica, moja droga! Za takie informacje się płaci – uśmiechnął się
Pierwszy.

- Pewnie w naturze?

- Nie wódź mnie na pokuszenie!

- Ależ mistrzu! – czarownica udała oburzenie śmiejąc się z zakłopotania
czarownika.

- Dziewięćdziesiąt - sześćdziesiąt - dziewięćdziesiąt - wyszeptał po raz kolejny
w tym opowiadaniu Pierwszy. Po chwili otrząsnął się i otworzył oczy.

- Szefie, coś nie tak?

- Nie, Grubciu, wszystko w porządku, tylko czasami wyobraźnia płata mi
dziwnie przyjemne figle...

Lynn uśmiechnęła się promiennie.

- Nic nie kumam czaczy - wyznał zupełnie szczerze Trzeci i po chwili dodał z
dziwnie znajomym uśmieszkiem: - Może ktoś chce ciasta?

- Z czym?

- Nie mówi się "szczy", tylko "siusiamy" – zauważył Grubcio. - Biskopt, na
to owoce mango, wiórki kokosowe, kiszona kapusta, bita śmietana, no i

oczywiście – na szczycie obowiązkowa wisienka...

- Chętnie - skrzywił się Drugi przerażony doborem smaków. - Ale może w następnym wcieleniu...

- Grubciu, później. Wybiła już odpowiednia godzina. Czy wszyscy gotowi? Zaczynamy.

Każdy zajął swój magiczny krąg. Zapalone świece dawały przyjazny, ciepły blask, wokół trójkąta do wywoływania demonów unosiła się delikatna mgiełka, gdzieś tam przesywana maleńkimi wyładowaniami egzoplazmy, które nadawały mgielce świetlistozieloną poświatę. Pierwszy wzniosł ręce ku górze i rozpoczął recytować zaklęcia śpiewnym tonem.

"Zaklinam was i rozkazuję wam duchy, ilekolwiek was jest abyście co rychlej przybyły na wezwanie"

Mgła wokół trójkąta zgęstniała, natomiast chłód przestrzeni międzyświatów stał się aż nadto zauważalny.

"W imię Boga, który jest Bogiem bogów i Panem wszystkich panów! Bacność i przybywajcie tu wszystkie duchy! Mocą i zasługą waszych królów obowiązane są wszystkie duchy piekieł objawić się w mojej obecności przed tym oto kręgiem Salomona gdy je przywołam! Przybywajcie więc na mój rozkaz, ażeby spełnić me życzenie, o ile to w waszej mocy! Przybywajcie ze wschodu, z południa, z zachodu i z północy! Rozkazuję wam wszystkim i zaklinam was mocą przenajświętszego imienia wszechmogącego żywego Boga, którym jest Elohim, Jah, El, Eloach, Tetragramaton!"

W tym momencie pośród mgły zaczęła majaczyć jakaś dziwna postać. Kiedy mgła przerzedziła się, oczom czarownej czwórki ukazały się dwie postacie pokracznych karzełków.

- Się ma, gamonie! – zaskrzeczało większe widmo.

- Kim jesteście, duchy, mówcie! - rozkazał Pierwszy.

- Co ci do tego, koleś? - pisnęła druga z małych istot.

- A, dobrzy znajomi! Raum i Szaks! Miło was znowu widzieć!

Pierwszy, w oczekiwaniu na olśnienie ze strony małych, złośliwych demonów, niby to zaczął oglądać paznokcie

- Czy my się znamy? – zaskrzeczał większy. - No, koleś, nie zalewaj!

- No to mam was, złodziejaszki! Gdzie moja kasa? – mistrz uniósł czarnoksięską różdżkę ku górze.

- Wasza wysokość! Nie bij! Nie godni my! Nie godni! - karzełki wpadły w panikę.

- O kradzieje, przepiliście buchankę?! – grzmiał mag. - Mój gniew będzie straszny!

- Mistrzu, litości! – piszczały widma.
- Dobrze, ale musicie coś dla mnie zrobić.
- Rozkazuj, wasza łagodność, rozkazuj! – prosiły duchy, czemu towarzyszyła seria niskich pokłonów.
- Sprowadźcie mi ducha, który sny na ludzi sprowadza. Tylko nie byle jakie sny! Sny o przyszłości! – zakomenderował czarownik.
- Wasza doskonałość, już pędzimy! - i rozpląnęły się karzełki we mgle. W ich miejsce pojawiła się postać o tyle ciekawa, że miała trzy głowy i dosiadała bardzo dorodnej żmii.
- Czego? - bezpardonowo odezwała się głowa węża, pierwsza z trzech głów.
- Gówna piesiego! - odparł równie po chamsku Pierwszy. - Za niskiego jesteś stanu, mości Hyborynie, aby takimi słowy ze mną rozmawiać!
- Wybacz, mu panie - odezwała się głowa kocia. - Wąż pozostanie na zawsze wężem!
- Wybaczam. Czy to ciebie przysłały te dwa małe złodziejaszki?
- Doliniarze! – prychnął kot. - Zawsze przysyłają kogo popadnie, w zależności kogo napotkają pierwszego na swej drodze.
- Szukam ducha, który mi sprowadzi na kogoś proroczy sen.
- Trudna sprawa. Potrzebne ci będą dwa duchy. I coś w zamian.
- Dobrze – przytaknął mistrz. - Czego chcesz?
- Takiej świecy, jaką masz w kręgu, panie - odezwała się ostatnia z trzech głów, tym razem ludzka.
- Trzeci, daj mu swoją.
- Moment, szefie - Trzeci zamachnął się i cisnął świecą w stwora. Potwór pochwycił świecę w locie i wpakował sobie do pyska mlaskając przy tym głośno.
- Mmmmmmmmm! Nadpalone knoty są najlepsze! - i z tym mlaskaniem zniknął z realnego świata. W mgiełce pojawili się dwaj heroldowie z fanfarami, odegrali fałszywie coś w rodzaju hymnu i rozsunęli się na boki. Pomiędzy nimi stanął młody gryf, na którym siedział przystojny mężczyzna w stroju rycerskim.
- Witaj Murmurze, ponury grafie, czarny Książę! - powitał uprzejmie niesamowitego gościa Pierwszy. - Ja i moja świta witamy cię w naszych skromnych progach....
- I ja także cię pozdrawiam, mistrzu - odezwał się chrapliwie ponury graf omiatając spojrzeniem pomieszczenie. Jego wzrok zatrzymał się na Lynn. - Uuuuch! Czarownica! - warknął z obrzydzeniem.
- Książę, nie czas na kąśliwe uwagi, bo oto przybywa nasz drugi gość... Tuż obok Murmura stanęła wysoka, piękna kobieta w powłóczystej, długiej sukni. Jej skronie zdobiła złota korona.
- Pani Gomory, grafie Murmur - rozpoczął Pierwszy. - Wasze zasługi są wielkie i sławić je będziemy aż po dni kres, lecz oto nowe wyzwanie jest przed wami i wspólnie wasze moce złączyć musicie...
- O co chodzi? - przerwała kobieta w koronie tyradę Pierwszego.

- Sen proroczy. Dlatego jesteście potrzebni obydwójcie. Ty, pani, znasz wszystkie czasy, zaś Księżę Murmur sprowadza sny na ludzi.

- Głównie uczę filozofii i sprowadzam dusze zmarłych na przesłuchanie. Sny to takie nieudolne hobby - zaśmiał się szorstko Murmur.

- Zgadza się - rzekła Gomory. - Ten eksperyment z połączeniem sił może być bardzo ciekawy i otworzyć nam nowe możliwości, prawda grafie Murmurze?

- Ech, kobiety! Czego się dla nich nie robi! - wycharczał demon - Zgoda.

Nakarm mistrzu moich giermków i będziemy kwita! - To powiedziawszy wziął panią Gomory pod rękę i odwrócił się do całej czwórki tyłem. Zniknęli, zanim ponowne fanfary skończyły fałszywą melodię. Po chwili pozostali już tylko giermkowie czarnego rycerza oczekujący na obiecany poczęstunek.

- No, duchy, lubicie ciasto? Cała blacha wasza! - oznajmił radośnie Drugi i rzucił w kierunku mgły blachę z ciastem autorstwa hrabiny Charlotty... Po chwili obłok zrzędł, natomiast w miejscu mgły pozostała tylko pusta blacha.

"... a gdybyście były nieposłuszne, skażę was na tysiąc lat męczarni będących karą dla każdego z was, który by w całości nie uznał mocy Wszechwiecznego i jego przykazań."

Pierwszy dokończył inwokację końcową zamykając portal pomiędzy światami, jednocześnie mgła nad trójkątem zrobiła się jeszcze rzadsza. Gdzieś z zaświatów dochodziły odgłosy diabelskiego rzygania.

- Dobrze, że to na nas nie trafiło! - skwitował Trzeci i otarł pot z czoła.

- Chodzi ci o szarlotkę Charlotty? - upewniła się czarownica.

- Hm – skrzywił się Grubcio. - Dobra, możemy bezpiecznie opuścić nasze kręgi. Lynn, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. I oby zadziało!

- Wiem. Oby!

- ...a póki co – wtrącił Pierwszy. - zapraszam was na lody do Clicklego.

* * * * *

- Hmmmm.... też specjalny gość? - upewniał się monsieur Clickle, który ostatnio awansował na "monsieura Clickle", a to za sprawą niecodziennych zdarzeń w cukierni, o których wspominał nawet „Goniec restauracyjny”.

- Ależ drogi panie! Z nami przychodzą tylko specjaliści goście! - z lekkim uśmiechem zaoponował Pierwszy. – Dyplomowana czarownica, voila!

- No niech będzie – mruknął monsieur Clickle. - Tylko mam prośbę: może dla odmiany niech pański dobrze zbudowany przyjaciel nie próbuje odlatywać tym swoim ciężkim lotem sprzed cukierni. Ostatnio jak to zrobił, klienci gadali, że ciężko mu idzie, bo coś mu siadło na żołądku, jeżeli wie pan co mam na myśli...

Było już popołudnie, upał zelżał, lecz jeszcze dawał się we znaki. Szczególnie pewnemu robotnikowi na rusztowaniu. Ale czego tu wymagać od umysłu, który pływa w otocze z kondensatu piwnego? Nic, i to jest piękne! Tak ciężko spracowany, piękny umysł ma prawo cierpieć w upale. I cierpiał! Byli jednak na tym świecie i tacy, którzy nie cierpieli. No, może troszeczkę, ale to tylko z czystej i niepohamowanej ciekawości. Jedynym lekarstwem w takiej sytuacji okazała się być szklana kula Trzeciego.

- No Grubciu, pokaż co trafisz zdziałać tym cackiem!

- Uwaga! - rzekł z powagą Trzeci kładąc z namaszczeniem na stole zielony atlas, na nim zaś szklaną kulę. - Proszę o fanfary!

- Och, fanfary dla fujary! - rechotał Drugi, bo w tym akurat momencie kula pokazała wielkiego, czarnego kruką, który wlatywał do biura agencji czarowniczej i wbijał się dziobem w szafę.

- Cholera, przepraszam – mruknął odrobinę zmieszany czarownik. - Przez przypadek potarłem moja małą ślicznotkę rękawem.

- No! I taki bebol ci wyszedł...!

- Ale to było bardzo dobre - odezwała się roześmiana Lynn. – Świetne wejście, Grubciu!

- Złotko, takich scen, a może i jeszcze lepszych, to możesz widzieć na kopy w ciągu jednego dnia, i to na żywo! - rechotał dalej Drugi.

- Cicho dzieciaki! - Pierwszy jak zwykle był stanowczy, chociaż i jego bawiły osławione loty Trzeciego. - Grubciu, daj wzmocnienie wizji.

Trzeci potarł czule kulę, przy czym muśnięcie było tak delikatne, że prawie nieodczuwalne. Kula zrobiła się cieliście różowa, ukazując na samym szczycie nabrzmiałego sutka. Gdzieś poniżej widniał malutki tatuaż przedstawiający cień kota.

- Hej, to moje! - wrzasnęła zaskoczona czarownica zasłaniając odruchowo piersi.

- Dziewięćdziesiąt, sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt! - odruchowo wymamrotał Pierwszy zahipnotyzowany widokiem. - Ależ Lynn, to nie twoje, tylko brudne myśli jaśnie pana zastępcy kierownika - sprostował Trzeci z uśmiechem od ucha do ucha.

- Świntuch! - rzuciła dziewczyna Drugiemu, który akurat zapragnął się odrobinę zaczerwienić.

- No to może byśmy już zajrzeli profesorowi do snów? – zaproponował mistrz.

- Szefie, co tylko każesz!

- Chwila, nic nie widać... – zaoponował vice.

- Bo pan jajogłowy dopiero zasypia - wyjaśnił Trzeci.

- Skąd ty to wiesz? - Lynn była zaskoczona.

- Po odcieniu szarości kuli oraz po falistych załamaniach Trickelmana w

dolnej części nasady kuli – wyjaśnił czarownik. - Proste!
- O, patrzcie, coś się zaczyna roić! Second, podaj słone paluszki!
Drugi odwrócił się podając każdemu wielki, tekturowy kubek.
- Paluszki to przeżytek! – mruknął odkorkowując papierową pokrywę. – Szef kuchni poleca popcorn, porcja iks-iks-el!
Profesora zmorzył sen.

* * * * *

Wielka jest mądrość ludzka, jak niepodzielne jest panowanie człowieka we Wszechświecie. Tysiące lat zastanawialiśmy się, czy aby opłacalne jest zejście z drzewa i chodzenie na dwóch kończynach tylnych w pozycji wyprostowanej, aż po wielowiekowych kalkulacjach zdecydowaliśmy się na milowy krok w historii ludzkości. Krok z drzewa na ziemię. A potem? Gnani przez świat o głodzie i chłódzie wydzieraliśmy przyrodzie jej tajemnice.

Początkowo nieśmiało penetrowaliśmy najbliższe otoczenie, później rozpełzliśmy się po naszej starej matce Ziemi niczym robactwo. Od wieków bogobojni, zaczęliśmy dostrzegać człowieka, jego piękno, potęgę rozumu. Upadały kolejne imperia, zrzucani byli z piedestału kolejni bogowie. Człowiek jednak pozostał przekonany, że mimo wszystko jest jakaś istota nadrzędna mająca wpływ na jego krótkie, plugawe życie, więc modlił się i składał ofiary. Coraz rzadziej, aż w końcu stał się panem własnego losu. A dlaczego by nie? Wszak wszystko, co przez ludzi, jest dla ludzi i "...nic co ludzkie nie jest mi obce." I znów ludzka megaświadomość ustępowała lękowi przed Wszechmocnym Nieznanym. Ale był to pierwszy i ostatni taki pokłon. Po upadku człowiek, tak jak mityczny Atlas, powstawał coraz to silniejszy. "Państwo to ja"- mawiał. Próbuując wyjaśnić tajniki przyrody stworzył przez przypadek fizykę, biologię, chemię. Budował maszyny, coraz doskonalsze, coraz bardziej skomplikowane i coraz bardziej zabójcze. I stało się najgorsze: miejsce Wszechmocnego zajął człowiek, ten sam, który dopiero zszedł z drzewa i stanął na dwóch nogach. Ten właśnie człowiek stworzył własną metafizykę, doskonalszą od innych tylko dlatego, że to właśnie on zajmował w niej centralne miejsce. Człowiek stał się i zapomniał, że gdzieś we wszechświecie, tak samo jak gdzieś w jego wnętrzu, walczą ze sobą moce dobra i zła, potężniejsze niż wszystko, co do tej pory poznał.

* * * * *

- Profesorze, mam coś! - oznajmił radośnie zachrypnięty głos, dobiegający gdzieś z głębi czarnego dołu, wykopanego niechybnie ludzką ręką w podłożu.
- No a nie mówiłem? Interpretacja! – triumf staruszka był oczywisty. - Grunt, to dobra interpretacja! No jesteś już? Dawaj chłopcze rękę - profesor przyklęknął

na krawędzi dwuipółmetrowej dziury. Mimo swoich lat, potężnym szarpnięciem niemalże wyrwał swojego młodego asystenta z czeluści wykopu na sam brzeg. Radość i emocje dodawały mu sił. Siedem lat szukał, siedem zawszonych lat! Aż wreszcie wczoraj natrafił na miejsce, które kiedyś w zamierzchłej przeszłości, mogło wyglądać tak, jak to opisane w "Biblii".
- Wiedziałem chłopcze, wiedziałem! No, pokaż jak to wygląda!...

* * * * *

---A więc jak panowie widzą, na podstawie krótkiej wzmianki dokonaliśmy epokowego odkrycia, dowodząc tym samym, że "Biblia" jest w większości oparta na faktach historycznych – mikrofon lekko zaskrzeczał, lecz po chwili profesor mógł dalej kontynuować swoją tyradę przed rojem chciwych sensacji dziennikarzy.

- To, co znaleźliśmy, nie jest wprawdzie obiektem naszych poszukiwań, ale jak wiadomo, przekaz ustny, a takim niewątpliwie była pierwotnie "Biblia", ulega zniekształceniom. Największym jednak odkryciem jest fakt, że starożytni znali sztuczny kamień, że się odważę tu użyć określenia 'beton'. Mam nadzieję, że większość z panów oglądała już cylinder? Otóż po jego przekrojeniu, okazało się, że wewnątrz skorodowanego, boksytowego walca jest umieszczony drugi, o wiele mniejszy, pomiędzy nimi zaś coś w rodzaju betonu. Jest on lżejszy od obecnie stosowanego i zawiera wiele mineralnych domieszek, co przecież jest logiczne, zważywszy na fakt stosowania superplastyfikatorów dopiero od stu dwudziestu lat. Jak się panowie domyślają, ów „beton” nie jest też tak wytrzymały, co nie znaczy, że starożytni byli zalani azjatycką tandetą. Po sali przetoczyła się fala śmiechu. Profesor poczekał, aż gwar umilknie i kontynuował.

- Wewnątrz wspomnianego cylindra znajdowała się krótka notatka sporządzona na cienkim skrawku kory drzewa sandałowego. Sentencja ta zapisana w języku staro aramejskim głosi, że co tysiąc lat będzie się rodzić mesjasz, lub demon wcielony co zgubę przyniesie, jeśli zostanie spełniona ofiara malhud. To ostatnie jest raczej nieprzetłumaczalne i oznaczać może ofiarę z niewinnej krwi. Osobliwa treść znalezionej zapisu stanowiła zapewne jedną z największych tajemnic wyroczni, wzniesionej na niemalże cztery tysiąclecia przed Chrystusem, na ruinach pradawnej świątyni, opisanej wielokrotnie w "Biblii". Być może nawet ta właśnie przepowiednia spowodowała tzw. rzeź niewinności dokonaną przez króla Heroda Wielkiego w czasie Wielkiego Spisu Powszechnego. Pozwolicie państwo, że nie będę zagłębiał się dalej w ten jakże pasjonujący temat, odsyłając zainteresowanych do lektury "Roczników" Józefa Flawiusza... Na dzisiejszą konferencję pozwoliłem sobie przynieść tylko ów wspomniany cylinder oraz komplet dokumentacji fotograficznej z wykopalisk. Proszę, proszę, mogą panowie go fotografować. Cylindryczny przedmiot wylądował na stole wywołując lawinę fleszy.

- Dokument, oto on, także jest już zabezpieczony. Jak panowie widza przedmiot ten jest jak najbardziej namacalny i stanowi on kolejny dowód, tym razem no to, że nie jestem "paranoicznym orangutanem", "szarlatanem", ani też "starym wariatem", jak to niektórzy z moich szanownych kolegów, także członków Katolickiego Towarzystwa Geograficznego, raczyło zauważyć na samym początku konferencji...

* * * * *

Niczym łuna gigantycznego pożaru rozkwitł na niebie warkocz komety. Owo ciało niebieskie szybujące tak blisko Ziemi pojawiło się znenacka. Ani astronomowie, ani ich teleskopy, nie zauważyli komety, aż do czasu, kiedy ta dała o sobie znać fajerwerkiem tysięcy ogni. Zabłysła tuż nad Atlantykiem i stopniowo z należnym sobie majestatem przesuwiała się w kierunku Afryki. Nieustannie śledzona przez zainteresowane strony, minęła spokojnie czarny kontynent i zgasła nad małą wioską Kath-al-Ahman. Zamieszkała przez uchodźców palestyńskich wioska posiadała jeden tylko, mały szpital, ufundowany zresztą przez społeczeństwo świata z datków zbieranych pieczołowicie przez Czerwony Krzyż. W ciągu pięciu godzin od momentu tego niezwyklego fenomenu na niebie, zostaje przerzucony do Kath-al-Ahman specjalny oddział do walki z terroryzmem, składający się w znakomitej większości z fanatyków ultrakatolickich pod dowództwem kapelana wojskowego, majora van Grava. W promieniu dziesięciu kilometrów od szpitala zostają zastrzeleni wszyscy buddyści, mahometanie, szyici oraz chrześcijanie podejrzani o kontakt z tzw. „siłami nieczystymi”. Zgodnie z instrukcją, ludność całego miasteczka zostaje zapędzona do kościoła, gdzie przebywać będzie aż do zakończenia operacji. W kościele wyładował także cały personel szpitala, jak się później okazało, niezastąpiony. Otoczony podwójnym kordonem szpital wyposażono w automaty strzelnicze, porozmieszczane we wszystkich korytarzach szpitala. Sprzężone z centralnym komputerem wewnątrz budynku bronić miały wstępu wszystkim śmiertelnikom. Ten sam komputer steruje też wszystkimi urządzeniami medycznymi oraz umieszczonym na dachu opancerzonym gravilotem. Jak stwierdził legat papieski, "...bezduszne maszyny są nieprzekupne..."

* * * * *

Do szpakowatego mężczyzny w mundurze i koloratce podbiegł żołnierz z wyhaftowanym czarnym krzyżem na rękawie.

- Panie majorze, melduję, że centrum gotowe! – przepisowy salut towarzyszył wyrzuconemu jednym tchem meldunkowi.

- Doskonale Varsteen. Jak wyniki badań? – major oddał honory oczekując szczegółów.

- Według diagnozera podczerwieni tylko jedna z czterech kobiet urodzi chłopca. Tak więc mamy stuprocentową pewność.
- Owszem, ale bądźcie czujni – przestrzegł oficer.
- Tak jest - lichy nie śpi!
- Uprzedźcie siostrę Barbarę, że za chwilę zamykamy obwód.
- Tak jest! – powtórzył żołnierz i pognął wzdłuż korytarza.

* * * * *

(BB TV, mecz Hiszpania – USA)

"...Przepraszamy państwa, ale dalszą relację ze spotkania Hiszpania - Stany Zjednoczone nadamy jutro o 17:30..."

- Cholera jasna! - wyrwało się w niejednym domu w Europie.

"...zgodnie z wcześniejszymi komunikatami o ewentualnych zmianach w programie, rozpoczynamy transmisję na żywo ze szpitala w Kath-al-Ahman..."

- K... mać! - poleciało w co drugim domu należącym do amatora futbolu.

"...wewnątrz budynku jest tylko jedna osoba, siostra Barbara ze zgromadzenia Sióstr Opiekunek Całunu, która będzie osobiście czuwać nad zdrowiem matki i dziecka. Widzą państwo obecnie salę, na której..." - obraz powoli się przesuwając

najnowocześniejsze zdobycze techniki medycznej. Objaśnienia nagle ustają, obraz się zmienia - to już teraz! Rodzi się cudowne nowe dzieciątko! W pełnym świetle lampy bakteriobójczej widać jak przy pomocy czterech skomplikowanych urządzeń automatycznych kierowanych elektronicznym mózgiem, przychodzi na świat kolejny, nieprzeciętny obywatel skazany z góry na sukces. Mały i nieporadny - jest w szoku. Oto oślepią go światło, odcinają go od matki. Pierwszy klaps i dziecko wybucha płaczem. Młoda zakonnica uśmiecha się... gdy wtem dwa mechaniczne ramiona obracają się w jej kierunku, łapią za nadgarstki unoszą w górę. Ramię operacyjne wyposażone w skalpel rozcina jej odzież. Kobieta krzyczy i próbuje się wyrwać, ale jej wysiłki zdają się być daremne. Z oddali słychać stłumiony nerwowy krzyk: "Przerwać transmisję, to idzie na cały świat!". Ale nic się dzieje i koszmarnie przedstawienie trwa nadal w milionach telewizorów na całym świecie. Ramię operacyjne precyzyjnym ciecikiem rozcina skórę między jędrnymi piersiami nagiej brunetki. Jeden z chwytaków zagłębia się w ranę by po chwili wyjąć z ociekających krwią zwłok jeszcze bijące serce. Przy wtórze dziecinnie prostej, ale przerażającej melodii, krew z serca zamordowanej dziewczyny kapie na leżące dziecko. Jedna ze strug gęstej purpury rozlała się na kształt upiornej ręki. Gdzieś z zewnątrz budynku słychać potworne wycie, przez które przebija się jeden silniejszy głos: "ZABIĆ ANTYCHRYSTA!".

Rozlegają się pierwsze strzały. Tymczasem miazga, która jeszcze minutę temu była sercem młodej kobiety, pada ciśnięta na posadzkę obok zwłok zakonnicy. Horror powoli ustępuje filmowi wojennemu, a transmisja trwa nadal. Automaty

strzelnicze skutecznie odpierają ataki komandosów. Tymczasem dziecko jest już w grawilocie. Seria wybuchów oznajmia koniec automatów strzelniczych, do Sali wdzierają się żołnierze. Ale za późno! Graviłot wystartował. Do sali wchodzi major w mundurze i koloratce. Wkłada klucz do konsoli zabezpieczeń, wprowadza kod dostępu. Otwiera się mały terminal z podstawową klawiaturą. Wszechmocna maszyna gotowa jest do dialogu z człowiekiem...

"PODAJ KURS GRV CRSS-234D" (enter)

"dane zastrzeżone"

"WYKONAĆ PROCEDURĘ AUTODESTRUKCJI" (enter)

"proszę wprowadzić kody dostępu do poziomu trzeciego"

"VAN GRAV OPERACJA 'BETLEJEM' 777" (enter)

"niewłaściwy kod. dostęp procedury zablokowany"

"AKTYWACJA POZIOMU DRUGIEGO" (enter)

"gotów"

"ZAWRÓCIĆ GRV CRSS-234D NA MIEJSCE STARTU" (enter)

"możliwe dopiero po ukazaniu się planszy końcowej"

"PODAJ NAZWĘ PROCEDURY" (enter)

"satan"

Major nerwowo wciska ENTER. Po chwili na ekranie pojawia się plansza do popularnej gry w szachy. Sytuacja białych jest tragiczna. Czarna królowa przesuwa się majestatycznie na E5, aby zadać białym cios ostateczny. Szachmat! Szachownica po chwili znika, pojawia się mały diabełek z widłami. Diabełek radośnie podskakuje fikuśnie potrząsając widłami. Obok pulsujący napis oznajmia:

I WON
GAME OVER

Gdzieś w oddali słychać pojedynczy strzał.

* * * * *

Jak po każdej wojnie, świat się odradza bardzo powoli. Im większe zniszczenia, tym wolniej ten proces przebiega. Nie było zwycięzcy; wszyscy zostali pokonani. Na świecie pozostało niewielu ludzi, z jeszcze mniejszymi środkami na odbudowę czegokolwiek. Wtedy to wszechwładny kościół wystąpił o zniesienie państw jako instytucji wysoce nierentownych. Stopniowo duchowni przejmowali władzę, aż opanowali całą Europę. Wielkim nakładem pracy wiernych kościół odbudował swoją potęgę tworząc nowy, piękny świat, który nie był aż tak skomplikowany. Z jednej strony stała mniejszość kapłanów, mała armia najwybitniejszych umysłów tworzących nową cywilizację naukowo techniczną, z drugiej strony zaś prości ludzie z lepianek, zacofani i bogobojni prawie tak, jak w średniowieczu.

* * * * *

Przez heksagonalny dziedziniec Zgromadzenia Klasztornego sunęła majestatycznie wysoka postać w ciemnozielonym habicie. Wiatr powiewał leniwie unosząc ze sobą, jakby od niechcenia, opadnięte liście.

- Bracie Olafie! Bracie Olafie! - rozległo się gdzieś między arkadami. Wysoka postać przystanęła i odwróciła się.

- Aaaa... brat Bernard! Niech będzie sławione Imię Pańskie. Cóż za niespodzianka! Dobry Boże, toż to z brata wyrósł kanonik, jak się patrzy!

- Wie brat, takie wyprawy służą zdrowiu...

- Jakież to wyprawy? Słyszałem, że brata przenieśli na Pomorze.

- To brat nic nie wie? Chodźmy do biblioteki, to zaraz wszystko opowiem.

Obie zakapturzone postacie zniknęły w drzwiach pod arkadami. W bibliotece klasztornej jak zwykle panował półmrok. Młodszy z zakonników zapalił świece w bibliotecznym kandelabrze.

- Byłem z wyprawą archeologiczną na pobliskich terenach mitycznych Hanysów. Pierwsza wyprawa natknęła się na rozbudowany kompleks miejski. Pisali o tym w "Tygodniku Pobożnym". Moja grupa zajęła się badaniem rozbitego budynku, prawdopodobnie sakralnego.

Brat Bernard zamyślił się.

- Studiowałem, co prawda, historię architektury sakralnej, ale z podobnym rozwiązaniem technicznym budynku spotkałem się po raz pierwszy. Budowla ta, umieszczona w centrum kompleksu, była swego czasu olbrzymią halą w kształcie zbliżona do dwóch złączonych ze sobą talerzy. Wyobraża sobie brat?

- Faktycznie, dość osobliwy kształt. Jakże to mogło się utrzymać?

- I to jest najdziwniejsze: częściowo utrzymuje się do dziś! Dolny i górny spodek składają się ze stalowych elementów nośnych połączonych ze sobą przegubami. Całość napinały liny zakotwione u podstawy dolnego elementu, natomiast zwieńczeniem całości konstrukcji był gigantyczny blok betonowy

napinający wszystkie liny. Genialna konstrukcja!

- Taaak. Nasuwa mi się jedna myśl: Jeżeli obiekt jest położony w centrum kompleksu, mógł spełniać rolę budynku administracyjnego.

- I ma brat rację - odparł młody zakonnik z uśmiechem. – Nasza ekipa też początkowo przyjęła taka możliwość za pewnik, ale z błędu wyprowadziła nas zbyt duża ilość miejsc dla ludzi wewnątrz oraz podest, najprawdopodobniej pozostałość po rozkradzionym ołtarzu...

Grabieżcy świątyń są ponadczasowi!

- A więc jednak świątynia! – przyznał zakonnik z niemałym zdziwieniem

- A tak. Ale niech brat poczeka z osądami; gdy weszliśmy do środka, w pięć osób, ma się rozumieć, gdyż reszta grupy zabezpieczała wykop i wyłom w murze, natknęliśmy się na kilka interesujących rzeczy. Pierwszą była szata, rodzaj krótkiego kaftana sięgającego tylko do pasa, uszytego z czarnego, sztywnego materiału. Na rękawie widniał naszyty emblemat z napisami w stylu "MELATICCA", czy jakoś tak.

- Ależ to słowo nic mi nie mówi... – braciszek uniósł ręce do nieba we wszystko mówiącym geście.

- Wiem. Łacina to raczej nie jest, ale komisyjnie doszliśmy do wniosku, że może to słowo pochodzić z języka mitycznych Hanysów – przyznał młodzian, - Sam kaftan mógł należeć do jakiegoś ważnego funkcjonariusza państwowego. A napis? „Melattica” i „miliccyja” brzmią trochę podobnie...

- No dobrze, a te inne rewelacje? – spytał zakonnik.

- Tak, zapomniałbym o tym! Oprócz tego było tam mnóstwo dużych, kolorowych obrazów, niestety mocno nadniszczonych przez czas. Przedstawiają one prawdopodobnie kapłanów, lub ludzi najbardziej zasłużonych dla wiary. Co najciekawsze – wszyscy bez wyjątku byli mężczyznami o długich włosach.

- Osobliwe - rzucił brat Olaf dodając po chwili. - Ale to sugerowałoby, że budynek był świątynia religii wywodzącej się ze wschodu. I to dalekiego wschodu...

- Niestety, wszystkie te przedmioty musiałem oddać komisji kierownictwa wyprawy...

Brat Olaf zrobił zdziwioną minę. Po chwili uśmiechnął się i porozumiewawczo zmrużył oko.

- Musiałbym brata nie znać. Oczywiście, że brat oddał je wszystkie - powiedział głośno, lecz po chwili dodał szeptem, tak, aby nikt ich nie słyszał. - Co to jest?

- Srebrny krążek z dziurą w środku - odparł brat Bernard, również szeptem.

- Duży?

- Taki duży - zademonstrował składając dłonie tak, aby utworzyły okrąg, przy czym ze sobą stykały się tylko kciuki oraz palce środkowe.

- Chodźmy, dzwonią na wieczorne nieszpory. Zapraszam brata na modlitwę nocną do krypty Św. Marka. Przyjdzie brat?

- Ależ oczywiście - odparł uśmiechnięty brat Bernard.

Dzwon wzywał coraz głośniejsze.

W krypcie panował mrok. Dookoła majaczyły zarysy poukładanych trumien - tu byli pochowani wszyscy ci bracia, którzy tworzyli potęgę i chwałę kościoła przez ostatnie dziesięciolecia.

- Niech będzie sławione Imię Pańskie! - młody zakonnik wyszeptał słowa powitania w ciemność.

- Na wieki wieków, amen - odpowiedział głos z ciemności. - Czekałem na brata...

- Och, zechce mi brat odpuścić moje spóźnienie.

- Nie ma o czym mówić.

- Czy mógłbym... – chciał o coś zapytać, ale nie dokończył.

- Ciiiiii.....! – przerwał brat Olaf.

- Co brat robi?

- Sprawdziłem, czy ktoś życzliwy nie przypiął bratu małej niespodzianki do habitu.

- Jak to? – zdziwił się zakonnik.

- Stara sztuczka Inkwizycji - odpowiedział z mroku brat Olaf.

- I jak?

- Jest brat czysty. Na wszelki wypadek jednak wołałem sprawdzić. Źle by było, gdyby ktoś nas podsłuchiwał – usłużna dłoń skierowała zakonnika w promyk wątego światła wpadającego przez lufcik z kaplicy.

- Ma brat całkowitą słuszość.

Brat Olaf nachylił się ku swojemu rozmówcy.

- Czy mógłbym obejrzeć ten przedmiot?

- Proszę, oto on – przez chwilę w widmowym świetle zamajaczył srebrzysty dysk.

- Taaak. To może być to - odparł zakonnik z nadzieją w głosie.

- Co?

- To - podniósł do góry mały, srebrny krążek z dziurą w środku.

Nawet w mdłym i rozmytym świetle świec krążek dawał niesamowity odbłask mieniąc się wszystkimi barwami tęczy.

- Wiec co to jest według brata?

- Brat Bob opowiadał mi, że przed laty ludzie na takich dyskach przy pomocy światła zapisywali swoje przesłanie dla innych – padło wyjaśnienie.

- Hmmmm... faktycznie, na tym przedmiocie coś pisze. Zapalę świecę, będzie lepiej widać.

Wnet w krypcie zrobiło się jaśniej. Starszy zakonnik nałożył szkła optyczne.

- Faktycznie, na odwrocie lustra jest coś napisane... "compact disc stereo....

Testator ... Ostatnia Wersja Prawdy..."

- "Ostatnia wersja prawdy"? - zdziwił się mnich. - Język podobny do dialektu ludzi z lepianek.

- Bardzo prawdopodobne. Nie znam go aż tak dobrze. Niech mi brat pożyczy

ten przedmiot. Chciałbym go zbadać dokładniej.

- Proszę bardzo - twarz młodego mnicha wyrażała jednak niepokój; wszak przedmiot był zabrany z wykopalisk, a za takie wykroczenie groziła w najlepszym wypadku ekskomunika.

- Bracie Bernardzie, spotkajmy się jutro o tej samej porze.

- Ależ to będzie Boże Ciało! - oburzył się młodzieniec.

- Właśnie: nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Tutaj?

- Miejsce jest bardzo dobre - uśmiechnął się brat Olaf. - W razie kłopotów zawsze można się wytłumaczyć modlitwą za zmarłych braci.

* * * * *

Uroczystości przebiegały zgodnie z planem. Procesja, modlitwy, msza... W kaplicy Św. Marka jak zwykle panował mrok.

- Brat Olaf?

- Tak, szybciej na Boga!

Dwie ciemne postacie przemknęły pomiędzy ciasno upakowanymi trumnami. Skrzypnęły zawiasy, ciężko opadł rygiel.

- Witaj Bernardzie – mrok katakumb rozświetlił płomień świecy.

- Bracie Bernardzie, obowiązuje nas reguła zakonna.

- Nie - wyjaśnił stary mnich - Bratem byłeś tam, u góry. Tu wszyscy są równi. Zobacz wszędzie trumny. Jesteśmy w zapomnianej krypcie bez patrona. Za ostatnią trumną jest wejście do mojego sekretnego laboratorium...

Oparta o ścianę trumna odsunęła się na bok.

- Nikt w nim nie był od lat. Oprócz mnie, oczywiście – wszyscy inni boją się nawet zapuszczać do zapomnianej krypty.

- Bra.... Olaf, czy to aby nie jest sprzeczne z regułami zakonu?

- A ukrywanie przedmiotu z wykopalisk nie jest zabronione? – zauważył mnich.

- Mój drogi, teraz jesteśmy po tej samej stronie barykady. Wejdź proszę do sali...

Oczom zdziwionego Bernarda ukazały się rzędy różnych urządzeń. Żadnego z nich nawet w życiu na oczy nie widział!

- Boże, do czego te wszystkie urządzenia?

- Dowiesz się w swoim czasie. A teraz chodź.

Podeszli do prostokątnej skrzyni z mnóstwem kolorowych światełek.

- A teraz obejrzyj sobie swój krążek. Na czymś takim dawni ludzie zapisywali swoje myśli, dokonania, muzykę... Muzykę najczęściej. Muzykę, przy której bawili się i byli szczęśliwi. Ale to nie tylko muzyka - ten krążek to raczej filozofia, nowa droga dla nas wszystkich. Naprawiłem stare urządzenie do odczytu. Dostałem je za dwa bochenki chleba od jednego z ludzi z lepiarek... Młodzieniec słuchał z niedowierzaniem.

- Słuchał brat już tego?

- Tak, wielokrotnie – powaga starego mnicha przyprawiała Bernarda o dreszcze.
- Czy to aby dobre dla nas... no słuchać tego.
- Ach, ja z przyjemnością posłucham raz jeszcze!
- Ale czy... – młodzieniec chciał coś dodać jeszcze, ale stary gestem nakazał milczenie.
- Posłuchaj tylko - Olaf włożył krążek do skrzynki i nacisnął jeden z podświetlanych przycisków. Z małego spodeczka popłynęła ostra muzyka...

"...dlaczego zdradziłaś
matko nowej wiary..."

- Nie! Muzyka służy szatanowi do otumaniania i kuszenia ludzi!
- Zgoda - odparł dobrodusznie Olaf. - Ale chyba masz na tyle silnej woli, aby się tej pokusie przeciwstawić? Szatan nigdy z nami nie wygra!

"...świeżą krwią rękojeść spływa
iskry sypią się z oczu
nie chciałeś, Panie, nikogo zabijać
Bierut, Stalin, pokój!..."

- Co mogą oznaczać słowa „Bierut” i „Stalin”?
- W bibliotece znalazłem wzmiankę, że są to symbole terroru świeckiego, najgorszego ze wszystkich.

"...kto z was nie zdradził
i jest bez grzechu
wobec drugiego bez winy
niech weźmie kamień
wyważy w dłoni
i ciśnie w twarz tej dziewczyny..."

Brat Bernard milczał trawiając każde słowo tekstu utworów.

- Czy rozumiesz na tyle dobrze miejscowy dialekt ludzi z lepianek, aby wiedzieć o czym śpiewa ten człowiek?
- Tak, to był fragment "Biblii", tylko inaczej...

"...najświętszym spośród świętych
w swej mądrości pozostanie
najbardziej przez los dotknięty
na wieki wieków, amen!

wyrok podpisany
boska chwała czeka

Judasz jest skazany
na zdradę człowieka..."

- Boże! - przerażony Bernard zbladł. - Zupełnie inna interpretacja!
- Taaak - przytaknął stary mnich. - grunt to dobra interpretacja... Jakbym to już
gdzieś słyszał.

"...Piotr się uśmiecha
Judasz powieszony
sąd się odbywa
nad bogiem zdradzonym..."

- Ale...
- Cicho, wstrzymaj emocje i wysłuchaj do końca...

"...nikt nie ma trzech postaci
co najwyżej trzy imiona
w zapewnieniach czas stracony
każda piękna jest palona
głupcy biją wciąż pokłony

lecz nadejdzie piękny dzień
gdy świątynia runie w gruz
czarny kapłan zginie w niej
zginie także martwy Bóg

heros zdrajcą obwołany
wielu uczniów ich uczniowie
przez stulecia mordowali
tłum milionów oszukanych
nigdy prawdy się nie dowie
czemu oni oszukali

lecz nadejdzie piękny dzień
co obali boski mit
zniknie krzyża czarny cień
czas zamieni wszystko w pył..."

- Szokujące? - pytanie było retoryczne. Olaf odwrócił się aby przełączyć coś
przy czarnej skrzynce. Muzyka natychmiast się zmieniła.
- No to posłuchaj ostatniego utworu...

"...tyś największym despota

choć obiecujesz zbawienie
kierujesz naszą głupotą
z tobą przychodzi zniszczenie

wszystko do końca ukartowałeś
począłeś swój boski klan
grzechom, radościom nas przypisałeś
stworzyłeś swój boski plan

i sądzisz nas za to po śmierci
za boską niedoskonałość..."

- Dziwne to! – przyznał młody mnich coraz bardziej zafascynowany dźwiękami
ze srebrnego krążka.

- Słuchaj braciszku uważnie...

"...ślepy los mną kieruje
jak i tobą bracie
w legendę wierzycie
prawdy nie znacie

nie wierzcie czarnym kapłanom
wrzućcie znak krzyża do ognia
idźcie do domów, śpijcie spokojnie
Bóg o was wszystkich zapomniał..."

Muzyka ustała. Zapadła cisza.

- Milczysz? - Olaf wstał i podszedł do ściany z regałami mieszczącymi różne
dziwne urządzenia.

- Podejdź tu, Bernardzie. Chcę coś zmierzyć.

- Usiąść? – spytał młody mnich.

- Jak chcesz.

Wyjął dwa przewody i połączył z małym urządzeniem wyposażonym we
wskazówkę.

- Bernardzie, ile liczysz wiosen?

- Według dokumentów biskupich aż 26.

- Można by rzec: powód do dumy. Ale popatrz. Ludzie, którzy przeżyli dawny
kataklizm mają większą dawkę zabójczych fluidów w całym ciele. Oczywiście z
wiekiem to zanika, ale my, zwykli śmiertelnicy, nie żyjemy aż tak długo...

Wskazówka małego przyrządu wychyliła się aż do trzech czwartych skali.

- Czy wiesz, co to oznacza, młodzieńcze? – spytał brat Olaf.

- ???

- Że urodziłeś się jeszcze przed zagładą! Jesteś dużo starszy ode mnie!

Bernard poderwał się z krzesła.

- Ależ to niemożliwe!

- Och, zawsze, od kiedy cię znam, wyglądałeś młodo. To dlatego tak często zmieniają ci przydziały klasztorne...

- To prawda. Nigdy nie jest mi dane osiąść w jednym zborze na dłużej.

Tym razem Olaf wstał i podszedł do regału z księgami.

- I jesteś jedynym, który nie ma daty przyjścia na świat w swojej karcie pobożności.

- Zaiste! – wykrzyknął zakonnik przypominając sobie braki w dokumentach.

- Czy pamiętasz może powiastki starszych braci o starym Bobie, który podobnie jak i ty zbyt długo miejsca nie zagrzał w żadnym z klasztorów?

- Tak, coś mi się o uszy obilo... – mnich nie był pewien starych wspomnień.

Olaf zapalił fajkę wyciągniętą z pomiędzy książek i zaciągnął się mocno aromatycznym dymem.

- Stary brat Bob opowiadał kiedyś, jak to na krótko przed wojną uczestniczył w sekretnej misji. Ktoś zdradził, w wyniku czego została zamordowana zakonnica, zginęło kilku żołnierzy, a dowódca popełnił samobójstwo. Na dodatek porwane zostało cudowne dziecko, które miało stać się nowym mesjaszem. Podobno pojazd, którym zostało uprowadzone został unicestwiony za pomocą Trąb Jerycha o mocnych głowicach... Bob przed wojną nazywał się Varsteen i był przyjacielem nieszczęsnego dowódcy. Opowiadał mi, jak to w pamięci utkwił mu szczególnie jeden fakt: została złożona ofiara z krwi nad dzieckiem. Z bijącego serca młodej kobiety - dziewicy ...

- To okropne! Nie będę... – oburzył się mnich i z płomiennym licem skierował się do wyjścia.

- Poczekaj - uspokoił go Olaf. - Więc z bijącego serca młodej kobiety została wyciśnięta krew na pierś noworodka. Krew utworzyła plamę na kształt rozłożonej dłoni...

- Nie! To niemożliwe! – krzyknął Bernard. - Stary Bob był wariatem! Za to go przecież spaliła Święta Inkwizycja!

- Nie. Bob zginął, bo za dużo wiedział – Olaf wypuścił kłęb dymu. - Nie wierzysz tym opowiastkom? Zdejmij habit i obejrzyj plamę na własnej piersi!

* * * * *

W czasie porannej modlitwy do brata Bernarda przysiadł się wysoki zakonnik w średnim wieku. Jego szary habit zdradzał, że ślubował on ubóstwo i uczciwość.

- Niech będzie sławione Imię Pańskie:

- Na wieki wieków, amen - przywitał się Bernard. - Witam bracie Konradzie. Z czym brat do mnie przychodzi?

- Czy... ławy są bezpieczne? - zapytał mnich niepewnie pokazując na gładź surowego drewna.

- Tak. To jedno z niewielu bezpiecznych miejsc w klasztorze.

Twarz brata Konrada była bardzo poważna.

- Czy brat był przyjacielem brata Olafa?

- Hmmmm....- zamyślił się Bernard. - Tak, można tak powiedzieć. Jestem nim nadal.

- Brat Olaf nie żyje.

- Co?! – młody mnich poderwał się z ławy.

- Został ukrzyżowany wczoraj. Przyłapano go z jakimś tajemniczym przedmiotem z wykopalisk. Torturowali go, ale nic nie powiedział. Wie brat jak to jest - lepiej nie ufać zbytnio Inkwizycji. Ze swoich źródeł jednak wiem, że ten przedmiot był tylko pretekstem do usunięcia brata Olafa...

- Nie rozumiem...- wyznał szczerze brat Bernard.

- Sprawa dotyczyła jeszcze brata Roberta zwanego Bobem.

Nagle wszystko stało się jasne! Brat Olaf nie kłamał, a ci, którzy wiedzieli zbyt dużo, byli usuwani.

- Ach, więc to tak! Czy Inkwizycyjni znaleźli laboratorium brata Olafa?

- Nie – przyznał Konrad. - I ja także nigdy tam nie byłem, ale brat Olaf wiele mi o nim opowiadał.

- Ja wiem, gdzie ono jest. Bracie Konradzie, czy brat Olaf miał więcej "przyjaciół"?

Konrad zamyślił się na chwilę.

- Razem z nami będzie trzynastu - odparł.

- Wspaniale! Posłuchaj teraz - złożył ręce jak do modlitwy i uklęknął nadal mówiąc półszeptem. - Spotkamy się dziś po północy w podziemiach pod boczną nawą, w krypcie kaplicy Św. Marka. Proszę cię, abyś przyprowadził pozostałych braci.

- Dobrze, ale jak się rozpoznamy w nocy? Ktoś z nas może wpaść na patrol Inkwizycji.

- Wątpliwe, ale dla bezpieczeństwa ustalmy hasło. Niech będzie „COMPACT DISC”, odzew: „STEREO”.

Mówiąc te słowa brat Bernard powstał, wyszedł z ławki, przyklęknął, przeżegnał się i odszedł zamyślony.

* * * * *

Przez ciemne korytarze przedzierała się spora grupka mnichów. Co jakiś czas jeden z nich potykał się o przeszkody ukryte w mroku. Właśnie zegar na wieży kościoła przestał wybijać północ, gdy dotarli do kaplicy Św. Marka.

- Chryste Panie! - przerażony głos z ciemności wcale nie był aż tak głośny. - Tu są same trumny!

- Cicho! - ten głos należał do brata Konrada. - Bracie Narcyzie, uspokój brata Norberta. Ktoś tu jest? Hasło!

- Compact disc. Odzew?

- Stereo. Witaj bracie Bernardzie.

- W tym miejscu tylko Bernardzie. Tu wszyscy jesteśmy równi – tako orzekł Olaf i niech tak już zostanie. Wejdźcie proszę za mną. Za tą ostatnią sterta trumien jest kilka postawionych pionowo. Ostatnią należy otworzyć i odwrócić czaszkę w lewo... o właśnie tak. Wchodźcie proszę do środka.

Mnisi weszli do tajnego laboratorium. Po chwili trumna zasunęła się sama przywracając pierwotny mrok krypty. Tymczasem wewnątrz sekretnych pomieszczeń mnisi zasiedli na posadzce wokół Bernarda.

- Bracia, przyprowadziłem was tutaj po to, aby kontynuować dzieło Olafa i pokazać wam to, co jest zakazane przez kościół jako narzędzie szatana; po to, aby udostępnić wam rzeczy skrupulatnie gromadzone na przestrzeni lat przez naszego wspólnego przyjaciela, świętej pamięci brata Olafa, oraz po to, aby was przekonać do walki, jaką zamierzam wkrótce podjąć...

* * * * *

Do laboratorium wbiegł zdyszany Konrad.

- Bernard! Bernard! Klasztor jest już w naszych rękach! Większość braci nas popiera, reszta jest z nami tylko duchowo...

- Dobre i to - z uśmiechem odparł mnich. - Mów, co się stało.

- Zdobyliśmy ostatni bastion Inkwizycji. Wyobraź sobie, że w prezbiterium była obszerna sala pełna dokumentów. Człowieku, to ich akta! Mamy teraz ich wszystkich w rękę! No, przynajmniej w Polsce.

- Świetna robota – wieść o sukcesie została przyjęta z uśmiechem. - Coś jeszcze?

- Odzyskaliśmy drogocenny „compact disc”!

- Bardzo dobrze - teraz Bernard był już naprawdę zadowolony. - No to już wkrótce wszyscy będą mogli wysłuchać tekstu o prawdzie. Ogłoś tę radosną nowinę.

Do sali wszedł wiecznie bojaźliwy Narcyz.

- Bernardzie, powrócił nasz negocjator, Marcin - skinął głową na powitanie.

- Ależ proś do środka. Nie każmy mu czekać!

- Bądź pozdrowiony, Bernardzie - krępy grubasek był raczej komiczny, niż poważny, jednakże to on był właśnie negocjatorem. Wynikało to choćby z faktu, że był on biegły w prawie oraz sztukach czytania i pisanie.

- I ja także pozdrawiam ciebie. Jakie nowiny?

- Ufff! Ależ te wozy pancerne są niewygodne! – grubasek poprawił zmięty habit

- Zawarłem tajne porozumienie z osiemnastoma klasztorami w całej Polsce.

Ostatni, dziewiętnasty, pozostaje neutralny. Wszyscy przeorowie nas poprą; z szesnastu wyparto już Inkwizycję.

- A prymas?

- To jest chyba najważniejsze. Prymas przychyliła się do twojej propozycji i łaskawie proponuje spotkanie na Łysej Górze w Starych Górach Świętego Krzyża.

- Fantastycznie! - podsumował Bernard. - Twoja misja to całkowity sukces! Wiele ci zawdzięczamy. Teraz odpocznij i zjedz coś, a o zmierzchu bądź w centrum. Chcę, aby wszyscy usłyszeli muzykę zapisaną na srebrnym krążku...

* * * * *

Spośród powykręcanych wiatrem drzew rozciągał się niesamowity widok na zbocza zasypane tysiącami kamieni. Na gołoborzu pojawił się tajemniczy cień, po chwili dołączył do niego drugi. Dwóch mężczyzn w powłóczystych szatach stanęło naprzeciw siebie na samym szczycie góry.

- Witam Eminencję - młody mężczyzna uśmiechnął się do swojego rozmówcy.

- Witaj synu - odwzajemnił serdeczność drugi. - Widzę, że oprócz tradycyjnego habitu nosisz nowe odzienie nie przewidziane regułą zakonu.

- Tak. Reguła czasami zbyt ogranicza. Jak wasza Eminencja widzi, taka krótka skórzana kurtka może być bardzo przyjazna w tak niesprzyjających warunkach pogodowych.

- Zaiste, ale przecież nie o odzieży nam dzisiaj tu rozprawiać – mruknął prymas.

- Zgodzę się z waszą Eminencją - z założonymi rękami do tyłu Bernard podszedł powoli do dostojnika. - Przejdziemy się?

- Z przyjemnością, mój synu.

- Jak waszej Eminencji wiadomo, stworzyłem nową metafizykę opartą na tekście sprzed wielkiej zagłady – przypomniał młodzieniec i z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął drobno zapisany zwój. - Oto moje postulaty, na piśmie oczywiście. Proszę waszą Eminencję o zapoznanie się z nimi. Poza tym jak waszej Eminencji wiadomo, wszystkie klasztory są za mną, więc jeżeli wasza Eminencja chce się utrzymać u złobu...

- Och, nie wulgaryzujmy tak sprawy! - obruszył się prymas.

- Ja też nie lubię nazywać rzeczy po imieniu – przyznał mnich. - Więc jak już wspomniałem, poparcie waszej Eminencji jest jak najbardziej pożądane w tym momencie. Dla dobra nas obu.

Dostojnik zatrzymał się na chwilę.

- Założmy, że przystaję na twoją szaloną propozycję; co ja z tego będę miał?

- Utrzyma wasza eminencja stanowisko i profity, z tym tylko wyjątkiem, że władze będę sprawował ja i moi apostołowie, a nie Inkwizycja. To chyba dobry układ?

- A co z Inkwizycją?

- Została rozbrojona... - Bernard zrobił krótką przerwę. - I oczywiście, wypędzona z kraju.

- Masz tu te swoje postulaty! - energicznym ruchem dostojnik wręczył zdumionemu mnichowi zwoje papirusów.

- Wasza Eminencja rezygnuje?...

- Broń Boże, umowa zawarta. Zapoznaj mnie tylko z grubsza z całą tą twoją

doktryną filozoficzną. Nie chce mi się tego wszystkiego czytać...

* * * * *

W laboratorium imienia Olafa wrzało jak w ulu. Zakonnicy wchodzili i wychodzili i trudno było powiedzieć przy takiej ilości osób, kto dopiero przybył, a kto już jest w pomieszczeniu od rana. Bernard cały czas siedział za biurkiem i pracowicie notował.

- Konradzie, pozwól, jeśli możesz.

- Słucham cię, o panie! - z błazeńskim ukłonem stanął przed swoim przywódcą Konrad.

- Przynajmniej ty byś się nie wygłupiał. Będziemy ustanawiać dekrety jego Eminencji księdza prymasa. Co ty na to?

- Pomysł dobry - pochwalił Konrad. - Tylko, że biedny ten nasz Eminencja: będzie to wszystko musiał jakoś przełknąć.

- Przecież i tak nie ma nic do gadania - Bernard zamyślił się głęboko. - A wiesz, że to i tak bez różnicy? Na dobrą sprawę, to on nigdy nie miał nic do gadania. Dobrze, to teraz ty pisz, boś biegleszy w sztuce pisania ode mnie, a ja podyktuję, później to przedyskutujemy z resztą apostołów.

- Gotowy - potwierdził apostoł Konrad.

- Primo: wszyscy ludzie są równi, mają równe prawa i obowiązki.

- Kler się na to nigdy nie zgodzi - podsumował skryba nie odrywając wzroku od pióra i zwoju papirusowego.

- Zauważ, że nie ma już kleru. Secundo: majątek kościoła ma być przeznaczony na odbudowę gospodarczą Polonii.

Zdziwienie mnicha nakazało mu aż przestać notować.

- Chcesz stworzyć państwo? Tu, w Europie? Kościół ci na to nie pozwoli!

- Słuchaj, jeśli ogłoszę te dekrety, to wszyscy, nawet ludzie z lepianek, skoczą za mną w ogień. Notuj łaskawie dalej. Tertio: zostaje zniesiony celibat.

- O, to brzmi dość sensownie.

- Tobie to tylko jedno w głowie! Quatro: byli zakonnicy mają od tej pory nauczać wśród ludzi z lepianek nauk ścisłych i humanistycznych; quinto: Polonia od tej pory staje się niezależna i ma status respublicy.

- Akurat oni wiedza co to jest respublica!

- Oj, szybko tego zasmakują, możesz mi wierzyć. Sexto: z ochotników zostanie utworzona armia narodowa – zakończył mnich.

- Bernardzie, a nie zapomniałeś o czymś?

- Słucham, oświeć mnie, jeśli łaska...

- A wyposażenie wojska?

Bernard uśmiechnął się promiennie.

- Został nam po pannie Inkwizycji całkiem pokaźny posag...

- A jak czegoś nam braknie? - wtrącił Narcyz.

- To nie jesteśmy w ciemiej bici; potrafimy chyba wytworzyć coś sami...?

Dobrze. Septimo: chrześcijaństwo przestaje być religią narodową. Bóg jest jeden, niezależnie od tego, czy jest dobry, czy zły i niezależnie od imienia nadanego mu przez wiernych...

- Amen - Konrad wstał i począł zwijać zwój papirusowy.

- Święta racja - zbyt dużo szczęścia na raz, to też niedobrze.

Zakonnik rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Wiesz, jednego jestem ciekaw: jak jego Eminencja przyjmie swoje dekrety...?

- Ależ drogi przyjacielu - Bernard poklepał go po ramieniu. - Nie zapominaj, że każdy kot, tym bardziej czarny, zawsze spada na cztery łapy.

* * * * *

Drzwi do biblioteki otwarły się na oścież. Do środka wkroczył starszy człowiek w powłóczystej, ozdobnej szacie.

- Witam w moich skromnych progach! - Bernard rozłożył ręce w geście powitalnym.

- Witaj Bernardzie. Oto pierwsze, prosto z drukarni wydanie naszej nowej konstytucji...

- Dziękuję waszej Eminencji. Ale czy warto się było fatygować?

- Tak naprawdę to mam jeden poważny problem...

- Usiądźmy - obydwaj zajęli miejsca przy stoliku bibliotecznym.

- Oczywiście, tak lepiej się rozmawia. Widzisz Bernardzie, w naszym kraju po ogłoszeniu dekretu o tolerancji religijnej, rozwinęło się wiele religii, nurtów i sekt. Skoro jestem duchowym zwierzchnikiem w kraju, to jakim sposobem mogę być pierwszym po Bogu dla czcicieli słońca i sekty czarostwa?

Bernard prawie jak zwykle był promiennie uśmiechnięty.

- Och, wasza Eminencja nie musi się przecież zapoznawać z doktryną religijną wszystkich odłamów. Wszystkie religie są podobne i sprowadzają się do jednego: wierzyć, nic więcej.

- Więc co mam robić? - prymas zrobił frasobliwa minę.

- To co zwykle - dobrą minę do złej gry. Aha, proszę przy pomocy swoich kontaktów w Watykanie przesłać jeden egzemplarz jego Świątobliwości. Będę bardzo wdzięczny.

* * * * *

Nad Cita del Vaticano zebrały się czarne chmury wróżące rychłą burzę.

Kardynał kątem oka dostrzegł zbliżającą się nagle postać odzianą na biało.

- Sprowadź tu mojego segregatorio!

- Ależ wasza Świątobliwość, spotkanie z segregatorio ma się odbyć dopiero za trzy godziny...

- To odbędzie się teraz! To ważne, więc rusz dupę! Takiej obrazy nie było od

czasu, kiedy to konklawe wybrało murzyna na papieża! Habemus papam, cholera!

„Ale grzmi!” – pomyślał kardynał.

- Ależ wasza Świątobliwość, harmonogram dnia...

- Szybciej, zanim stracę cierpliwość! Tyle razy spotkanie mogło być opóźnione, to chyba raz może się odbyć wcześniej!..

Purpurat ucałował podany na rękę pierścień i oddalił się pośpiesznie.

* * * * *

Trzy godziny później chmury burzowe nadal spowijały niebo, nie tylko to nad miastem.

- Przeczytałeś darmozjadzie?

- Tak, wasza Świątobliwość!

- To bezczelność!

- Tak, wasza Świątobliwość!

- Obłożę ich interdictum!

- Tak, wasza Świątobliwość!

- Rzucę anatemę!

- Tak, wasza Świątobliwość!

- I skończ durniu powtarzać "tak wasza Świątobliwość", bo szalu dostanę!

Umiecie wszyscy tylko potakiwać, ale myśleć to muszę za was ja! Wy sami niczego nie potraficie!

- Tak, wasza Świątobliwość!

- Idiota! Przynieś ze skarbca tajne instrukcje dotyczące schizmy.

- Już je mam, wasza Świątobliwość.

- Chociaż raz pomyślałeś sam. Niesamowite! Dawaj je. Jest; punkt pierwszy....to nie... drugi też nie.... o, jest! Czternasty: jeżeli schizma objęła całą krainę geograficzną, należy się uciec do interwencji chrystianizacyjnej przy pomocy Świętej Inkwizycji.

- Tak, wasza Świątobliwość.

- Co "tak wasza Świątobliwość"? Masz zwołać radę dowództwa tych cholernych skautów i przestań potakiwać jak ostatni krety!

- Tak, wasza Świątobliwość!

* * * * *

W klasztorze rozważano właśnie możliwość oswobodzenia od jarzma Vaticanu całej Europy Północnej. Do laboratorium wbiegł najstarszy z apostołów, Taoma.

- Bernardzie, ważne wieści ci przynoszę. Przybyli szpiedzy z południa... - zasapał się i przysiadł na podstawionym krześle.

- Mów, proszę.

- Jego Świątobliwość zwołał radę Inkwizycji. Za dwa tygodnie ma na nas ruszyć

korpus ekspedycyjny, który ma za zadanie, cytuje: "...odbić zagrabione ziemie Polonii i przywrócić na łono matki Kościoła...". Korpus podzielono na dwie główne grupy; jedna uderzy na nas od południa, poprzez góry Gerlacha, druga od zachodu, na wysokości Martwej Rzeki. Dodatkowa instrukcja mówi, że w przypadku niepowodzenia, inkwizycyjniaki mają się wycofać i zniszczyć nas na odległość.

Marcin stanął za plecami Narcyza. Jego zarośnięta twarz zdradzała jednak głęboki niepokój.

- No i co ty na to, Bernardzie? - zapytał, aby przerwać ciszę.

- Będziemy walczyć. Lud jest z nami, a to się liczy – zaciśnięta pięść uderzyła w blat stołu.

- Nie zapominaj, że Inkwizycyjni mają moc nuklearną za sobą.

- Nie zapominaj, Konradzie, że my także dysponujemy sprzętem Inkwizycji...

Jego Świątobliwość też pewnie o tym pamięta – przypomnieli mnich.

- Dobrze. My, apostołowie w liczbie dwunastu, jesteśmy z tobą, mistrzu. Lecz musimy ogłosić stan pogotowia, przeszkolić ludzi z lepiarek, zapoznać ich z sytuacją...

* * * * *

Przed pustym tronem w kaplicy zebrali się apostołowie, prawie wszyscy, oprócz jednego.

- Bracia i uczniowie. Złe wieści wam przynoszę - odezwał się apostoł Narcyz. - Nasz mistrz i nauczyciel Bernard został schwytany przez Inkwizycję i ukrzyżowany. Znaleźliśmy jego ciało z tabliczką zdrajcy kościoła.

- Jak to się stało?

- Jeden z nas zdradził. Jego też nie ma między nami. Kiedy nasze oddziały odbiły utracone wzgórza, zdrajca już nie żył. Powiesił się na najbliższym drzewie.

- Bernard był dobrym przyjacielem i przykładnym wodzem. Norbercie, czy masz jakieś nowiny o ruchach wojsk Inkwizycji?

- Nasza pierwsza linia obrony przeszła do kontrataku. Przeżyli tylko nieliczni, ale wróg został wyparty aż do Germanii, trzysta słupii za Martwą Rzekę.

- Dobrze. Niech linia druga zasili niedobitki linii pierwszej. Nowi ochotnicy niech uformują linię rezerwową. Bezwzględnie należy powstrzymać atak na froncie.

Zdziwienie apostołów było ogromne.

- Ależ jak to? Zwycięstwo mamy w kieszeni! Nasza armia jest liczna, walczy z zapalem... wyzwolimy Germanię, Alzację, Lotaryngię, Niderlandię...

- Norbercie, młody jesteś i zapalczywy, choć szlachetnego serca. Czy pamiętasz może, co mieli zrobić Inkwizycyjni, gdyby im się nie powiodło?

Zapadła niezręczna cisza.

- Mieli nas zniszczyć bronią nuklearną...

- Tak więc znowu wojna na wyniszczenie - westchnął Taoma.
- Konrad?
- Tak?
- Teraz ty jesteś wodzem. Rozkazuj.
- Trzeba utworzyć nowy front odwetowy na południowo - zachodnim krańcu kraju. W przypadku, gdyby ktoś z naszych obserwatorów dostrzegł Moc wroga, musimy odpalić po pięć Mocy w kierunku każdego strategicznego punktu Europy...

* * * * *

Ghaar przedzierał się przez gąszcz. Wiedział, że musi zdobyć coś do jedzenia, inaczej jego samica i młode padną z głodu. Wtem kątem oka dostrzegł, że coś się poruszyło pod krzakiem o fioletowych liściach. Przystanął, by nie spłoszyć zwierzyny.

- Grrrrrrrr! - zamruczał z zadowoleniem. Małe, skrzydlate jaszczurki zdradziły mu obecność dorodnego Xerthusa, osobnika tej samej rasy, co Ghaar. Powoli, aby nie zdradzić swojej obecności wzlatującymi jaszczurkami żywiącymi się pasożytami na jego skórze, podkrażał się do zdobyczy. Ominął krzak z lewej strony i skorzystał z cienia, jaki rzucał czerwony mur - pozostałość po starożytnej budowli pochodzącej z lat, kiedy to protoplasci Ghaara toczyli ze sobą wojny przy pomocy skomplikowanych maszyn. Był coraz bliżej, czuł już woń, jaką tamten nieświadomy niebezpieczeństwa wydzieliał. Trzask łamanej gałązki kazał mu się natychmiast odwrócić. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był czarny, metalowy krzyż sterczący z ruin i opadająca na jego głowę maczuga.

* * * * *

* * * * *

Sen profesora dobiegł końca. W kuli pojawiły się rozmyte plamy światła, które po kilku błysnięciach przygasały. W końcu obraz zniknął i przed czarownicą czwórką znów stała zwykła, szklana kula.

- Ha, to lepsze od holowizji, nieprawdaż szefie? - Drugi odwrócił się w kierunku Pierwszego, lecz jego pytanie pozostało bez odpowiedzi, gdyż Pierwszy spoczywał od co najmniej dwóch godzin w objęciach Morfeusza.

- Szefie?

- Ciii.... zostaw go - wyszeptała Lynn. - Niech śpi. Miał pewnie ciężki dzień.

- Może podeślemy i jemu dla jaj kilka bzdurnych snów?

- Aha – przyznał Drugi. – A potem wypłaty nie zobaczysz przez kwartał!

- No dobra. Przykryj go tylko kocem, bo zmarznie nad ranem. Przez ten cholerny remont połowa instalacji w budynku sukcesywnie odmawia posłuszeństwa.

Wszyscy powstali, za wyjątkiem mistrza, aby przenieść się do drugiego

pomieszczenia. Zamknęli cichutko drzwi.

- Grubciu, daj popcorn - poprosił Drugi.

- Hmmmmmmmm..... - mina Trzeciego nie wróżyła nic dobrego.

- Zżarłeś dwanaście kilo popcornu???

- Chipsy też już wyszły – dodał tłuszczoch czerwieniąc się na twarzy. - Aha, nie szukaj pączków angielskich, bo tych też już nie ma.

Czarownica przyglądała się Trzeciemu z podziwem.

- No to nic dziwnego, że Clickle dostaje gęsiej skórki na myśl o nadlatującym wielkim, głodnym kruku...

Wtem kieszeń Grubcia rozbłysła jasnym, lekko błękitnym światłem.

- Tylko nie to! Nie teraz! Lynn, proszę cię, odbierz i powiedz, że umarłem, że porwali mnie Papuasi, że mam okres, że wyjechałem na Grenlandię albo że wystrzelili mnie jako ochotnika w pionierskiej wyprawie na Proxima Centauri i będę uchwytany za cztery tysiące lat... Proszę, będziesz moją ulubioną czarownicą! - Trzeci nerwowo wręczył jej magiczne zwierciadło. Dziewczyna otworzyła srebrne pudełeczko skrywające aparat.

- Dzień dobry, madamme. W czym mogę służyć?

- Bonjour, moje dziecko. Czy jest Pączuszek? - hrabina Charlotte nie dosłyszała szeptu Trzeciego, który brzmiał coś jakby "stara jęcza!", lub też podobnie.

- Nie madamme, ma okresowe badanie medyczne. Dziś w drodze wyjątku ja przyjmuję zamówienia.

- Dobrze moje dziecko – odparła starsza pani z uśmiechem. - Jak tylko Pączuszek przyjdzie do pracy, powiedz mu, że Belfegorek wstydzi się wychodzić na dwór z pierzastymi skrzydłami i szczy mi do fikusa. Powiedzmy, że będzie to reklamacja, oczywiście opatrzona blachą mojej wyśmienitej szarlotki.

- Auuuuuu! - jęknął cichutko Grubcio. - Tylko nie szarlotka!

- Przyjęłam, madamme. Jutro nasz pracownik zjawi się u pani. Dziękuję za korzystanie z usług naszej agencji, życzę miłego dnia.

* * * * *

Nad pustynią dawno już wzeszło słońce.

- Profesorze, mam coś! - oznajmił powtórnie rozradowany asystent, który dopiero wygramolił się z niewielkiego wykopu. – Profesorze!.

Silnym ramieniem potrząsnął śpiącym starcem.

- Uaaach! - zerwał się wystraszony profesor. - Ach, to ty chłopcze. Ale miałem koszmar! I co?... Nic pewnie, tak jak mówiłem...

- Ależ skąd! Znalazłem! Są ruiny, znalazłem też...

- Jakie ruiny? - zdziwił się nie dobudzony profesor.

- Świątyni, jak przypuszczam. No widzi pan, profesorze? Miał pan rację powtarzając nam, że grunt, to dobra interpretacja.

- Taaak - zamyślił się starzec. - Grunt, to dobra.... aaaa! Chromolę tę całą twoją

niedowarzoną interpretację! - wykrzyknął ku zaskoczeniu asystenta Van Grava. Wciąż miał przed oczami ten potworny koszmar. Dobrze, że to był tylko sen!

- Ależ profesorze, nagłówki w prasie, sława...

- Gówno mnie to obchodzi - rozeźlił się profesor.

- Ale ten przedmiot, który znalazłem...!

- Jaki przedmiot? Daj go!

- Oto on. Cylinder z aluminium, lecz potwornie ciężki - ku swemu przerażeniu asystent zobaczył, jak starzec taszczy ciężki cylinder nad brzeg rzeki. Profesor uniósł lekko do góry starożytny przedmiot i cisnął w wartki nurt rzeki.

- Każ robotnikom zasypywać te doły. Wracamy do domu! - minął zapłakanego asystenta i szybkim krokiem skierował się do własnego namiotu.

- Za takie marne grosze - mamrotał do siebie. - To niech kongres sam sobie grzebie w tym błocie...!

* * * * *

Wkrótce okazało się, że problem usychającego fikusa nie jest już aktualny. W nocy jakiś nieznany sprawca ukradł żywą roślinę podstawiając w jej miejsce kwiat sztuczny. Być może hrabinę dało się tym oszukać, lecz zmyślnego kocura zwanego Belfegorek, nie. Znalazł sobie miejsce pod fortepianem.

* * * * *

* * * * *

Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:

GODZINA SATURNA – odmierzana według zegara gwiazdowego. Pamiętajmy, że do uprawiania czarów stosowanie zegara gwiazdowego jest niezbędne; CZAROPRZESTRZEŃ – wirtualno-astralna przestrzeń duchowa, w której ma miejsce inicjacja każdego czaru rzuconego przez maga; CIUPCIANIE – coś, co według wielu pruderyjnych obywateli nie istnieje, a co pozwala doznać niesamowitych rozkoszy oraz przedłużyć gatunek; BRANCZ – krzyżówka śniadania i obiadu, takie dwa w jednym; CHARLOTTE LE BLANC, hrabina – podstarzała arystokratka – milionerka mająca wśród swoich przodków księżną Charlottę z Luksemburga oraz Maurice’a Le Blanc; ATALMA – sztylet z czarną rękojeścią, nieodłączny atrybut czarownicy jak i czarownika; NAPALM BEER – wyjątkowo żrący gatunek piwa; BIGGHE, CINGULA – srebrny diadem oraz czerwony, pleciony ze sznura pas; standardowe wyposażenie każdej czarownicy; FORKAS, SAMAEŁ – demony wyższego rzędu; CABO GRIMORIUM – czyli „Zielony Grimmer”. Jest to trochę kit, bo grimmer, czyli księga zaklęć, jest osobistym przedmiotem każdego czarnoksiężnika; JACK DANIELS – gatunek whisky; BEDUINI – koczowniczy lud pustyni; SAMUEL CLICKLE – czarownicza wersja pana Blikle, także znany cukiernik; LUKRECJA BORGIA – włoska arystokratka żyjąca w okresie renesansu. Przyczyniła się głównie do

renesansu trucizn; FLAUROS – demon wyższego rzędu; RÓŻANIEC SILNEJ WOLI, RÓŻANIEC DOBRYCH UCZUĆ – dwa dość potężne zabezpieczenia przed czarami; EINSTEIN Albert – Żyd, uczony, autor teorii względności i najsłynniejszego wzoru fizycznego na świecie; CAGLIOSTRO Alessandro di – właśc. Giuseppe Balsamo; Włoch, mason, alchemik, awanturnik i szarlatan, żył w XVIII wieku; MANSON Charles – słynny morderca; MENGELE Joseph – lekarz pracujący w obozie śmierci Auschwitz, nigdy nie osądzony zbrodniarz hitlerowski; SAMOUŚWIĘCENIE – praktyka magiczna kultu Białej Bogini; STOŻEK MOCY – jedna z wielu popularnych, masowych praktyk magicznych, kiedy to cały zbór wyraża wolę osiągnięcia jednego celu poprzez modlitwę, zaklęcia, taniec, etc.; PER PEDES AD ASTRA – parodia słynnej sentencji łacińskiej, dosł. „na piechotę do gwiazd”; LIBER SPIRITUUM – „księga duchów”; cały kit polega na tym, że jest to indywidualna książka „telefoniczna” każdego czarnoksiężnika, gdzie zawarte są opisy i zaklęcia dotyczące poszczególnych demonów. Nie można jej pożyczać, kupić w kiosku, znaleźć w spisach biblioteki; RAUM I SZAKS – dwa złośliwe demony najniższego szczebla; HYBORYN – demon średniego szczebla; ZAŁAMANIA TRICKELMANNA – zaburzenie czaroprzestrzeni poprzez promieniowanie alfa wydzielane przez mózg ludzki w pierwszej, wstępnej fazie snu; GRAVILOT – helikopter, tylko z napędem grawitacyjnym; MELATTICA – mnich przekręcił nazwę pewnego popularnego zespołu młodzieżowego; INKWIZYCJA – zbrodnicza formacja działająca pod opiekuńczym płaszczem kościoła katolickiego od średniowiecza; EMINENCJA – tytuł przysługujący wyższym dostojnikom kościoła, w tym prymasowi; WASZA ŚWIĄTOBLIWOŚĆ – tytuł przysługujący tylko najwyższym dostojnikom kościoła, np. papieżowi lub dalajlamie; SEGREGATORIO – nie wiem, czy takowe stanowisko istnieje w Watykanie. Zapożyczyłem je ze struktur mafijnych. Niektórzy stwierdzają, że niewielka różnica...

OPOWIEŚCI ZE ŚWIATA CZAROWNIKÓW

Rozdział VII: Siedmiu Mężów Pani Lizy

O smakach, gustach i tajemnicach, którą skrywają doskonałe przepisy cukierników na zbrodnię doskonałą.

Tym razem dla odmiany pogoda była znośna, więc Trzeci siedział na parapecie siedziby agencji czarowniczej „Tysiąc Jeden Życzeń” i wydłubywał swoją atalmą brud spod paznokci. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że atalma jest jednym z podstawowych sprzętów będących na wyposażeniu każdego człowieka parającego się magią. Obserwujący tą scenę Drugi powrócił do przeglądania najnowszych wieści z kraju i ze świata w szklanej kuli spoczywającej w złoconej oprawie na samym środku blatu wysokiego biurka.

- Obrzydliwość! – skonstatował po chwili przerzucając strony.

- W sieci czasoprzestrzennej? – Grubcio na chwilę przerwał swój profanacyjny proceder spoglądając spode łba na przyjaciela. – Nekrofile, piromani, pedofilia... Takie czasy!

- To, co robisz ze świętym sztyletem – poprawił mag. – Tylko go aby nie oblizuj!

- Oburzasz się, jakbym tym oto poświęconym nożem miał co najmniej sam sobie jedzenie zdobywać... - uśmiechnął się tłusciuch. – A co do oblizywania, to i tak przy pomocy sztyletu dokonam kiedyś zaślubin jakiejś miłej i nadobnej panny.

- Jak jej opowiem, co robiłeś ze swoim kozikiem, to ręczę, że każda się zatrzyma w pół ceremonii i ze wspólnego gniazdka nici! Po prostu nie wypije wina z kielicha kochanków po tym, jak usłyszysz, co i jak sobie tym wydłubywałeś.

Z korytarza dobiegło znajome „ping”. Znak to był nieomylny, że winda zatrzymała się na trzynastym piętrze przywożąc kogoś, kto życzył sobie odwiedzić agencję prowadzoną przez czarowników.

- Phi! – skwitował mag. – I tak jestem przystojniejszy od ciebie!

- Cześć czarusie! – huknął od progu Pierwszy rozpinając swoją cywilną kurtkę.

- Cześć szefuńciu – odpalił vice. – Nie szukaj służbowego płaszcza, oddałem go do pralni.

Mistrz zrobił marsową minę.

- O święty Flaurosie, akurat dzisiaj?

- Czas najwyższy! Była na nim ektoplazma, воск ze święconych świec, dwie czarowne mikstury oraz – jak mniemam – deser Grubcia.

- Wypraszam sobie! – oburzył się Trzeci. – Sugerujesz, że użyłem służbowego, czarowniczego płaszcza mojego kochanego przełożonego zamiast obrusa?

Zawsze korzystam z pokoju śniadań przewidzianego w przepisach BHC i „Kodeksie Czarów”!

- A gdzie my mamy pokój śniadań? – zapytał mistrz celowo koncentrując swoją uwagę na paznokciach.

- Gdzie popadnie - wtrącił Drugi. – Najczęściej na parapecie, choć ostatnio był nawet w windzie.

- Dobra, i co ja mam teraz zrobić? Przyjmować klientów w cywilnym ubraniu?

- Weź sobie z szafy pancernej mój sweter. Ma logo Uniwersytetu Ezoterycznego, więc od biedy może być – rzekł mag i powrócił do śledzenia newsów w czaroprzestrzeni.

Mistrz wyszedł do pokoju obok, po chwili masywne zawiasy obwieściły, że potężna szafa pancerna została otwarta. Minutę później Pierwszy pojawił się w drzwiach przyodziany w ciemno zielony sweter ze złotym logiem uniwerku.

- Wyglądasz w tym jak strach na wróble! – podsumował otyły czarownik.

- Ale za to służbowo!

- Dzięki za komplementy – skrzywił się mistrz. – W szafie leży książka w szarym papierze; czyje to?

Tłuszcioch zeskoczył z „pokoju śniadań” na parapecie i podszedł do biurka.

- Kryminał naszego młodego mistrza – uśmiechnął się poklepując wpatrzonego w szklaną kulę przyjaciela po ramieniu. – Wiedziałeś, że jest miłośnikiem suspensorium?

- Nie wiedziałem...

- To klasyczny hiczek! – odparł mag zza szklanej kuli. – Pożyczyłem pół roku temu od pana Clickle i nie zdążyłem doczytać... Poza tym, jak już coś, to jestem miłośnikiem suspensu, który z suspensorium nie zbyt wiele ma wspólnego.

- Dla mnie to to samo! – zachnął się Grubcio.

- Jasne! Czego się można spodziewać po kruk, dla którego gastronomia to puszczanie gazów, a kulinaria i kuluary są bardzo ściśle ze sobą związane!

- Chwileczkę! – wtrącił mistrz.. – Wydaje mi się, że o gastronomii to on wie wszystko. A tak poza tym, to zarzucił już karierę czarownika – kabareciarza? Drugi jęknął pokazując szefowi międzynarodowy znak z podtekstem „puknij się w czoło”.

- A właśnie! – rozpromienił się Grubcio. – Opracowuję nowy numer. Znacie to? Przychodzi starsza pani hrabina do czarownika...

- Aha! – palnął Pierwszy. – Z kotem na głowie. Czarownik pyta: co pani jest? Ona na to: Belfegorek! Ha, ha, ha! Świetne!

- Nie! – tłuszcioch machnął ręką przeganiając natrętą muchę. – To było w zeszłym miesiącu, teraz mam naprawdę świetny numer! A więc: przychodzi stara hrabina do czarownika i zaczyna tyradę: „Mistrzu, przez całe życie cieszyłam się dobrym zdrowiem, lecz ostatnio mój ochronny różaniec chyba zawiódł. Otóż puszczam – i to bardzo często - okropne wiatry, ale nic nie słyszeć i nic nie czuć.”

- Aha! – mruknął szef ze zrozumieniem. – To te gazy z gastronomią!

- „Od kiedy tu do pana weszłam” – skrzeczał dalej Trzeci naśladując załamujący się głos starszej pani. – „Puściłam już przynajmniej siedem wiatrów, a pan ani

nic nie słyszał, ani nic nie poczuł.” A czarownik na to: „Szanowna pani, zaiste to problem. Zaraz przygotuję magiczną miksturę z ziół, która odrobinę panią podratuje. Proszę przyjść za dni siedem, wtedy dalej porozmawiamy.” No i babina przyszła za tydzień tak, jak nakazał jej mag. Już od progu zaczyna biadolić: „Ach, mistrzu! Teraz jest jeszcze gorzej! Dalej puszczam wiatry, dalej nic nie słyszać, lecz teraz potwornie śmierdzi! Co można na to poradzić?”. A mistrz na to: „Szanowna pani, cieszę się, że moja mikstura udrożniła pani górne drogi oddechowe. Teraz przygotuję pani miksturę na poprawę słuchu...”

- Ha! – zaśmiał się sztucznie vice. – Nie wysiliłeś się, to stary kawał!

- Stary, a w dodatku śmierdząca sprawa! – dodał czarownik z numerem jeden.

- Nie znacie się na prawdziwej sztuce!

- Tej przez duże „esz”? – spytał mag zza kuli.

Grubcio udawał obrażonego, choć wiedział, że cała sprawa i tak skończy się śmiechem.

- Malwinie się podobało! – mruknął.

- Słuchaj! Dziewczyna pracuje w magazynie teatralnym od trzech lat, dniówki ma ciekawe, jak okres u bakterii chlamydomonas, a poza tym ma mózg jednobajtowy, choć przyznaję, że jest śliczna i sympatyczna.

- Ho-ho! – zaperzył się gruby czarnoksiężnik. – Znalazł się koneser kobiecej urody! A ja ją lubię i tyle. Ona jedyna docenia moją vis comica!

- To w nagrodę idź zrób nam kawę – zaproponował prezes i rozsiadł się na składanym krześle obok Drugiego. – Bez cukru proszę.

- Chwila! – zaooponował mag zapatrzonej ciągle w wizję zawartą w szklanej kuli. – Za chwilę będziemy mieć gościa, a patrząc na wygląd, to raczej chyba do ciebie.

- Pokaż! – grubas rzucił się na biurko. – O w mordę Szaksa!

Wizja w szklanej kuli ukazywała wnętrze windy, wciśnięty klawisz z numerkiem 13 oraz starszą panią w płaszczyku zwieńczonym kołnierzem z lisa, grubych okularach oraz siwym kokiem na czubku głowy. Po kilku sekundach dźwięczne „ping” od strony korytarza oznajmiło, że staruszka dotarła na trzynaste piętro wieżowca Spółdzielni Usługowej, gdzie swoją siedzibę miała agencja czarowników.

- Na wszelki wypadek gdyby babcia puszczała gazy, my się zmywamy i jesteśmy w pokoju obok – Pierwszy klepnął swojego zastępcę w ramię i obaj poderwali się z krzeseł.

- Przyjmij gościa – rzucił Drugi od drzwi. – Może już zacznij kręcić ziołową miksturę na złagodzenie obrzęku śluzówki!

Absolutnie zaskoczony Grubcio został sam w pokoju. Jego myśli zaczęły oscylować wokół maski przeciwgazowej, której nie było na wyposażeniu zestawu ratunkowego, lecz zostały brutalnie przerwane przez nieśmiałe pukanie do drzwi. Do pokoju wtoczyła się osobiwa staruszka, która szybko przemierzyła przestrzeń dzielącą ją od biurka i zgrabnie zajęła miejsce naprzeciw zaskoczonego czarownika.

- Padam do nóżek szanownej pani – wybełkotał Grubcio. – Czym możemy służyć w naszych skromnych progach?

- Jestem hrabina Charlotte Le Blanc – uśmiechnęła się babcia. – Mam dla panów delikatne zlecenie.

Trzeciego zatkąło. Jeżeli to była hrabina Le Blanc, to kim była upierdliwa staruszka z kotem Belfegorem i nieodłączną blachą szarlotki?

- Problem ze zwierzątkiem?

- Całe szczęście Pusia czuje się dobrze – madamme Le Blanc wyszczerzyła wszystkie zęby w szczerym uśmiechu. – Ostatnio tylko pogryzła sofę.

- Aha. Biedna sofa! – palnął mag i zapytał. – Więc w czym mogę pomóc?

Babcia siedział jakby zmieszana zezując na rozmówcę spod grubych okularów.

- Chodzi... - przerwała w pół słowa.

- ... o ... - ciągnął tłuscioch.

- ... no ... chciałam upiec wnusiowi takie same korzenne ciasteczka, jakie ma w swojej cukierni pan Clickle.

- Nawalił piekarnik? – zdziwił się mag. – Potrzebny pani monter!

- Ależ skąd! – babcia wyciągnęła mieszek brzęczących monet. – Sto dwadzieścia krugerandów za zdobycie przepisu.

Grubcia zatkąło. Niestety, nie było czym popić.

- To majątek! – wystękał na bezdechu. – Za przepis?

Hrabina zrobiła pełną politowania minę.

- Widać, że wnuków pan nie ma, młody człowieku. Dla wnusia robi się wszystko!

- Oczywiście madamme!

- Podjadę za trzy godziny – staruszka z trudem podniosła się z krzesła. – Tymczasem popytajcie o ta recepturę.

Trzeci usłudźnie odprowadził ja aż do windy.

- Proszę na nas polegać, madamme – zapewnił na odchodnym. – Do widzenia.

Wracając do biura uchylił drzwi do sąsiedniego pokoju.

- Możecie już wyjść – mruknął zamyślony. – Babcia aż tak nie nasmrodziła.

Pierwszy podszedł do szklanej kuli i delikatnym ruchem ręki załączył urządzenie. Wymruczał coś w gardłowym języku starosumeryjskim i po chwili wewnątrz przyrządu zamajaczyła wizja staruszki w windzie. Tymczasem drugi wciągał mocno powietrze w nozdrza.

- Mówiłem: nie nasmrodziła – zapewnił Grubcio.

- A jednak!

- Co? – spytał Pierwszy lustrując wnętrze windy.

Drugi się zastanowił.

- Przysiągłbym, że woda kolońska – dodał po chwili zamyślenia. – „Antyczna” z zielonym korkiem. Przyznacie, że dość drogie i osobliwe perfumy.

Mistrz zerwał się od stołu i pobiegł na korytarz. Po chwili radosne „ping” oznajmiło, że nadjechała winda.

- Chodźcie! – dobiegło z korytarza.

- Co wymyśliłeś?

Czarownik stanął pod tablicą rozdzielczą.

- Do którego klawisza sięgam czubkiem głowy? – zapytał.

- Jak na moje oko „37” – rzucił vice.

Pierwszy wyszedł z windy i gestem zaprosił wszystkich z powrotem do środka.

- Nasza milusia staruszka sięgała do „39” w chwili zapomnienia, kiedy przestała się garbić.

- Czyli minus kok daje nam metr osiemdziesiąt wzrostu – przytomnie skonstatował Drugi.

Trzeci wychylił się przez okno, po czym po chwili usiadł na parapecie.

- No to zbierzmy dane: starsza pani podszywa się pod naszą stałą klientkę, hrabinę Charlotte Le Blanc. Nieudolnie, dodam – zaczął wywód. – Kok był zaczesany do przodu, więc albo fryzjer był idiotą, albo to była nieudolnie naciągnięta peruka.

- Do tego metr osiemdziesiąt wzrostu... - wtrącił mistrz.

- Właśnie. Plus potwornie owłosione nogi – dorzucił otyły mag. – To była facet! No i wsiadła do czarnej bryki z przyciemnionymi szybami i szklaną maską na chromowanym silniku.

- Się mi to nie podobie! – dodał vice i wyciągnął z kieszeni niewielką puderniczkę.

Uchylił wieko, wymruczał kilka zaklęć w kierunku matowej powierzchni zwierciadła. Po chwili w lusterku ukazał się szczupły młodzieniec o szarych oczach i złotych włosach.

- Cześć! Co słyszać? – wypaliła wizja z lusterka.

- Zależy, gdzie ucho przyłożyć – uśmiechnął się Drugi. – Pierwiosnek, powiedz mi, kto w mieście jeździ czarną bryką z przyciemnionymi szybami i szklaną maską na chromowanym silniku?

Młodzian w lustrze skrzywił się z niesmakiem.

- Jest tylko jedna taka bryka! – oznajmił. – Gang z Iron Street! Nie radzę wchodzić w konszachty. Dla większości ich kontrahentów to się źle skończyło.

- Fajnie. A czym się zajmują?

- Narkotyki, prostytutka no i działalność legalna, bo trzeba forszę wyprać, nie? Ostatnio przejęli całą sieć drobnych ciastkarni w całym mieście, wiadomo, że na pralnię.

- Dzięki! Pozdrów matkę – uśmiechnął się do siostrzeńca mag i zamknął komunikator.

- No to wszystko prawie jasne – stwierdził Pierwszy. – Tylko po jakiego grzyba im przepis na korzenne ciasteczka Clickle`go.

- Chyba wiem – mruknął Trzeci oblizując wargi na samo wspomnienie wspaniałego smaku wyrobów najbardziej znanego mistrza cukiernictwa. – Chodzi o hit, coś, co przyciągnie klientów do podrzędnych ciastkarni tak, aby były one wiarygodne. W skarbówce nie pracują idioci i chyba wiedzą, że trudno

zarobić nawet dziesięć krugerandów miesięcznie sprzedając samą watę cukrową.

Nagle kolejne, radosne „ping” od strony windy przerwało wszelkie spekulacje.

- Mamy klienta! – stwierdził mistrz. – Do roboty, panowie!

Tymczasem drzwi do agencji się uchyliły i z pewną dozą nieśmiałości, w drzwiach pojawił się czubek melonika, chwilę zaś potem jego korpulentny właściciel.

- Dzień dobry – gość uklonił się i zdjął melonik przykrywając nim rękę rzeźbionej laski.

- Witam maestro! – huknął Trzeci i wybiegł gościowi na powitanie.

- Grubciu, nie przesadzaj! Udusisz pana Clickle, zanim zdąży powiedzieć, z czym przychodzi! – upomniął mistrz.

- Właśnie! – pan Clickle podszedł do stołu poprawiając wymięty przez opasłego maga surdut i przywitał się z pozostałymi czarownikami. – Moja sprawa jest delikatna...

- ... bo dostał pan pewną propozycję nie do odrzucenia, jak się domyślam, od gangsterów z miasta – dokończył mag i gestem wskazał gościowi miejsce.

- To aż tak oczywiste?

Pierwszy uśmiechnął się szczerze.

- Dla pewności byli także i u nas – wyjaśnił. – Na wszelki wypadek chcieli skorzystać także z drugiej możliwości zdobycia tajnej receptury.

Samuel Clickle siedział zrezygnowany.

- I co ja mam zrobić? – zaszlochał. – Te draby mi podpalał cukiernię! Dorobek i jedyny sens mojego życia!

- Monsieur! – Trzeci poklepał go po plecach. Chyba trochę za mocno, ale to nie przeszkadzało mu w kontynuacji tyrady. – Od czego ma pan przyjaciół! Chętnie panu pomożemy!

- Zaiste, Grubcio ma rację – oznajmił Pierwszy. – Pomożemy. Vice, rusz się, podaj panu chusteczkę!

Już po chwili przerażony cukiernik przestał się mazać.

- To co ja mam zrobić?

- Dać im ten przepis za naszym pośrednictwem, a im wytłumaczyć, że ktoś go skradł.

- Buuuu! Przyjdą i podpala!

- Panie Clickle! – huknął mistrz. – Bądź pan chłop z jajami!

Pomogło.

- Zrobimy tak: za trzy godziny przyjedzie przebrany gangster do nas po recepturę – wyjaśniał czarownik. – Damy panu znać, jak tylko wejdzie, pan zadzwoni do nich, że recepturę skradziono z pańskiego sejfu. Oczywiście musi to być oryginał receptury, nie jakieś tam odręczne bazgroły.

- Ja nie mam sejfu... - maestro wzruszył ramionami.

- Niech pan nie utrudnia!

- Poza tym tego samego zażądali ode mnie. Oryginału.

- No to chyba wszystko jasne? – zapytał dość retorycznie Drugi.
Gość przez chwilę wpatrywał się w czarowników próbując pojąć tak prosty plan. Po chwili wstał, zapiął surdut, skłonił się lekko i oznajmił:
- Za kwadrans będę tu z oryginalną recepturą.
I wyszedł.

Życie bywa czasami zaskakujące, czasami brutalne, ale jakiegokolwiek ono nie jest dla nas w danej chwili, jedno trzeba przyznać: w okrutny sposób potrafi nam zweryfikować i położyć wszystkie możliwe plany. Niektórych to smuci, niektórych załamuje, lecz większość po chwili refleksji z lekkim półuśmiechem na ustach brnie dalej przez życie... ale nie Samuel Clickle, który dwie godziny później wtoczył się ledwie żywy do agencji Czarowniczej i blady jak kreda zwałił się na rozkładane, teatralne krzesło naprzeciw grzebiącego w papierach mistrza.

- Co się panu stało? – zmartwił się Pierwszy.
- Nie ma! – jęknął cukiernik. – Wszyscy zginiemy!
- Brednie! – mruknął czarownik zza sterty faktur. – A czego nie ma?
Wzrok Samuela Clickle powędrował pod sufit w towarzystwie cichego westchnienia.

- Oryginału receptury...!
- No ładnie! A gdzie go pan trzymał? W sejfie?
- Ja nie mam sejfu! – oburzył się gość. – Był w książce. Tak naprawdę, to nie jest moja receptura. Nie przekazał mi jej ani ojciec, który był właścicielem cegielni, ani dziad, który hodował kury, ani też pradziad, choć ten znakomicie gotował.

Pierwszy uśmiechnął się przyjaźnie.

- To jednak odziedziczył pan talenty kulinarne po przodkach? – mruknął z uznaniem.

- Gotował, gotował! – mężczyzna pokiwał głową z politowaniem. – Asfalt gotował, drogi budował! A gdzie koledzy?

Pierwszy jakby odruchowo rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Jak znam życie, vice zjechał do Malwiny z magazynu teatralnego – chwilę się zastanowił, po czym dodał: – A Grubcio oznajmiał, że idzie na posiedzenie rady nadzorczej i trochę się to przeciągnie...

Cukiernik popatrzył na maga.

- I co w tym tak zastanawiającego? – zapytał podejrzliwie.

- My nie mamy rady nadzorczej... - mruknął Pierwszy. – Jest nas tu tylko trzech.

Wtem niewielka puderniczka spoczywająca na biurku rozjarzyła się czerwonym, pulsującym światłem. Czarownik podniósł komunikator, sprawdził podgląd, kto dzwoni i otworzył niewielkie pudełeczko skrywające niewielkich rozmiarów zwierciadełko.

- To Drugi – wyjaśnił zaskoczonemu Clicklemu.

- Nie wiem, czy to cię zainteresuje – vice poprawił zmierzwioną fryzurę. – Ale od podwórka zajechał czarny, luksusowy samochód i wysiadła z niego ta przerośnięta babcia.

- No to klops! – jęknął Pierwszy.

- Podpała i zamordują! – zawtórował klient.

- Oj, zamknij się pan! – warknął mistrz. – Słuchaj, jak ty ich mogłeś widzieć od tyłu przez okno? Znowu buszowaliście w przymierzalni? I to w godzinach pracy? Potrączę ci premię!

Drugi oburzył się i zaplął kołnierzyk koszuli.

- Trudno obciąć coś, czego nie ma! Ty lepiej pomyśl o spadochronie, bo ruszyła winda!

Połączenie zostało przerwane, zwierciadełko zmatowiało.

Czarnoksiężnik popatrzył chwilę na maestra i wymamrotał kilka nieskomplikowanych formułek w kierunku matowej powierzchni lustra. Po chwili obraz ukazał pulchną twarz trzeciego maga w ciasnym pomieszczeniu.

- No wiesz co, w takiej chwili?! – oburzył się Trzeci.

- Gdzie jesteś?

- A jak myślisz? W konsorcjum!

- Jakim konsorcjum? Co ty pleciesz?! – jęknął zrozpaczony mistrz.

- W kiblu!

- Co ty tam robisz?

- Nie uwierzyłybyś, nawet gdybym ci opisał kolor i zapach! – tłuszczoch roześmiał się ubawiony perspektywą.

- Grubciu, zlituj się! – Pierwszy nie owijał w bawełnę. – Zakapior jest w windzie, a ty godzinę w wucecie siedzisz?

Trzeci zmieszał się odrobinę.

- Fajną książkę mam...

Pierwszemu nagle zaczęło coś świtać.

- Wziąłeś z szafy pancerniej? – zapytał pełen najgorszych przeczuć.

- Uhm! – potwierdził amator pokątnego czytelnictwa.

- Połóż szybko komunikator na papierze i nie zadawaj pytań! – zakomenderował szef i odwrócił swój komunikator lustrem w dół. Jedna szybka inwokacja i dwie starosumeryjskie formuły dopełniły dzieła. Pod zwierciadłem począł się materializować jakiś świetlisty kształt strzelający malutkimi błyskawicami na lewo i prawo. Pierwszy podstawiał rękę.

- Co, do ciężkiej cholery?! – Clickle wybałuszył oczy ze zdumienia.

Przed nim, na jego własnych oczach wielki mistrz magii zmateriałizował... rolkę papieru toaletowego.

- Coś ty mi posłał?! – czarownik jęknął po raz kolejny do komunikatora. – Miała być książka!

- Ufff! Kazałeś „na papierze”! – stęknął niezadowolony Grubcio. – Powtórz procedurę!

Z korytarza dobiegło radosne „ping” windy. Znak nieomylny, że ktokolwiek chciał dotrzeć na trzynaste piętro wieżowca, właśnie to uczynił. Clickle czmychnął do pokoju obok przymykając drzwi. Zanim jednak drzwi wejściowe do agencji uchyliły się na dobre, mag trzymał już książkę w ręku. Do pokoju wtoczyła się dziwna staruszka.

- Padam do nóżek szanownej pani! – oznajmił z czarującym, jak na czarownika przystało, uśmiechem.

- Witaj młodzieńcze – starsza pani pomachał torebką. – Czy masz recepturę?

- Oczywiście, madamme! – pomachał książką. – Jest ukryta w tej księdze na stronie...

- ... sto osiemdziesiątej trzeciej! – dobiegł dramatyczny szept z drugiego pokoju.

- Sto osiemdziesiątej trzeciej! – oznajmił triumfalnie mag prezentując recepturę. Faktycznie, receptura tam była, lecz stanowiła integralną część treści książki. Starsza pani wzięła księgę w swoje ręce, spojrzała i dodała skrzekliwie:

- Nagroda cię nie minie! – mruknęła i wyciągnęła z torebki mieszek z pieniędzmi – Oto premia, osiemdziesiąt krugerandów!

- Madamme, interesy z panem to prawdziwa przyjemność – dodał kłaniając się Pierwszy.

- No no! Bez takich mi tu – dodała babcia basem i wyprostowała się.

Przebrany gangster obrócił się na pięcie i wyszedł ukontentowany. Po chwili drzwi do drugiego pomieszczenia uchyliły się delikatnie i w szczelinie pojawił się najpierw nos, potem zaś figlarny wąsik.

- Już poszedł – oznajmił mistrz. – Może pan już wyjść.

Cukiernik rozejrzał się na boki i nieśmiało powrócił do pokoju.

- Już po wszystkim?

- Teoretycznie tak – zapewnił Pierwszy. – Panie Clickle, ile pan zapłacił za swój egzemplarz książki?

- Jakieś dwadzieścia kilka centów...

Mag podał gościowi opasy mieszek z monetami.

- To chyba wynagrodzi panu niedogodności i stres związany ze sprzedażą swojego białego kruka...?

- Rety! – jęknął swoim zwyczajem Samuel C. – Ile tu jest?

- Osiemdziesiąt krugerandów! – mlasnął zadowolony mag. – A swoją drogą, to niezła przebitka!

Wtem komunikator mistrza rozjarzył się ponownie pulsującym, czerwonym światłem.

- Tak Grubciu?

- Może ktoś podrzuciłby mi rolkę papieru, co? – pieklił się tłścioch. – Zapomniało się o najlepszym pracowniku?

Mistrz załamał ręce.

- Weź z kabiny obok – doradził.

- Nie ma!

- Poślę ci, ale to najdroższa rolka w historii czarów! – zauważył. – Pamiętaj o tym!

Po chwili Grubcio trzymał upragniony przedmiot.

- Dobra, po użyciu wypiorę i oprawię ci w złocene ramki! – rzucił krótko i zniknął z wizji. Po trzech minutach pojawił się w biurze zadowolony i jakby bardziej szczęśliwy.

- Rewelacyjna książka! – pochwalił Trzeci. – Ale trzymała w napięciu! Aż żal, że nie dane mi było doczytać do końca!

- Nic straconego! – dodał cukiernik. – Ulubiony pisarz mojej żony, z pewnością zaraz każe mi kupić drugi egzemplarz. Mam nadzieję, że zastanę panów w biurze po przerwie obiadowej?

- Maestro! – skłonił się Pierwszy. – Zawsze jest pan mile widzianym gościem w naszych skromnych progach.

- W takim razie – dziękuję! – odetchnął gość i skierował się w kierunku drzwi. Skłonił się zgodnie z etykietą i opuścił pomieszczenie.

- Ale miał chłop cykora! – skwitował Pierwszy.

- I ty mu się jeszcze dziwisz? – zapytał Grubcio, choć odpowiedź była z góry znana.

* * * * *

W porze poobiedniej drzwi do Agencji uchyliły się i w środku zmateriałizował się najpierw wielki, cukierniczy worek ze złożonymi napisami „Clickle” oraz sam właściciel najpopularniejszej w mieście cukierni. Po pokoju rozszedł się niebiański zapach korzennych ciasteczek.

- Panowie! – oznajmiła torba z łakociami, a właściwie człowiek ukrywający się za wielkim opakowaniem ściskanym oburącz. – Trzydzieści kilo moich najlepszych, korzennych ciasteczek według przepisu pani Lizy!

- Czyjego? – zdziwił się Trzeci, lecz po chwili dostał do ręki nowiuteńką książkę przewiazaną czerwoną kokardką.

– A to dla pana, ze specjalnym podziękowaniem!

- Drogi maestro, sądząc po zawartości torby, to także dla niego – Drugi roześmiał się serdecznie zza szklanej kuli, lecz podanym ciasteczkiem nie pogardził.

- O! „Siedmiu mężów pani Lizy”! Genialny kryminał! – zachwycił się Grubcio.

- Owszem, ładnie mordowała... Niestety wpadła – skwitował vice. – Ostatni, siódmy mąż był diabetykiem i nie lubił ciasteczek.

- Mówiłeś, że nie doczytałeś? – zdziwił się mistrz.

Czarownik wzruszył ramionami.

- Nie dotarłem do wyroku...

- Cokolwiek to nie znaczy – mruknął tłuscioch pakując sobie w usta dwunaste ciasteczko.

- Ale numer! – wrzasnął czarownik wpatrzony w szklaną kulę. – Przeczytam wam wiadomość z ostatniej chwili: „...wezwana na miejsce policja odkryła w melinie dwanaście ciał członków groźnego gangu z Iron Street. Wszyscy gangsterzy zostali podstępnie otruci cyjankiem. Zbrodnia jest prawdopodobnie wynikiem trwającej od miesięcy wojny gangów...”

- O matko! – jęknął pan Clickle. – Upiekli ciasteczka zgodnie z recepturą! A na dodatek wszyscy je zjedli!

- Jak to „zgodnie z recepturą”? – zapytał Pierwszy zezując niepewnie na Grubcia, który zrobił się zielony na twarzy.

- W książce pani Liza truje swoich sześciu mężów... – wyjaśnił vice.

- ... domowymi ciasteczkami z cyjankiem – dokończył cukiernik.

Grubcio mruknął tylko „leczę do konsorcjum” i zniknął z biura.

- Ale pan nie dodawał trucizny? – upewnił się Pierwszy.

- Ależ skąd! – zapewnił maestro. – Zamieniłem CYJANEK na CYNAMON! Oto i cała tajemnica!

- Słuchajcie! Powiemy Grubciowi?

Pierwszy się zastanowił, po czym odłożył komunikator na biurko.

- A po co? – dodał. – Niech myśli, że cudownie ocalał!

Powoli, acz systematycznie, w biurze Agencji „Tysiąc Jeden Życzeń” narastał rechot. Rżeli jak opętani dwaj czarnoksiężnicy, śmiał się do rozpuku korpulentny pan Clickle. Tylko w ubikacji na półpiętrze nikomu nie było do śmiechu. Znowu nie było ani skrawka papieru!

* * * * *

Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:

ATALMA - czarowniczy sztylet z czarną rękojeścią i magnetycznym ostrzem, niezbędne wyposażenie każdego czarownika i każdej czarownicy; *ZAŚLUBINY* – zgodnie z tradycją czarowniczą odbywają się z udziałem atalmy, wina i co najważniejsze – dwojga ludzi płci odmiennej. Kulminacyjną częścią uroczystości jest zanurzenie przez czarownika atalmy w kielichu z winem trzymany przez kobietę, następnie wspólne wypicie wina; *PRZEPISY BHC* – bezpieczeństwa i Higieny Czarów; „*KODEKS CZARÓW*” – mutacja „Kodeksu Pracy” dotycząca czarów i czynności z nimi związanych; *SUSPENSORIUM* – bawełniana opaska na genitalia wykorzystywana przez sportowców oraz mężczyzn ze schorzeniami jąder; *HICZKOK* – od nazwiska Hitchcock’a Alfreda – reżysera kryminałów z dreszczykiem, największego mistrza suspensu; *GAZTRONOMIA* – powinno być „gastronomia”. Drugi celowo użył niewłaściwej formy; *BELFEGOR* – jeżeli cię pamięć nie zawodzi, to wiesz, że jest to spasiony kocur hrabiny Le Blanc; zmora Grubcia; *VIS COMICA* – siła komizmu; *SZAKS* – demon najniższego rzędu, kłamca i złodziejasek; *KONSORCJUM* – miejsce, gdzie udajemy się na posiedzenie; *ZAKAPIOR* – slang – bandyta, morderca; *CYJANEK* – nazwa

potoczna, sól kwasu cyjanowodorowego, bardzo silna trucizna leżąca u podstaw wielu zbrodni doskonałych.

OPOWIEŚCI ZE ŚWIATA CZAROWNIKÓW

Rozdział VIII: Wieczny Rezerwista

O pasożytach instytucjonalnych, które można wytępić tylko poprzez ich własne skąpstwo przy współudziale przyjaźni ponadczasowej.

Każdy z nas przynajmniej raz w życiu otrzymuje list, który potrafi wyrzucić całe nasze życie do góry nogami. Czasami są to złe wieści informujące o czymś odejściu, czasami wieści o przyjściu na świat, a czy są one dobre, zależy od indywidualnej sytuacji adresata. Czasem są to jednak listy, które przynoszą urzędową informację, że oto pasożytniczy organizm wykorzystujący nas przez całe życie, chce od nas czegoś więcej. Nie ma wtedy zmiłuj, nie ma, że boli – trzeba ubrać kamasze i za psi grosz, który wystarczy tylko na gazetę i papierosy, reprezentować godnie tego wielkiego pasożyta. Dlatego nikogo nie dziwiły różnego rodzaju złe wieści, które spadały znikąd za pośrednictwem poczty kurierskiej znienacka, zupełnie jak śmierć, miłość i ...

W siedzibie Agencji Czarowniczej trzech wysoko wykwalifikowanych czarowników przygotowywało akurat dokumenty firmowe do kontroli z Urzędu Podatkowego. Stos starych faktur z ostatnich miesięcy rósł wokół szklanej kuli umieszczonej na biurku i w ciągu półtorej godziny był tak wysoki, że przypominał makietę osławionego Manhattanu. Obok potężnych, papierowych wieżowców wyrastały nowe zasłaniając skutecznie centralny punkt biurowego miasta, mianowicie szklaną kulę. Wtem wewnątrz miasta rozświecił pomarańczowy, pulsujący blask.

- Ej, chłopaki! – wrzasnął zaintrygowany Grubcio. – Manhattan wam się pali. Właśnie przyjechała straż pożarna.

- Czemu „wam”? – zaoponował prezes spółki w osobie mistrza magii. – Pracujesz tu tak samo, jak i my.

Grubcio się napuszył, lecz fałszywy uśmiech zdradzał, że jest to tylko poza na pokaz.

- No tak, ale wy jesteście w ścisłym zarządzie, a ja, zwykły robot...

- Ależ mój drogi i obszerny przyjacielu, zapewniam cię, że jesteś w tej firmie personelem kluczowym, bez którego nic byśmy nie zrobili...

- On chce powiedzieć – wtrącił Drugi zza sterty druków „kasa przyjmuje”. – Że ktoś musi w firmie odwalać brudną, a czasem mokłą robotę.

Trzeci machnął ręką rozrzucając przy tym kilka papierów.

- Wiedziałem! – mruknął. – Czulem w tym jakiś haczyk!

- A co? Wbił ci się w tyłek?

Czarownik nachylił się nad stołem i wpatrywał się w szklaną kulę.

- A tak przy okazji: nie jesteście ciekawi, co tu tak mruga?

- Iskiereczka z popielnika?

- Pudło, prezisie! – triumfalnie obwieścił tłuszcioch. – Masz wiadomość.

- Aha. No to w nagrodę możesz zrobić kawę – mistrz wyszczerzył żęby w uśmiechu i powoli zaczął odgruzowywać dojście do sprzętu czaromiedialnego. Kiedy już dotarł do szklanej kuli, przesunął delikatnie dłonią po jej powierzchni, po czym podniósł do góry dłoń i bacznie się jej przyglądał.

- A to niespodzianka!

- Co?

- Wisienka, czy truskaweczka? – zapytał mistrz wpatrując się w czerwoną maź przyklejoną do palców.

Personel Kluczowy wyraźnie się zaczerwienił.

- Znowu żarłeś przy sprzęcie! – fuknął Drugi przedstawiając kolejne roczniki płatności za wykorzystanie sieci czaroprzestrzennej.

- Było tego warte... - jęknął Grubcio.

Pierwszy ani myśląc oblizał palce głośno mlaskając.

- Voila! – obwieścił triumfalnie. – Porzeczką!

Personel Kluczowy poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Kończ waść, wstydu oszczędź! – mruknął. – Chyba skoczę zrobić tą kawę.

To mówiąc, zniknął w drzwiach sąsiedniego pokoju, gdzie tymczasową siedzibę miały dwa potwory: stara, pancerna szafa oraz nowiuteńki automat do kawy.

Pierwszy wyciągnął z pomiędzy stert papieru otwarty słoik dżemu porzeczkowego.

- Ani słowa Grubciowi, bo zje mnie razem z tym dżemikiem! – zwrócił się do zaskoczonego zastępcy.

- No wiesz... ! Prawdziwy, czy sysnetetyk?

- Ale ty masz o mnie zdanie! Oryginał!

- Super! Dasz trochę?

- Jasne! – uśmiechnął się mag. – Kupiłem specjalnie dla nas na podwieczorek.

Do pokoju wparował Trzeci niosąc tacę z trzema parującymi kubkami. Po pokoju rozszedł się zniewalający zapach prawie prawdziwej kawy.

- Ktoś tu wspominał o podwieczorku?

Pierwszy machnął ręką.

- Widzisz, sprawa się sama wydała.

Czarownik odstawił tacę na parapet okna i odwrócił się do towarzyszy.

- I co ci tam napisali?

Mistrz palnął się otwartą dłonią w czoło.

- O święty Samaelu, zapomniałem o wiadomości na skrzynce!

Nie namyślając się dłużej wszyscy rzucili się do szklanej kuli. Chóralnie wypowiedziane zakłęcie otwierające podziało natychmiast, lecz dostęp do konta mógł uaktywnić tylko posiadacz. Pierwszy wymruczał formułkę, skreślił serdecznym palcem lewej ręki świetlisty znak w powietrzu i kiedy kula zmieniła blask na błękitnawy, pochylił się aby odczytać wiadomość.

- O święty Flaurosie! – jęknął Grubcio.

- Niech to Belet kopnie! – zawtórował Drugi.

- No ładnie! – dodał Pierwszy i po raz pierwszy od dwóch godzin ciężko opadł na krzesło.

Trzeci pogładził się po obszernym brzuchu i z niezbyt mądrą miną popatrzył na szefa.

- I co z tym teraz zrobisz? – zapytał.

- A co ma zrobić?

- No właśnie – przyznał mistrz. – Nie codziennie człowiek dostaje powołanie do wojska.

Vice uśmiechnął się szeroko.

- Poparadujesz pół roku z szabelką, czasem obejrzymy cię w holowizji... będziesz bardzo popularny w całym wieżowcu spółdzielni!

- Pół roku! – jęknął mag i wyraźnie się zasepił.

Zapadła grobowa cisza.

- Przecież to nic strasznego – pocieszył tłścioch. – Tylko sto osiemdziesiąt trzy dni.

- ... z karabinem, w błocie na poligonie... - mruknął czarownik i dalej popadał w depresyjną zadumę.

- Ty, o czym on gada?

Drugi wyciągnął słoik dżemu z pomiędzy papierów.

- Może ten przetwór mu zaszkodził?

- Ja też go podjadalem – przyznał niechętnie Grubcio. – Ale mi nic nie jest!

Mistrz popatrzył przerażony na żarłocznego przyjaciela.

- Że co?! Podżerałeś?

- Stał sobie pośród tych papierów, to myślałem, że ktoś o nim zapomniał... - czarnoksiężnik zaczerwienił się ponownie. – Miałby się zmarnować?

Pierwszy siedział dalej zrezygnowany.

- Ech, przed twoim czujnym i łakomym wzrokiem nic się nie ukryje!

I wtedy to z korytarza trzynastego piętra biurowca dobiegło radosne „ping” oznajmiając wizytę kolejnego gościa. Ponieważ dzwonek windy zadźwięczał na trzynastym piętrze, pewnym było, że gość zamierza odwiedzić Agencję Czarowniczą „Tysiąc Jeden Życzeń”. Innego wyboru nie miał, a powód był prosty: było to jedyne czynne biuro na trzynastym piętrze wieżowca Spółdzielni Usługowej.

- Nos do góry! – zaordynował Drugi. - Klient idzie.

Ale zły nastrój rekruta pogorszył się, bo do siedziby spółki wkroczył jegomość w generalskim mundurze. Złote lampasy doskonale harmonizowały z imponującą kolekcją medali zawieszoną na generalskiej, wiecznie dumnie wypiętej piersi.

- Baaaaczność! – ryknął gość trzaskając szpicrutą o cholewę swoich oficerek. – Wojskowa Komenda Uzupełnień, generał Mores, do usług.

- Grubcio jestem – wypalił odruchowo Trzeci, lecz jego wyciągnięta ręka sama znalazła drogę ucieczki przed palącym, generalskim spojrzeniem.

- Witamy w naszych skromnych progach, panie generale – Drugi podsunął krzesło.

- Spocznij! – ryknął służbista i siadł na krzeselku. – Który z panów to mistrz Shoen?

Dłoń Pierwszego nieśmiało i powoli powędrowała do góry. Milczenie było aż nadto wymowne. Generał popatrzył z ponad blasku medali, zdjął czapkę i z ojcowskim wyrazem twarzy rzekł:

- Okaż radość, mój synu. Służba w armii przynosi zaszczyt!

- Wojsko to głupia organizacja.

- To powiedział Balzak! – zauważył Trzeci.

- Rekrut Balzak! – ryknął generał. – Pojutrze zgłosicie się do raportu za sianie defetyzmu!

Czarownicy popatrzyli na siebie z lekkim półśmieszkami.

- Szefie, panie marszałku, admirale... - zaczął uniżenie Grubcio. – Ale Balzak już dawno nie żyje...

- I bardzo dobrze! Należało mu się! – z uśmiechem skostatował komendant WKU, po czym powrócił do meritum sprawy. – Więc jak rzekłem, to zaszczyt...

- ... oraz pluskwy i odciski – mruknęła kwintesencja depresji.

- Jak?

- A poligon, bieranina z karabinem i błoto?

Wojskowy bezradnie rozłożył ręce.

- Naczytałeś się jakiś antycznych pierdół o wojnie!

- Proszę mu wybaczyć – wyjaśnił Vice. – Gdy ostatnim razem miał do czynienia z wojskiem, Szwabcy goniły go z miotaczem plazmy pod Pierdun.

- Pod Verdun, wasza obszerność! – poprawił mistrz. – I nie był to karabin plazmowy, lecz gaz bojowy.

- Aha – rzekł lakonicznie Mores i zaczął przeglądać nerwowo wyciągnięte z aktówki papiery.

Pierwszy nachylił się nad aktami, lecz człowiek w mundurze zazdrośnie je uniósł ku górze tak, że zasłonił najważniejszą część. Widoczny był tylko napis „Shoen” oraz „ŚCIŚLE TAJNE” w kilku językach.

- Piękna przeszłość bojowa! – mundurowy mruknął z podziwem. – Takich ludzi nam trzeba!

Mistrz cicho jęknął.

- Czy nie odsłużyłem wszystkiego?

- Być może... ale nie został pan zdemobilizowany – odparł z uśmiechem generał.

Drugi zasepił się, bo wiedział, że z tępotą i pazernością tej akurat instytucji nikt jeszcze nie wygrał. Tymczasem wojskowy wertował akta dalej szukając gwoźdźcia do coraz bardziej wyrazistej trumny czarownika.

- Pole bitwy opuścił pan w 1917 roku. Gdzie pan był przez kolejne trzysta lat?

- Jak pan generał się dobrze wczyta, w statusie mam wpisane jednoznacznie „zaginiony podczas działań wojennych” wraz z datą – odparł mistrz.

- No dobrze, ale gdzie pan przebywał? – ciągnął oficer.

- Nie żyłem, ot co. Poległem podczas bitwy.

Mores popatrzył podejrzliwie na swojego rekruta nie do końca dowierzając jego słowom.

- Dowód?

- Nie wprost – odpowiedział Vice. – Wspomnienia wojenne francuskiego podoficera wraz z fotografią tu oto obecnego mistrza w mundurze armii aliantów. Jego przypadek jest opisany w rozdziale dwunastym wspomnianego dzieła. Książka dostępna w bibliotece Uniwersytetu Ezoterycznego.

- Nie was pytałem! – odparł wojak. – Wasz stopień i stosunek do służby wojskowej?

- Stosunek seksualny, jeśli mogę to tak nazwać...

Generał wyraźnie unióśł brwi.

- Że jak?

- Po prostu pier...lę to – uśmiech Drugiego wróżył rychły triumf nad butą wojskowego. – A dokładnie ukończone studia na uniwerku, więc mnie to nie dotyczy.

- Racja – niechętnie przyznał wojskowy. – Czy rekrut Shoen także legitymuje się dyplomem?

Wszyscy popatrzyli na siebie zdziwieni. Że też nikt nie wpadł na takie proste rozwiązanie!

- Nie – odparł sam zainteresowany. – Mam kilka doktoratów honoris causa, lecz to zupełnie inna sprawa...

Generał z uśmiechem powrócił do studiowania akt.

- Racja. To się nie liczy.

Czarnoksiężnicy milczeli przeżywając ewidentną porażkę. Z systemem jeszcze nikt nie wygrał, z tym systemem – tym bardziej.

- Więc co ze mną będzie? – spytał Pierwszy nie wytrzymując napięcia.

Mores spoważniał przybierając swój zwykły, służbowy wygląd.

- Od roku 1916 jest pan w czynnej służbie. Nie został pan zdemobilizowany. Można wiedzieć, jakim to cudem siedzi pan tu przede mną, skoro twierdzi pan, że zginął w roku 1917?

Tym razem mistrz się uśmiechnął, choć powód był inny – w rzeczywistość przyczynę jego obecności w tym nowym świecie raczej trudno będzie twarogłowemu generałowi uwierzyć.

- Zostałem wskrzeszony... to tak w skrócie.

- Aha – mruknął wojskowy. – Dowód?

Trzeci poruszył się na parapecie.

- Mogą być świadkowie?

- Owszem. Wiarygodni.

Grubcio uśmiechnął się.

- My dwaj – wskazał na Drugiego.

Wojskowy skrzywił się ponownie.

- Panowie pozostajecie w stosunku podległości służbowej wobec rekruta, więc odpada.

- Jest jeszcze Jego Magnificencja rektor Uniwersytetu Ezoterycznego. To poważna persona!

- To już lepiej. Wracając do tematu: od 1916 w czynnej służbie, nie zdemobilizowany, nie dokończył odbywania służby...

Pierwszy spuścił głowę.

- Czyli mogą szefa w każdej chwili powołać? – spytał Grubcio.

- ... lub w przypadku odmowy oskarżyć o dezercję i skazać wyrokiem prawomocnym na kilkanaście latek – skończył wojskowy z głuchym plaśnięciem zamknął akta.

- Dlaczego aż na kilkanaście? – zdziwił się Vice. – Normalnie jest sześć miesięcy aresztu!

- Wasz szef zapomniał się zdemobilizować, więc w aktach jego kariera trwała nadal nieprzerwanie przez ponad trzysta lat. Miło mi poinformować pana, że dochrapał się pan dzięki temu stopnia generała brygady.

Mag zmarszczył czoło wyraźnie coś kombinując.

- Ale to za mało gwiazdek, aby pana odesłać teraz do diabła w myśl wojskowej dyscypliny?

- O dwie – z triumfem oznajmił generał i zaczął zbierać się do wyjścia. – Akurat jest wakat na stanowisku dowódcy warty przy Grobie Nieznanych Żołnierzy. Świetnie się pan tam będzie prezentował.

To rzekłszy, generał wstał, nałożył czapkę, zasalutował i skierował się do drzwi pogwizdując marsza „Przyjdź mamu na przysięgę”.

- Do widzenia – wyrwało się Trzeciemu.

- I to do rychłego – odparł Mores. – Za pół godziny przyślę patrol żandarmerii, wtedy się okaże, czy wybrał pan zaszczytną służbę, czy więzienie.

I z radosnym akcentem na dwudziestym pierwszym takcie marsza trzasnął drzwiami.

- No to leżę – mruknął mistrz. – I coś mi się wydaje, że żadne czary tu nie pomogą.

- Nie załamuj się, wystarczy, że dasz przełożonemu w pysk i sami cię wywalą. Drugi pokiwał palcem ku przestrodze.

- Nie radzę. Sami słyszeliście, że im wyższy stopień, tym większe sankcje karne?

Zapadła martwa cisza. Grubcio postanowił ją przerwać i zjeść kolejną już tego dnia kanapkę.

W pokoju rozniosło się głośnie mlaskanie.

- Grubciu, miej litość!

Trzeci popatrzył na kanapkę, po chwili na kolegów.

- Wytrzymajcie – mruknął między kęsami. – Z pustym żołądkiem kiepsko się myśli.

Pierwszy ciężko wstał od stołu spoglądając z niechęcią na sterty faktur.

- A mogło być tak pięknie: tylko ja i milion faktur do ułożenia... chyba nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. A tak właściwie, jak teraz wygląda wojsko? Jakie ma uzbrojenie?

Drugi uśmiechnął się pod nosem.

- Od stulecia armia pełni funkcje reprezentacyjne. Warty honorowe, obsługa imprez państwowych, parady... Od kiedy nie ma potrzeby prowadzenia wojen, jedynym zajęciem wojskowych jest musztra i elegancja przy pełnieniu honorowych wart.

Mag klepnął się w czoło.

- No ładnie, za kilka krugerandów żołdu będę przez pół roku obnosił polerowany karabin wokół cokołu jakiegoś pucowanego pomnika!

Grubcia przy ostatnim kęsie zatkało.

- Jaki karabin? – zdziwił się Drugi. – Od lat jedynym orężem naszej armii jest szabla paradna, panie generalny brygadowy! Będziesz chyba jedynym czynnym zawodowo wojskowym, który wystrzelił z prawdziwej broni palnej!

Tymczasem Trzeciemu oczy wyszły na wierzch.

- Rety, popij! – wrzasnął mistrz do przyjaciela – Udusisz nam się! I co my zrobimy bez Personelu Kluczowego?

- Aha! – odparł Personel Kluczowy i wychylił do dna szklanice wody podaną przez maga.

- Za dużo sera w kanapce?

- Nie! – odetchnął Grubcio. – Mam myśl!

Czarownicy popatrzyli na siebie z lekkimi półuśmieszkami.

- Oczywiście jest to rozwiązanie inteligentne?

- Ze wszech miar! – odparł tłusciuch nie ukrywając dumy.

- Otrużesz generała Moresa?

Trzeci zachmurzył oblicze.

- O niewierni! – zagrmiał. – Wątpicie w mój intelekt?

Drugi akurat zasiadł do szklanej kuli i wertował ustawy o pełnieniu służby wojskowej.

- Rzekłeś panie! – dodał znad stołu.

Trzeci zawinął swój płaszcz, zadarł nos i oznajmił:

- Wychodzę! Jeszcze nigdy tak mnie nie upokorzono!

I wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Po chwili do uszu pozostałych czarowników doszedł klekot antycznej maszyny do pisania.

- Oszalał?

- Nie wiem – Pierwszy podszedł do drzwi. – Co tak pieczołowicie stukasz?

- Podanie – padła lakoniczna odpowiedź.

Mistrz przez moment przyglądał się grubym palcom, które z trudem trafiały w odpowiednie klawisze. Po chwili jednak powrócił do stołu z fakturami.

- Jak to twoje podanie odroczy mi służbę choć o godzinę, obiecuję cię przewieźć na barana dziesięć razy wokół Spółdzielni!

- Wszystko słyszałem i trzymam za słowo! – dobiegło z pokoju obok.

Pierwszy usiadł przy stole i się zasepił.

- Jak można się teraz wymigać od wojska? – spytał.

Vice intensywnie wertował czaroprzestrzeń aktów prawnych, jednak jego mina nie zdradzała przełomu w sprawie.

- Możesz jako student pisać o anulowanie. Absolwenci są automatycznie zwalniani z tego przykrego obowiązku. Możesz postarać się też o dzieci, ale to odpada.

- Chwileczkę! – oburzył się mistrz. – Nic mi nie brakuje!

- No tak, ale nie spłodzisz sześciorga sztuk potomstwa w kilka minut... - odparł Drugi.

- No to leżymy! – skwitował mag.

Z korytarza dobiegło radosne „ping”, co oznaczać mogło tylko jedno. Pół godziny właśnie minęło. Po chwili do siedziby spółki wtargnął ponownie trójgwiazdkowy generał Mores, tym razem jednak w towarzystwie dwóch rośłych żandarmów.

- Walizka jeszcze nie spakowana? – zapytał generał z uśmiechem.

Nagle z pokoju obok wybiegła dosyć obszerna postać dzierżąc w ręku kartkę zadrukowanego papieru.

- Chwileczkę, wasza generalskość wielogwiazdkowa! – huknął Grubcio.

- A ten tu czego? – zdziwił się wojskowy.

Trzeci skłonił się nisko i powiedział coś, co wprawiło wszystkich w zdumienie.

- Sekretarz generała Shoena, do usług! Oczywiście generał Shoen jest już gotów do podjęcia szaczonej służby, lecz zgodnie z regulaminem. Oto pismo pana generała w sprawie podjęcia przez niego służby ze skutkiem natychmiastowym.

- Dziękuję – odparł skołowany Mores i pochwycił pismo.

W miarę czytania począł czerwienić na twarzy, a Drugi mógłby przysiąc, że spod jego czapki poczęły się wydobywać kłęby pary.

- To zupełnie zmienia postać rzeczy! – przyznał wojskowy i wskazał żandarmom drzwi. Obaj karnie wykonali „w tył zwrot” oraz „naprzód marsz”, po czym wyszli na korytarz.

- Jak to...? – Pierwszy był zupełnie skołowany.

- Ustosunkujemy się do pańskiego pisma. Do widzenia!

Generał zasalutował i wycofał się pośpiesznie. Nigdy więcej już się nie pojawił w skromnych progach agencji „Tysiąc Jeden Życzeń”.

Absolutnie zaskoczeni czarownicy stali wpatrując się w uśmiechniętego Grubcia.

- Tłuscioszku ty mój, zasłużyłeś na wielkie lody u Clicklego! – wydusił szef.

- Chwila o generalski! – zaooponował Trzeci. – Cyrograf się rzekło, demon u płota! Za godzinę czeka nas przejażdżka wokół wieżowca, zapomniałeś?

Pierwszy pomyślał, że może paść pod ciężarem już podczas pierwszego okrażenia. Postanowił spróbować przekupstwa.

- A nie wolałbyś podwyżki?

Personel Kluczowy wydawał się być urażony propozycją.

- Za nic w świecie! – odparł.

Drugi parsknął śmiechem, bo wyobraźnia podsuwała mu różne warianty niezwyklej jazdy Grubcia.

- A swoją drogą, coś ty tam nasmarował, że Mores uciekł jak poparzony?

Trzeci usiadł przy stole, wyciągnął spośród stosu faktur słoik dżemu porzeczkowego, wsadził palec do środka, po czym oblizał.

- Generał powołał się na ciągłość służby Pierwszego od ponad trzystu lat, prawda? Dowodem tego miał być niespodziewany awans szefuńcia na jednogwiazdowca, prawda?

- Aha – przyznał czarownik – I co z tego?

- Zażądałem wypłaty zaległego żołdu za ponad trzysta lat ciągłej służby wraz z odsetkami, a to się chyba należy... - wyjaśnił Trzeci i ponownie wsadził palec do słoika z dżemem nabierając sporą porcję. – Razem trzysta dwanaście tysięcy pięćset sześćdziesiąt dwa krugrandy i dwadzieścia centów!

- O święty Flaurosie! – jęknął mistrz. – Nic dziwnego, że Mores uciekł jak oparzony! To byłby najdroższy pobór w historii wojskowości! Muszę ci przyznać, że twoje rozwiązanie było naprawdę inteligentne!

Grubcio wypiął dumnie pierś wskazując na drzwi do korytarza.

- Ktoś puka? – spytał Vice.

- Nie. Czas na przejażdżkę!

Drugi złapał szefa za rękę.

- Już po tobie! – przyznał. – Lepiej było iść do tego wojska! Mam dla ciebie radę, nawet całkiem inteligentną: pamiętasz, jak Grubcio ściągał kocura jaśnie pani hrabiny z drzewa?

Pierwszemu coś zaczęło świtać.

- Inteligentnie?

- Aha! – szepnął podwładny. - Czar niewagi!

- Dobra! – oznajmił mistrz. – Grubciu, zapraszam na przejażdżkę!

Jak można się było domyśleć, wielki mistrz magii, generał Shoen słowa dotrzymał.

* * * * *

* * * * *

Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:

MANHATTAN – dzielnica NY słynąca z wielu wieżowców; SYNTETYK – produkt przyszłości; po żywności genetycznie modyfikowanej nastąpiła era żywności syntetycznej; WKU – Wojskowa Komenda Uzupełnień – organ dbający o to, by wszyscy chłopcy, nawet czytelnicy niniejszej książeczki, mieli szansę zdobyć choć jeden medal służąc w wojsku; DOKTORAT HONORIS CAUSA – tytuł doktora przyznawany honorowo za wybitne osiągnięcia na polu nauki. Tytuł bez większej wartości naukowej; PERSONA – osoba; JEGO

MAGNIFICENCIA – tytuł przysługujący rektorowi uczelni; ŻOŁD – (zazwyczaj mizerne) pieniądze wypłacane żołnierzowi za służbę.

OPOWIEŚCI ZE ŚWIATA CZAROWNIKÓW

Rozdział IX: Pierwszy, Drugi, Trzeci

*O tym, że trzeba się cieszyć krótkim życiem,
nawet goszcząc u kanibali na mocno spóźnionym obiedzie.*

Pierwszy siedział na parapecie okna wpatrzony w zasnute chmurami niebo. Niebo, które przypominało mu do złudzenia to widziane nad polem bitwy dawno temu. Wtedy dla postronnego obserwatora wyglądało to na niemiecki atak gazowy. Początkowo mistrz myślał tymi samymi kategoriami, lecz skoordynowane i inteligentne ruchy mrocznej chmury naprowadziły go na właściwy trop i pomogły uniknąć straszliwego losu. Losu gorszego niż śmierć, dlatego śmierć nie była aż tak straszliwą drogą ucieczki. Wieki temu ujawniając największe tajniki magii w "Zielonym Grimmuarze" naraził się na gniew pierwotnych mocy ciemności i światła, które w chwili złości wysłały mrocznego Demona, aby zgładził niewygodnego maga. Przy pierwszej, wcześniejszej próbie też udało mu się uciec w ostatniej chwili. Nie mając zbyt wielu dróg ucieczki, za każdym razem czarownik przenosił się w Przestrzeń Niebytu. Była to prawie śmierć, przedświecie innego świata. Przy pomocy zaklęcia udawał się więc do sfery niczyjej będącej pomiędzy światem żywych i umarłych. Zawsze bez pewności rychłego powrotu, ale jedno było pewne: żaden duch nie zapuszczał się w ten skrawek wszechświata. Aby z niego wrócić do świata rzeczywistego potrzebne były potężne czary co najmniej dwóch średnio zaawansowanych magów. Ostatnim razem miał szczęście - na arenie pojawili się Drugi i Trzeci. Po wielu perypetiach udało im się co prawda ściągnąć Pierwszego do nowego, całkiem miłego świata, ale Demon wiedział, że kiedyś nadejdzie odpowiedni czas i znajdzie się odpowiednie miejsce. Całe szczęście, że mistrz już wiedział, jakim to sposobem Demon Mroku odnajduje go w czasoprzestrzeni. Każdy rzucony czar w świecie żywych jest odczuwalny w innych światach, także w świecie duchów, w ten lub w inny sposób, lecz są czary, które może rzucić tylko Pierwszy i to one zdradzały czas i miejsce pobytu wielkiego maga. Tak, czary Zielonego Kręgu mógł rzucać obecnie tylko on! Dlatego unikał ich jak tylko mógł. Demon Mroku ciągle czuwał i czekał na swój znak.

* * * * *

Śpiący w fotelu czarnoksiężnik nie zauważył nawet, jak do pokoju przez otwarte okno wleciał niewielki, szary wróbel. Ptaszyna zatoczył kółko nad śpiącym, po czym usiadła na podłodze. W jednej chwili mały ptaszek zaczął rosnąć w oczach. Z bezkształtnej masy piór wyłoniła się ubrana na czarno piękna brunetka z czerwonymi haftami na koszuli. Srebrny diadem lśnił nad jej cudownymi, złotymi oczami...

- Hej, Boss! Pobudka! Mam delikatną sprawę - Lynn nachyliła się nad Pierwszym. Jego oczy otworzyły się powoli i spoczęły na dwóch nadzwyczaj rozwiniętych punktach zaczepienia.

- Dziewięćdziesiąt, sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt! – mamrotał swoje ulubione, magiczne cyfry. - Dostyc tego estetyzmu. O co tym razem biega?

- O forszę.

- Chcesz haraczu? - zdziwił się szef.

- Nie błaznuj! – upomniała go dziewczyna. - Hrabina Charlotte chce się pozbyć swojego majątku!

- O rety! Poślij do niej Grubcia ze stosownym testamentem. Może nam tę flotę zapisać w spadku - Pierwszy znowu przytknął oczy i ułożył się wygodnie w fotelu prezesa do dalszej drzemki.

- Tylko nie Grubcio! To jeden z warunków hrabiny! – zasyczała czarownica. A to oznaczało, że sprawa jest tajna i najwyższej wagi.

- Dobra. Forsa się przyda na spłacenie kredytu... – mruknął mistrz i ruszył cielsko ze swojego ulubionego fotela. - Przepraszam, o seksowna: ile mówiłaś?

- Jedynie... połowę majątku.

- O święty Samaelu! - mistrz podskoczył z wrażenia. - Za to moglibyśmy kupić ten cały cholerny biurowiec i Seszele!

- No właśnie – przytaknęła. - Zawsze marzyłam o własnym archipelagu wypoczynkowym.

- Dobra, streszczaj, czego ona chce! - Pierwszy był najwyraźniej bardzo zainteresowany.

Tyle forsy nie przechodziło koło nosa dwa razy w tysiącleciu, więc należało to wykorzystać.

- Hrabina Le Blanc jest już bardzo stara – przypomniała właścicielka bajecznych rozmiarów. - Nie ma dziedzica, krewnych i tym podobnych sępów czyhających na jej fortunę, poza nami.

- Ale mu nie czyhamy na jej fortunę... – zaperzył się mag.

- Niech ci będzie. Tak po krótko - babsko jest poważnie zauroczone, tylko jej problem polega na tym, że nikt nie chciałby starej baby. Ona chce młodości... Nastąpiła niezręczna cisza przeszywana co jakiś czas wyczekującym spojrzeniem spod burzy czarnych włosów.

- To bardzo trudny czar! - Pierwszy się zamyślił. - Czy ona wie, ile to trudności? A jak później zapłaci? Nikt nie uwierzy w cudownie odmłodzoną arystokratkę! Ani policja, ani tym bardziej Urząd Spadkowy.

- To już jest załatwione - Lynn uśmiechnęła się szatańsko obnażając śnieżnobiałe zęby.

- A niby jak?

- Hrabina ma wnuczkę...

- Bzdura, ta stara jędra nie ma nawet dzieci! – Pierwszy machnął ręką.

- Ale od wczoraj ma wnuczkę! Charlotte - Etienne Boulangerie. Oczywiście tylko na nośniku kartoteki, ale ma. Nikt się nie zdziwi, jeśli nagle pojawi się w

rzeczywistości... Dotarło?

Pierwszy przełknął głośno ślinę, choć nadal nie bardzo dowierzał.

- Niech zgadnę - to się nazywa magia pieniądza i nieprzekupność z natury nieprzekupnych operatorów kartoteki - wypalił w ciemno, choć było to nazbyt oczywiste.

Pozostawała tylko kwestia – ile to kosztowało?

- Rzekłeś panie – odparła czarownica z rozbrajającym uśmiechem. - A teraz przestań mnie rozbierać w myślach i pomyśl nad tym, jak tu zgarnąć tą forszę.

- Co do jednego masz rację: pomyślałem o tobie... – mówiąc to czarownik nawet się nie zarumienił.

- To znaczy?

- Taki numer nie jest możliwy dla zwykłego śmiertelnika – odpalił. – Musiał w tym maczać palce ktoś ze służb federalnych.

Czarownica zrobiła tajemniczą minę i zatrzepotała rzęsami.

- Nie wiem, o czym pan mówi! A co z tym czarem? Możliwy?

- To ściągnie Demona Mroku – zauważył mistrz pomny ostatniej, karkołomnej walki o życie w okopach wielkiej wojny. - Taki czar mogę wykonać tylko ja.

- Dlatego musisz to dogłębnie przemyśleć - Lynn wstała i podeszła do nowiuteńkiego dystrybutora kawy. - Napijesz się?

- Nie dzięki – odparł uprzejmie mag. - Nie ma o czym myśleć. Mogę znowu uciec w niebyt, tym bardziej, że teraz ma mnie kto ściągnąć z powrotem. Oni mają już to przećwiczone! Tak, czy siak, wchodzimy w to! - i z myślą o bardzo spokojnej i nie tak odległej emeryturze Pierwszy po raz ostatni zapadł w błogą drzemkę w godzinach pracy.

* * * * *

Dla pewności spisał stosowne zaklęcia i rytuały. W czarnej szkatule ze srebrnymi okuciami przygotował zestaw ofiarnych mikstur i artefaktów. Nieco później, dokładnie z początkiem godziny Merkurego, czar został rzucony. W świecie duchów przetoczył się niczym świetlista łuna siejąc tu i ówdzie niepokój. Demon Mroku ocknął się z wieloletniego oczekiwania. Czułym spojrzeniem prześledził tor łuny i kierunki rozchodzenia się niepokoju. Już po chwili wiedział gdzie i kiedy. Ruszył powoli wykonać wyznaczone zadanie. Tymczasem w pałacu hrabiny z łóżka wstała piękna, dwudziestoletnia blondynka o twarzy aniołka. Odrzuciła bezużyteczną już laskę i zdziwiona swoim nowym, choć dawno nie oglądanym obliczem w wielkim, kryształowym lustrze, zaczęła tańczyć w przestronnym pokoju. Dźwięczny śpiew rozchodził się daleko poza pałacyk, gdzie nad horyzontem materializowały się ciemne kłęby czarnej chmury.

* * * * *

- Dobra - rzekł spokojnie Pierwszy wręczając dziewczynie czarną szkatułkę. - Jak chłopaki wrócą z delegacji, powiesz im co, a jak to oni już wiedzą.

- Tak, wiem - przytaknęła Lynn. - Znam to już na pamięć!

- Spójrz za okno - mistrz wyrysował w powietrzu kilka świetlistych znaków. - Ta cholera już mnie namierzyła!

- Ile masz czasu?

- Kilka minut – mruknął mag i zapalił poświęcone świece stojące po bokach niewielkiego ołtarzyka.

Za oknem niebo nagle poszarzało. Po chwili ciemna chmura nadciągnęła nad biurowiec, gdzie mieściła się Spółdzielnia Czarownicza. Powoli mrok opadał na budynek spowijając go szczelną kurtyną.

- Jestem gotów - Pierwszy uśmiechnął się do dziewczyny. – Do zobaczenia przy najbliższej pełni księżyca!

Odkorkował niewielką buteleczkę i wypił magiczny płyn. W tym momencie jego ciało spowiło tysiąc małych ogników. Wszystko poczęło się kurczyć, aż płonąca postać zmalowała do rozmiaru iskierki i zniknęła. Za oknem ciemna nawałnica zaczęła wyć rozczarowana nieudany polowaniem. Rozpętała się istna burza, która urwała się równie nagle, jak się rozpoczęła. Lynn opadła ciężko na fotel. Za tydzień wszystko wróci do normalności. Pierwszy był teraz wszędzie i nigdzie, a przywołać go z niebytu do realnego świata mogli tylko inni, potężni magowie.

* * * * *

Czarownik w wymiętym płaszczu miotał się wściekły po niewielkim pomieszczeniu biurowym. Przemierzył go już może z tysiąc razy, ale to nie ukoilo wcale jego nerwów.

- Cholera jasna! - wrzasnął Drugi. - Nie można was zostawić samych! I pomyśleć, dorośli ludzie! A gdzie odpowiedzialność?

- Nawet mnie nie wkurzaj! – srebrny diadem na czole czarownicy rozbłysnął niebieskawym blaskiem. - To chyba wasze największe i najlepiej płatne zlecenie od czasu wydania za mąż księżniczki Roksany!

Siedzący obok pulchny jegomość parsknął śmiechem na samo wspomnienie pieczonego opatrzonego herbem księcia, jednak szybko urwał pod piorunującym spojrzeniem wiceprezesa spółki. Nic nie mówiąc powrócił do konsumpcji swojego przysmaku.

Lynn była bardziej wściekła niż czarownik, ale jej złość wcale nie wynikała ze zniknięcia mistrza zboru.

- Grubciu, jaka jest twoja opinia? – zapytała.

- A czy personel wykonawczy ma coś do gadania? – rzucił otyły czarownik. - Taka była decyzja szefa i jego ryzyko. Myślę, że się opłaciło...

- Zamilcz, robolu! - skarcił go Drugi i pogroził palcem.

- Sama widzisz! - usprawiedliwił się Trzeci oblizując palce po anchois z bitą śmietaną i kremem z trufli, które akurat spałaszował.

- Rangą przewyższa was obu tylko mistrz – zachęcała dziewczyna, która potrzebowała wsparcia na placu boju.

- W porządku – mruknął Trzeci. - Mamy jeszcze sześć dni do ponownego sprowadzenia szefuńcia. Wszyscy jesteśmy przemęczeni, a musimy nabrać sił, bo przed nami trudne zadanie... Co powiecie na krótki urlop?

- Grubcio, przyznaj się: ty coś kręcisz – vice popatrzył podejrzliwie na przyjaciela.

- Oj, kręci - uśmiechnęła się Lynn. - Z wnuczką hrabiny Le Blanc. Dopiero ją poznał i popatrz na niego – w porównaniu z nim ciepłe kluchy są stabilne jak tona ołowiu!

- A ty skąd wiesz? - Trzeci zrobił przysłowiowego "karpia". Lynn uśmiechnęła się tajemniczo.

- Nie zapominaj, że jestem czarownicą. Albo jak wolisz – kobieca intuicja. Drugi otworzył okno na oścież.

- A leć w cholere! - pomachał rękami naśladując lot ptaka. - Masz trzy dni urlopu zdrowotnego. Może przez ten czas ci przejdzie.

- Ale ja nie jestem chory! - naburmuszył się Trzeci.

- Tak ci się tylko wydaje, Wasza Obszerność! – odparł mag. - Miłość to straszna choroba: atakuje znienacka, rani serce, dziurawi kieszeń i wychodzi bokiem! To chyba najgorsza broń pod słońcem!

- Przyganiał kocioł, itede! - Trzeci począł obrastać piórami.

- Gdzie cię szukać w razie czego? - zapytała Lynn siedzącego na parapecie czarnego kruka.

- Lecę z młodą Charlottą na Seszele – zaskrzeczało ptaszysko. - Zobaczę, czy warto je kupić.

Dziewczyna roześmiała się serdecznie. Grubcio swoim poczuciem humoru potrafił jednak załagodzić każdą nerwową sytuację.

- To się pośpiesz! Samolot masz za pół godziny!

- Tak, już spadam - dał krok do przodu i runął wzdłuż fasady budynku. Trzeci spadał. Cale szczęście, tylko dwanaście pięter. Na wysokości pierwszej kondygnacji jakimś cudem wyrównał lot i poszybował wzdłuż Vistula Street w kierunku portu lotniczego. Po kilku minutach nie było go już widać.

- Ten to się nigdy nie nauczy! - skomentował widowisko stojący przed swoją ciastkarnią znany w mieście cukiernik, monsieur Clickle, spoglądając na oddalający się wybitnie ciężkim lotem czarny cień na niebie.

* * * * *

Minęła dziesiąta. Powoli i majestatycznie czerwona kula słońca chyliła się ku horyzontowi. Portier biurowca jak zwykle oglądał operę mydlana z cyklu

"Rodzina Smith'ów". Co jakiś czas dzwonek windy obwieszczał kolejnego pracownika jednej ze stu czterdziestu ośmiu firm spółdzielni usługowej, który śpieszył do domu na spóźniony lunch. Portier był tak zaabsorbowany żywiołowym brakiem akcji filmu, że nie zauważył nawet dwojga młodych, czarno odzianych ludzi, którzy wysiedli z windy i nie mieli zamiaru zdać klucza w recepcji.

- Patrz, równie dobrze mógłby oglądać puste akwarium - skomentował Drugi zafascynowany widokiem staruszka pogrążonego w hipnotycznym transie przed malutkim holowizorem.

- Taaak - machinalnie potwierdził portier. - Co proszę?

- Dobranoc, Herr Knappke! - z uśmiechem skłoniła się Lynn.

Portier odwzajemnił uśmiech i powrócił do medytacji nad brakiem sensu w oglądanym przez siebie obrazie.

Czarowna para wyszła przed biurowiec żartując na temat bzdurnego serialu. Z naprzeciwną w ich stronę podążało dwóch cyklistów na gravibike'ach, gładko sunących nad podziurawioną ulicą. Nic dziwnego, ten nowomodny wynalazek ostatnio zrobił istną furorę wśród młodzieży, więc dwóch młodzieńców w czarnych kaskach nie było niczym osobliwym na ulicach New Warsaw City. Ale obaj mieli w rękach miotacze termiczne, a to już było co najmniej dziwne. Drugi też je dostrzegł i złapał Lynn za ramię.

- Uważaj! - wrzasnął i pchnął mocno dziewczynę na ziemię.

Strumień termiczny przeznaczony dla dziewczyny trafił go prosto w pierś.

Katem oka czarownica zauważyła, że tuż nad nimi prześlizgnęły się oba pojazdy. Zanim jednak zdołały wyhamować i zawrócić, Lynn już stała na nogach z rozłożonymi szeroko ramionami. Z jej diademu wypęzła mała kula ognia, która nabierała rozpędu i rozmiaru. Gdy dopadła pierwszego cyklistę, ten akurat próbował zakręcić. Z przerażeniem obserwował nieuchronne. W następnej sekundzie spowiła go ognista poświata, akumulator pojazdy eksplodował rozrzucając zwęglone szczątki dookoła. Druga kula ognia minęła się z pozostałym przy życiu zamachowcem uderzając w tylny system napędowy gravibike'a. Maszyna zaczęła wirować, siła odśrodkowa cisnęła cyklistę na ścianę biurowca. Następna kula ognia chybiła celu rozbijając potężną szybę nad szybującym terrorystą. Upadł, błyskawicznie przywarł do ściany i wycelował miotacz w przerażoną dziewczynę, która nie mogła wygenerować w tak krótkim czasie kolejnego błędnego ognika, jednakże ledwie słyszalny, metaliczny zgrzyt zmusił go do spojrzenia ku górze. Ułamek sekundy później ponad trzymetrowy kawał szkła z rozbitej, szklanej ściany przeciął go dokładnie na pół. Lynn wskoczyła na leżący przy krawężniku pojazd zamachowca i po chwili pognęła wzdłuż ulicy. Kiedy portier Knappke wybiegł z budynku, zastał tylko zmasakrowane ciała.

Złożona puderniczka młodziutkiej Charlotty rozbłysła błękitnym światłem. Zmysłowa blondynka, co najwyżej dwudziestoletnia, podważyła delikatnie wieko ukazujące skryte pod pokrywą niewielkie zwierciadło.

- Lynn, to ty moje dziecko? - jej uśmiech zniknął na widok w magicznym zwierciadle.

Z lustra patrzyła na nią brudna, zapłakana, choć śliczna twarz.

- Słuchaj Char – wyrzuciła szybko rozmówczyni. - Nie mam czasu. Gdzie Grubcio?

Blondynka wskazała na biały budynek upstrzony setką balkonów i drugą setką kolorowych parasoli przeciwsłonecznych.

- Pączuszek? – zapytała. – Nie miał ochoty na drinka. Leży na hotelowym tarasie i skwierczy na słończku.

- Przekaż mu, że Drugi nie żyje. Assasyni federalni próbują nas sprzątnąć. Musicie się bezwzględnie ukryć. Postarajcie się zmienić wygląd i wrócić do miasta. Będę na was czekać na lotnisku. Nie dzwońcie, to ja was odnajdę.

- Dobra, już go ściagam z patelni! - twarz dziewczyny nagle spowaźniała.

- Aha! – przerwała czarownica. - Jeszcze jedno: niech Trzeci pod żadnym pozorem nie wykonuje żadnych czarów, bo go namierzą! To ważne!

- Załatwione! – wieko puderniczki trzasnęło kończąc połączenie.

Zmysłowa blondynka wstała od stolika, rzuciła krugeranda na stół i powolnym krokiem udała się w kierunku hotelu lustrując spoza ciemnych okularów całą okolicę. Nie zauważyła, że jeden z kelnerów rzucił w krzaki swoją służbową muszkę i sięgnął do kieszeni po komunikator.

Na międzykontynentalnym lotnisku panował niemiłosierny tłok. Ludzie biegli, krzyczeli, łapali za walizki. Lynn siedziała spokojnie na ławce oczekując na przylot samolotu. Tuż obok zaczął się wzmożony ruch; do sektora przylotów wbiegło kilku agentów ochrony oraz pracowników portu lotniczego. Lynn za wszelką cenę starała się zachować spokój - jeżeli szukali właśnie jej, to raczej nie powinni zwracać uwagi na blond okularnicę w żółtej sukience? Samolot był już godzinę spóźniony, obok jakaś kobieta histerycznie krzyczała, dwóch pracowników obsługi lotniska usiłowało ją uspokoić.

- Przepraszam pana - czarownica zagadnęła przechodzącego obok wásacza w mundurze kontroli naziemnej. - Czy lot numer 477 z Seszeli jest mocno opóźniony?

- Madame - skłonił się śmiertelnie poważny urzędnik. - Mam przykry obowiązek poinformować panią, że samolot rejsowy nr 477 przed dziesięcioma minutami runął do morza. Na miejscu są już nasze ekipy ratownicze, ale obawiam się, że nikt nie przeżył katastrofy... Czy ktoś z pani bliskich był na pokładzie? Czy można pani jakoś pomóc?

Siedziałem z kumplem w „Cafe Cannibal”. Siedziałem tam z dwóch przyczyn - po pierwsze było to jedyne miejsce w centrum Paryża, gdzie można było zjeść cokolwiek po drugiej w nocy; po drugie można tam było zjeść cokolwiek mięsnego, a tego mi raczej brakowało w nocnej stolicy Europy. Właśnie kończyłem baraninę z frytkami pogryzając chevrignolem i popijając resztką "Cotes du Rhone", gdy poczułem nieodpartą chęć nawiedzenia pewnego ustronnego miejsca.

- Qui monsieur? - spytała przechodząca obok kelnerka myśląc, że mam ochotę na dokładkę baraniny. Pomyślałem o czymś lekkim na trawienie.

- Un pastis, silwuple - wydukałem obrytą formułkę, po czym skierowałem się szybko do drzwi oznaczonych trójkącikiem. Jak w całej knajpie, także nad pisuarem wisiało stare i lekko zmatowione przez czas lustro. O rozkoszy! Nareszcie mogłem sobie ulżyć...

- Wiec to tak wygląda, gdy nie jest w formie? – rozległo się tuż nade mną. Moja baranina zbaraniała wraz ze mną na dźwięk znanego mi głosu. Wreszcie zrozumiałem sens nazwy kafejki – „Cafe Cannibal”.

- Coś tak zbaraniał? - Z lustra patrzyła na mnie młoda, kruczoczarnowłosa czarownica o żółtych oczach.

- Bo lubię baraninę... – odparłem z głupia frant, a to tylko może świadczyć o jednym: że moje zaskoczenie było stuprocentowe.

- Nie zalewaj!

- Poważnie lubię...!

- Nie zalewaj podłogi... – zauważyła dziewczyna w lustrze. - Lejesz sobie po butach.

Lynn popatrzyła z politowaniem na posadzkę.

- Niech zgadnę! Masz sprawę? – zapytałem, choć to było nader oczywiste.

- Mam problem.

- No fajnie. I akurat musisz mnie nachodzić podczas wakacji, w środku nocy i akurat w kiblu? – udawałem rozeźlonego, choć sytuacja bardziej mnie bawiła.

- To poważne!

- Wal - warknąłem zapinając nerwowo rozporek.

- Wszyscy nie żyją. Mnie ścigają. Na razie ukrywam się, ale jak można długo? Rzeczywiście, wieści z wyczarowanego przeze mnie świata wcale nie były dobre. Tylko czy ja miałem na to jakikolwiek wpływ? Sytuacja młodej czarownicy też nie była do pozazdroszczenia.

- Możesz przecież przejść do mojego świata - zaproponował. - I możecie mi uwierzyć, ale nie miałem wcale na myśli upojnych nocy z moją prywatną czarownicą.

Ta jednak machnęła ręką.

- Nie, odpada. Pomyśl, jaką sensację wzbudziłaby czarująca kobieta o żółtych

oczach przy twoim boku – próbowała zażartować. – Twój archaiczny i pełen uprzedzeń świat by mnie nie zaakceptował.

Miała rację. Zamyśliłem się na chwilę myjąc ręce nad niewielką, zapyziałą umywalką.

- Cofnij czas! - wypaliłem.

- Przecież wiesz, że nie mam do tego kwalifikacji – przyznała. - To potężny czar, a ja jestem tylko zwykłą czarownicą z drugim stopniem specjalizacji.

- Hmmmm... no tak – popadłem w filozoficzną zadumę miętosząc w dłoniach papierowy ręcznik - Gdy mi się nie podoba zakończenie historii, po prostu przewracam kartki książki wstecz. A nawet kiedyś zupełnie przez przypadek zakląłem przygody trzech czarowników w małą książeczkę...

Z kieszeni wyciągnąłem mały, szary tomik podręcznych opowiadań, z którym nie rozstawałem się od chwili owej feralnej konfrontacji duchów w moim mieszkaniu.

- To jest myśl! – Lynn wykonała w powietrzu gest kreśląc palcem świetlisty symbol, dodała krótką, czarodziejską formułkę i szara książeczka przeniknęła przez szklaną taflę lustra, aby po chwili znaleźć się w ręku dziewczyny.

- Będę się cieszyć, jeśli zadziała - patrzyłem, jak Lynn wyciąga moją złożoną zakładkę i przewraca kartki książki. – Używasz jakiegoś zaklęcia?

- Zawsze powtarzam sobie w myślach: „To się nie może tak zakończyć”. U mnie zawsze działa – zapewniłem.

- Zobaczymy. Dzięki i na razie! - lustro zmatowiało i postać czarownicy zniknęła raz na zawsze. Po chwili płynna, mętna warstwa ektoplazmy po szkłem rozmyła się przywracając zwierciadłu naturalne odbicie.

- Mon dieu, kes-ke-se? - rozległo się tuż za mną. Jakiś podpity Francuz patrzył w lustro jak zahipnotyzowany.

- Pardon, sze-ne-parlpa-fonse. I uważaj, nie wdepnij w szczyny – dodałem i odwróciłem się na pięcie.

Zostawiłem zbaranianego żabojada w kiblu i powróciłem do mojego współbiedniaka, choć nie było już tak wesoło, jak przed kwadrans. Dopiero po kilku sztachnięciach Gitanesem dotarło do mnie, że właśnie pozbyłem się jedyne go pomostu łączącego mnie ze światem czarowników - malej, czarownej książeczki o ich przygodach. No cóż, do zobaczenia Lynn, gdziekolwiek teraz jesteś! Mam tylko nadzieję, że dziura w moim fotelu nie pojawi się znowu.

* * * * *

- O wielki Asmodeuszu! - jęknął Trzeci wpelzając odruchowo pod stół. - Tylko nie to stare babsko!

- Pokaż! – mistrz nachylił się nad urządzeniem. - Oooo, twoja dobra znajoma, hrabina Charlotte Le Blanc. Masz dziś szczęście. Drugi, czy to o nią chodzi?

- Nie.... chyba nie – odparł niepewnie vice.

- No to ja już nic nie wiem. Jutro dostaniesz skierowanie na badania do

neuropsychologa.

Drugiego przeszedł dreszcz.

- Żartowałem - uspokoił go Pierwszy z zainteresowaniem wpatrując się w hrabinę.

- Ten babsztyl nie dawał mi ostatnio żyć! – żalił się Grubcio. - Pięć wezwań w ciągu ostatniego tygodnia wszystkie dotyczyły ściągania Belfegora z drzewa!

- No, to od małpy dzieli cię już niewiele. Brawo! Widzę, że rozwijasz się! A tak właściwie, to kto to jest Belfegor? – spytał, bo sprawa nie była dla niego całkiem jasna.

- Wybitnie spasiony kocur jaśnie pani hrabiny. To tłuste bydlę włązi na drzewo za ptaszkami, ale jest tak ohydnie spasiono, że nie potrafi zejść z powrotem!

Drugi przywdział na chwilę złośliwy uśmiešek.

- A ty niby potrafisz?

Tłusty mag popatrzył podejrzliwie na przyjaciela.

- Oj, przydadzą ci się te badania! Ciebie to chyba Belet kopnął w ciemność! Ja to załatwiam inteligentnie! – cmoknął.

- Niby jak? - zaciekał się szef. – Dajesz kotu krzyżówkę?

- Nadymam kocura czarem niewagi, a kiedy już szybuje w powietrzu, stopniowo recytuję formułę wspak, robi się coraz cięższy i łagodnie osiada na trawniku... Proste!

- Rzeczywiście proste – przyznał mistrz. - No dzieciaczki, pora na brancz!

Trzeci, idąc za przykładem pozostałych magów wyjął swoją skrzynkę śniadaniową. Z tą różnicą, że jego skrzynka w epoce podróży dyliżansami mogłaby uchodzić za kufer podróżny. W pokoju rozszedł się anielski zapach tysiąca aromatów.

- Czy ktoś ma ochotę na ciasto z orzechami leszczynowymi? – doleciało z głębi kufra.

- A ile to ma kalorii? - zapytał Drugi mrugając porozumiewawczo.

- Och! Szczęśliwi kalorii nie liczą. Uprzątnij talerze po wczorajszym branczu i dawaj, to ukroję wam po kawałku.

Mistrz pomieszał herbatę, wyciągnął i oblizał łyżeczkę.

- Nie daje mi wciąż spokoju przecucie Drugiego – przyznał. - Może to faktycznie chodzi o madamme Charlotte?

- Ależ szefie! - oburzył się Drugi. - Hrabina jest bardzo zadowolona z naszych usług, a płaci tak dobrze, że dostała ostatnio Magiczne Lustro Stałego Klienta, i to w złotej oprawie!

Grubcio jęknął.

- W złotej oprawie? - Pierwszego zatkało. – Ufff!!! Aż piętnaście procent rabatu na nasze usługi? Słyszałeś, Wasza Obszerność?

- Rabatu? Usługi? – jęknął powtórnie Jego Obszerność i wgryzł się w wielki kawał drożdżówki z mielonym mięsem.

- Płaci gotówką bezprzelewową, a jak sam słyszałeś, wzywa do siebie Grubcia aż pięć razy w tygodniu.

- Wredne babsko! - wymamrotał Trzeci między piątym i szóstym kęsem sałatki z salami, kukurydzy i koreczków śledziowych. - Upierdliwa do granic nonsensu! Podejrzewam, że na własnym pogrzebie byłaby w stanie nawet grabarzowi zożydzić zawód!

- Tak marudzi? Podaj, proszę, cukier.

Cukiernica zmieniła miejsce spoczynku.

- Jeszcze gorzej niż myślisz! Chcecie tego ciasta?

Pytanie było raczej retoryczne, bo pomimo, że Grubcio był notorycznym żarłokiem, to jednak jego umiejętności kucharskie stawiały go na równi z dyplomowanymi mistrzami patelni.

- Czekaj, wymyję tylko talerz po wczorajszym.

Pierwszy pochwycił duży talerz z miśnieńskiej porcelany, ozdobny w trzynaście piktogramów symbolizujących współczesne znaki zodiaku. Nie uszło jego uwadze, że wielka plama kremu borowikowego zakleiła prawie całego Wężownika.

- Szefie, wywal te okruszki na rusztowanie za oknem – poprosił obszerny mag. - Niech wróbelki też mają radochę.

- Od kiedy ty jesteś taki dobry dla ptaków?- zdziwił się Pierwszy, lecz nie oponował.

- Od kiedy mu zjadły dwa płaszcze, ha, ha, ha!

- Aha, to rozumiem - i z tym wszystko mówiącym stwierdzeniem, radośnie otworzył okno i wysypał dość sporą ilość okruszków na rusztowanie za oknem. Nie zdążył nawet odejść od okna na dwa kroki, kiedy podest rusztowania zaroił się od bijących się o pokarm ptaków. W ciągu pół minuty z resztek wczorajszego ciasta nic nie pozostało, lecz wróble nadal siedziały na podeście oczekując dokładki. Co niektóre nie bacząc na fakt, że wszystko zostało pożarte przez współziomków, biły się między sobą nadal. Czarownicy przypatrywali się im z wyraźnym zaciekawieniem. Leżący o cztery podesty dalej robotnik otworzył kolejną butelkę "Napalm Beer" i także co jakiś czas zerkał na bijące się wróble.

- Pamiętacie o przeczuciu? - rzucił ni z gruszki, ni z pietruszki Drugi drapiąc się po brodzie.

- Tak, vice. Wal śmiało.

- Sprawiedliwość Zulusów Potrafi Istnieć Obok Nas – oznajmił.

- Co???

- Spokój Zacisza Pustynnej Iguany Ogarnia Następców – padła odpowiedź.

- Szefie, jemu to już słońko porządnie przygrzało. Trzeba będzie napisać to skierowanie...

Grubcio patrzył zaskoczony na przyjaciela, któremu chyba akurat teraz odbiło.

- Spytaj Zainteresowanych Partaczy I Oczyszczyć Narzędzia.

Pierwszy zastanowił się. Nagle jego posepniętą twarz rozjaśnił promienny uśmiech. Wszystko było jasne!

- Ach, rozumiem!

- Może mu ciasto zaszkodziło? – zastanawiał się Jego Obszerność.
 - Godzina Drugiej Zemsty Indian Eunuchów...
 - Co??? - Gruby wytrzeszczył gały na szefa. Dolna szczeka opadła mu mniej więcej na poziom posadzki i przez chwilę tak pozostała. - Cholera, powaliło was obu?! Czy to jest zaraźliwe?
 Drugi natomiast kontynuował swoje.
 - Ostatni Kondor Nasrał Ogromnie.
 - Tak, Nasrał wam obu! Do głów! Kurczę, gdzie ja posiałem numer na pogotowie psychiatryczne?
 Kieszenie czarownika opuściła pośpiesznie wyrzucana przedziwna mieszanka: stos pogniecionych papierków po cukierkach, bilety komunikacji miejskiej, łupki po orzechach, prezerwatywa i kilka zapisanych, malutkich karteczek.
 - Grubciu, nie szukaj, uspokój się – odezwał się szef. - Podaj fakturę, muszę ją podpisać.
 - Teraz? Jest brancz, a na dodatek obu wam odbiło!
 - Zapewniam cię, że wszystko jest pod kontrolą – zapewnił mistrz. - Tak, teraz - Wziął od Trzeciego plik papierów i naskrobał coś szybko. - Masz, sprawdź i odłóż na miejsce.
 Gruby z totalnie ogłupiałą miną wziął do ręki plik faktur za czary. Jednakże podpis szefa wydawał mu się za długi. Popatrzył uważnie i zrozumiał.

"Drugi nadaje kodem. Szpion za oknem."

- Ach, teraz wszystko jest w porządku - Odłożył faktury i niepostrzeżenie pochwycił do ręki Atalmę. Rzucił trzy wyrazy i ostrzem sztyletu wskazał na stadko wróbli. Czar Paraliżu okazał się być rzucony fachowo: wszystkie wróble znieruchomiały, jak na komendę. Wszystkie, za wyjątkiem jednego, który wskoczył do pokoju i w ciągu sekundy zmienił się w rozmytą, zamazaną plamę, rosnąc do wymiarów człowieka. Z bezkształtnej masy wyłoniła się bardzo atrakcyjna, szczupła brunetka. Jej kruczoczarne włosy lśniły wspaniale harmonizując z czarną bluzą w czerwone hafty. Przed magami stała czarownica federalna.
 - Dziewięćdziesiąt, sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt - po cichu i prawie bezwiednie wymamrotał zafascynowany szef, by po chwili dodać: - Ja mam chyba deja-vu. Trzeci, znajdź jednak ten numer! Czy my się znamy?
 Robotnik za oknem przecierał z niedowierzaniem oczy. Raz po raz zerkał, to na dziewczynę, to na butelkę piwa. W końcu z obrzydzeniem wylał resztę za rusztowanie mamrocząc coś o odwyku. Chwilę później dostał od dziewczyny zręcznego kopniaka w tyłek i z mało entuzjastycznym krzykiem niezadowolenia poszybował w leniwy nurt rzeki. Po chwili wypełził na brzeg i pogalopował do najbliższej budki z piwem.
 - Zdzira! - rzucił z nienawiścią w głosie Drugi.
 - Zamknij się! - Dziewczyna obróciła się do mistrza. - Pierwszy, musimy

poważnie porozmawiać o waszej przyszłości. Grubciu, czy masz jeszcze kawałek twojego wyśmienitego ciasta? Przydałaby się też kawa...

* * * * *
* * * * *

Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:

BOSS – czyli „szef”; BOULANGERIE – choć tu występuje jako imię żeńskie, po francusku oznacza piekarnię, czyli coś dla Grubcia; SESZELE – Republika Seszeli, niewielkie państwo wyspiarskie słynące z łagodnego klimatu; RODZINA SMITHÓW – czarowniczy odpowiednik tasiemcowego serialu dla starszych pań; GRAVIBIKE – hulajnoga z napędem grawitacyjnym, absolutny hit na czarowniczym rynku; MIOTACZ TERMICZNY – popularnie zwany maserem – pistolet mikrofalowy wysokiej mocy; TRZYMETROWY KAWAŁ SZKŁA – to bajer, bo przepisy budowlane nie zezwalają na stosowanie zwykłego szkła od strony ciągu komunikacyjnego – stosuje się szkło hartowane lub klejone, więc trzymetrowy kawał szkła nie mógł nikogo przeciąć na pół; ASSASYNI – mordercy; CAFE CANNIBAL – jedyne miejsce w centrum Paryża, gdzie o drugiej w nocy można zjeść mocno spóźniony obiad; CHEVRIGNOL – kozi ser, zresztą bardzo smaczny; COTES DU RHONE – francuskie wino średniej klasy; PASTIS – francuska anyżówka z zimną wodą. Francuzi piją ją zamiast piwa; MON DIEU KES-KE-SE – (franc.) „mój Boże, co to jest?”. Wybaczcie zapis fonetyczny... ; PARDON, SZE-NE-PARLPA-FONSE – (franc., także fonetycznie) „Przepraszam, nie mówię po francusku”; GITANES – diabelnie mocne, francuskie papierosy.

SPIS TREŚCI:

Prolog: Miniarmageddon.....	4
<i>Wyjaśnienie, skąd się wzięły CZAROWNIKI w moim życiu i dlaczego duchy postanowiły zdemolować mi mieszkanie.</i>	
Rozdział I: Tysiąc Jeden Życzeń.....	15
<i>Poznajemy czarowników, Pierwiosnka i jego gang oraz dowiadujemy się, dlaczego nie warto wędkować i grać w golfa w bibliotece.</i>	
Rozdział II: Reklamacja.....	31
<i>O tym, jak bycie namolnym klientem zbliża nas do płazów, czyli Pierwszy wpada na zjazd, Drugi wpada w szal, a Grubcio wpada w panikę.</i>	
Rozdział III: Milionowy Klient.....	45
<i>O tym, co czyha na uprzywilejowanego klienta, czyli ideał kobiecego piękna potrafi być z bliska koszmarem.</i>	
Rozdział IV: Camera Obscena.....	56
<i>O potędze mediów, potędze platonicznego uczucia, potędze nieskazitelnego piękna i potędze zaklęcia.</i>	
Rozdział V: Bardzo Zła Księżniczka.....	65
<i>O wiadrze i marmurze splecionych magią wysokich sfer, także o tym, że warto czytać bajki, lecz niekoniecznie warto stosować je w praktyce.</i>	
Rozdział VI: Proroczy Sen.....	80
<i>Jak to wróble i podłe piwo przyczyniły się do upadku cywilizacji oraz o tym, że wiara może przenosić góry – dosłownie.</i>	
Rozdział VII: Siedmiu Mężów Pani Lizy.....	125
<i>O smakach, gustach i tajemnicy, którą skrywają doskonale przepisy cukierników na zbrodnię doskonałą.</i>	
Rozdział VIII: Wieczny Rezerwista.....	137
<i>O pasożytach instytucjonalnych, które można wytepić tylko poprzez ich własne skąpstwo przy współludziale przyjaźni ponadczasowej.</i>	

Rozdział IX: Pierwszy, Drugi, Trzeci.....147

*O tym, że trzeba się cieszyć krótkim życiem,
nawet goszcząc u kanibali na mocno spóźnionym obiedzie.*

Tomasz Marcin Dudziński
„Opowieści ze Świata Czarowników”

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński

All rights reserved

Redaktor:
Piotr Chruśliński

Korekta:
Małgorzata Bartosik

Copyright © by Serwis Literacki
www.knowacz.pl

Wydanie I
ISBN 978-83-925506-6-2

Świdnik

2007

Projekt okładki:
Tomasz Marcin Dudziński

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński

All rights reserved



ISBN 978-83-925506-6-2



Tomasz Marcin DUDZIŃSKI

Osobnik znany także jako Nyhriel, urodził się w roku 1971 w Gliwicach, gdzie mieszka do dziś. Jest absolwentem Politechniki Śląskiej i Akademii Ekonomicznej, co nie miało większego wpływu na jego przygodę z fantastyką.

Pierwsze opowiadanie traktujące o Czarownikach powstało w 1986 roku i powstają one do dziś, na przekór wszystkim tym, którzy twierdzą, że są one nic nie warte. „Opowieści ze Świata Czarowników” to cykl opowiadań z pogranicza fantastyki, fantasy i czarnego humoru, co w efekcie daje dość infantylne bajki dla dorosłych okraszone odrobiną pikanterii.

Jest to pierwsza, pełnometrażowa publikacja autora, który do tej pory współpracował z wieloma portalami internetowymi, między innymi: Skarbnicą Barda, Cmentarzyskiem, Katedrą, Wrotami Fantastyki, Brokilonem, Fantazyzone oraz Gildią Miłośników Fantastyki.

Już wkrótce powstanie drugi tom przygód Czarowników pod nic nie mówiącym tytułem:

„Opowieści ze świata czarowników: Sezon na Pierwiosnka”.

Drogi Czytelniku: wszelkie uwagi proszę kierować na adres: nyhriel@interia.pl
Jeżeli wydrukowałeś sobie niniejszy zbiorek, napisz koniecznie!

notka o autorze